

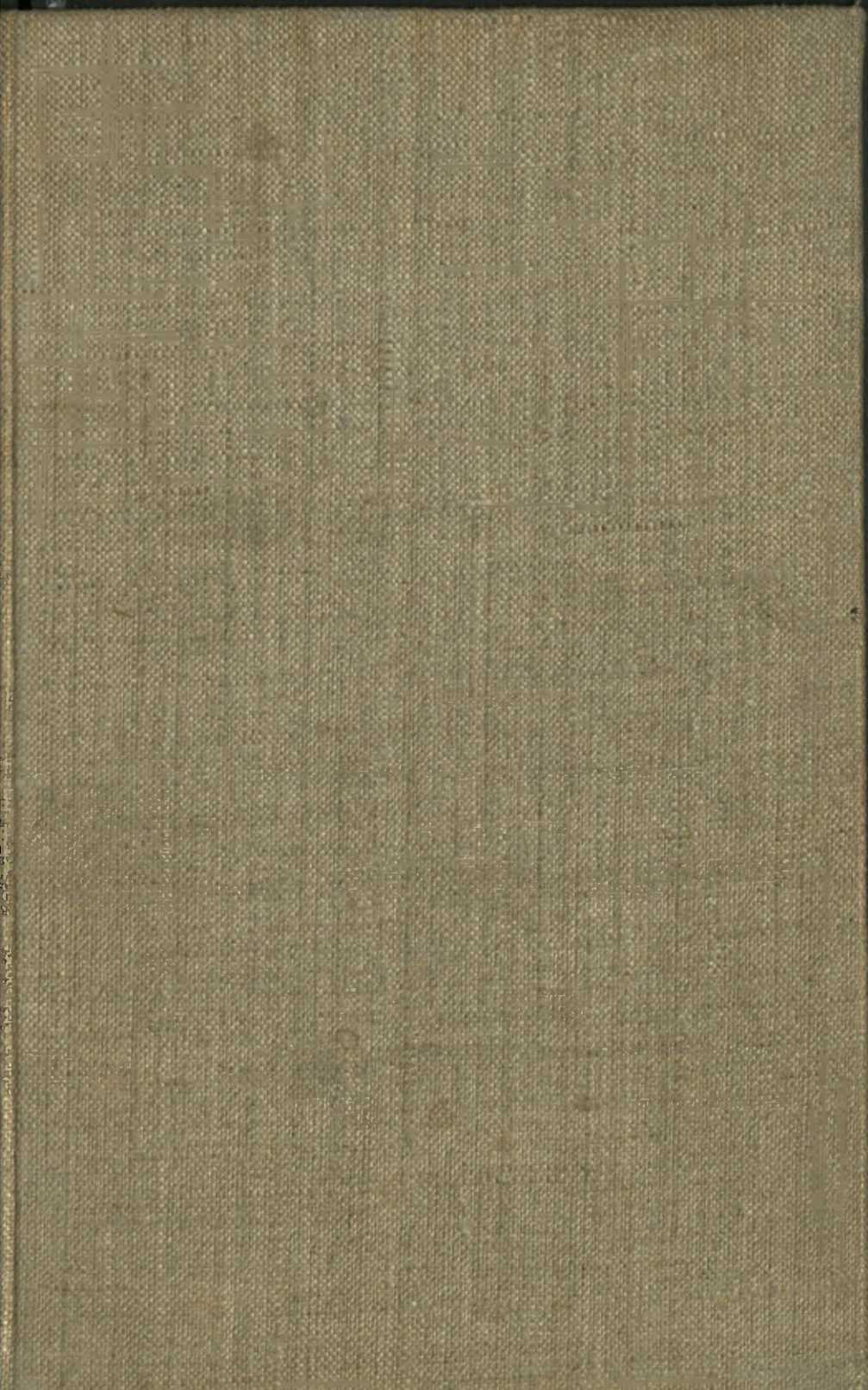


Grey Scale #13



DANES-PICTA.COM

A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



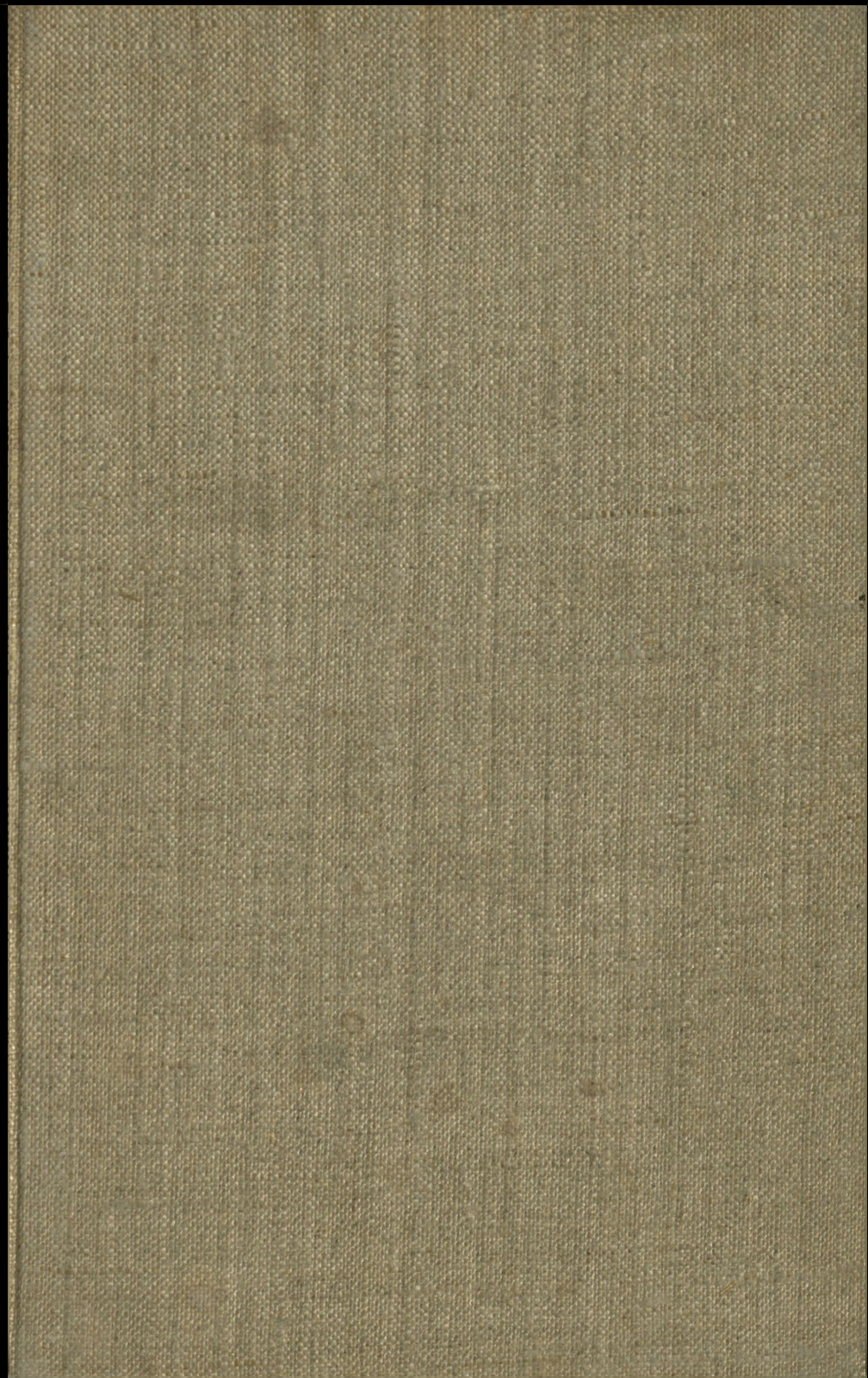
Inches 1 2 3 4 5 6 7 8

Centimetres 1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15 16 17 18 19

Colour Chart #13

Blue	Cyan	Green	Yellow	Red	Magenta	White	3/Color	Black

DANES-PICTA.COM



252

NA POSTERUNKU


252

Wilhelm Feldman


Na posterunku

Szkice publicystyczne

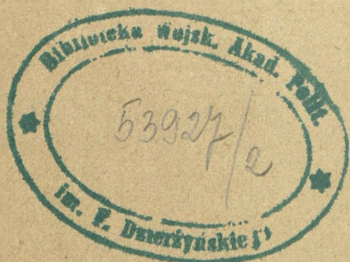
Serya druga.



Niebezpieczeństwo polskie. — Policya a sztuka. — Skarłowacenie ideału. — Pożary w Europie. — Na wschód. — W zwierciadle prasy. — Rzecz o Narodowej Demokracji. — Po burzy. — Hołd Poetce. — Homo sum. — Utopia syonistyczna.



KRAKÓW
NAKŁADEM WYDAWNICTWA »KRYTYKI«
1903.



Drukarnia Narodowa w Krakowie.

„NIEBEZPIECZEŃSTWO POLSKIE“.

Na organizm, osłabiony własnymi nadużyciami i trucizną, podsuwaną przez życzliwych sąsiadów, rzucili się w trzech i rozszarpali go. Przez długi szereg lat w dalszym ciągu rozdierali jeszcze te strzępy, przrzucali je z ręki do ręki, nareszcie wszystkie wzięli w kleszcze, zdolne ostatnie krople krwi wydusić. Jeden tylko odłam odetchnął swobodniej, pozostałe — rozpięte dalej na ławie tortur. Konfiskuje się lub podstępnie wydziera majątki, dławi się język w szkole, w urzędzie, często w biurze i na ulicy; bierze się każdego w śrubę ustaw wyjątkowych od kolebki do mogiły; każdy krwią, potem i groszem własnym opłaca swych prześladowców i kaidany swoje. Niema nikczemności, niema choćby jak brutalnej przemocy, którejby przez przeszło sto lat nie używali na ostateczne zgnębienie swojej ofiary, gdy sami przez ten czas utyli, urosli, spotężnieli w największych gigantów państwowych Europy, przed nikim nie czują trwogi, tylko przed Bogiem — i przy każdej sposobności swoim i obcym powtarzają refren o „niebezpieczeństwie polskiem...“

A nam zamiast żeby serce rosło i ramiona się przeżyły

z tego uznania niesłychanej naszej siły, przerastającej stosunkowo żywotność wrogów, nam wymykają się bezustannie słowa małoduszne, niegodne. Czytamy więc w sprawozdaniach parlamentarnych i w organach prasy gorzkie narzekania: jak ten Bülow śmie kłamać o niebezpieczeństwie polskiem, kiedy nas w Niemczech trzy słabe miliony a Niemców — przeszło czterdzieści. Albo: jak *Nowoje Wremia* może nam przypisywać jakieś intrygi, kiedy kraj ledwie zipie... I apeluje się do Europy: patrz, jak brutal się znęca nad dzieckiem słabym i narodem bezbronny, gdy ten pragnie tylko spokojnie żyć i pracować, nie wyzywając ni Boga ni losu...

I kogoż złudzą podobne słowa, do czegoż prowadzą? Nie znającej stosunków Europie dadzą o nas najfałszywsze i najbrzydsze wyobrażenie; myśli jej każdej o nas odbiorą właściwe ostrze: tak np. w Anglii i Francji traktowano sprawę wrzesieńską nie ze stanowiska politycznego, lecz z... filantropijnego i pedagogicznego; słabych na duchu w pośród nas samych bardziej jeszcze się osłabi — wrogowie zaś nigdy w złej czy też dobrej wierze mówić nie przestaną, że Niemcom, Rosyi, ba, Europie całej grozi „niebezpieczeństwo polskie“...

Bo też — powiedzmy otwarcie — „niebezpieczeństwo polskie“ faktycznie istnieje, bo musielibyśmy chyba być na wymarcu fizycznie i moralnie, aby podobne niebezpieczeństwo miało nie istnieć. „Nie mogliście — powiedział podczas rozbiorów myśliciel — przeszkodzić, by was wróg nie połknął, starajcie się tedy, by was nie strawił“. I całe życie porozbiorowe narodu niczem innym nie jest, jak tylko pracą, by dla najeźdźców stworzyć niebezpieczeństwo polskie. Każda polka, rodząc dziecko, powiększa niebezpieczeństwo polskie,

pomnaża je każdy obcy lub obojętny, przyswajając sobie mowę polską, rozszerza jego teren każda wioska i fabryka uświadomiona, dodaje mu szabli każde pióro piszące po polsku, uzbraja je jakby w armatę każdy czyn kulturny, dynamitem najokropniejszym nasycy je każdy, krzewiący polskie uczucie narodowe... Straszliwymi organami niebezpieczeństwa polskiego są Mickiewicz, Chopin, Sienkiewicz, a stało się ono wprost groźnem z chwilą, kiedy sprawa wrzesieńska okazała, że cały naród jest usposobiony rewolucyjnie. Tak jest, rewolucją *in permanentia* jest stan, w którym najazd zmusza naród polski żyć, ustami kłamać myślom, siłą tłumić uczucia. Niechaj dusze policyjne w pikielhaubie, szynelu lub w redakcyi polskiej trzęsą się z trwogi i zażęgnywują rewolucyjność: służą jej tacy ajenci prowokacyjni, jak Murawiew i Bismark, Pobiedenoscew i Bülow... I po to istotnie dziesiątki tysięcy krew przelewało, geniusze tworzyli, miliony wzrosły i coraz więcej wzrastają w świadomość narodową, aby niebezpieczeństwa polskiego *nie* było?!

Niebezpieczeństwo polskie jest — i w tem nasza chluba nasza siła, nasze prawo. Nie usunie go żadna respresya, żadna nikczemność — owszem, jak dmuchanie w żar poparzy tylko dmuchającego. Możemy czekać i wszystkiego żądać, wszystkiego się dopominać wszelkimi środkami — nie wbrew, lecz właśnie dzięki temu niebezpieczeństwu. Nie dlatego żądamy praw, żeśmy słabi, ale żeśmy silni; słaby potrzebuje kurateli, silny wolności. Nie chcemy Europy roztkliwiać, lecz sprzymierzeńców znaleźć, a tych znajdują tylko silni. A w naszych warunkach, wobec obowiązujących w dwóch zaborach ustaw eksterminacyjnych, każde dążenie do siły jest dążeniem rewolucyjnem, każdy krok ku sile jest śmiertelnem

niebezpieczeństwem dla tych, co siłę dzisiaj dzierżą. Walka więc — do ostatniej kropli krwi.

* * *

Cała nasza działalność, cała polityka polska sprowadza się do tego, by „niebezpieczeństwo polskie“ rozwijało się, rosło i nareszcie przerosło przeciwników.

Zadanie — zdawałoby się — nadludzkie, zadanie zupełnie niemożliwe, a jednak może i musi być osiągnięte.

Utwierdza nas w tem rzut oka wstecz, na drogę, którą jużesmy przebyli, utwierdza w tem rozumowanie i tendencye rozwoju, jaki przed nami się otwiera.

Sto lat temu czem była Polska? Mieściła się w tornistrach legionistów i w kilku salonach; dzisiaj żywiej bije serce polskie od Warty po Wilię, od Wisły po Bug, niż wówczas, gdy tam biwakowało wojsko narodowe. Cała literatura polska do początku poprzedniego stulecia to właściwie dwa tylko nazwiska — w ostatniem dopiero powstała literatura i sztuka, do wspaniałości świata należąca. W ostatnim dopiero wieku powstały zadatki nauk, bogatsze, niż u niejednego wolnego narodu; powstały te zręby stanu średniego, które się okazały dość silnymi, aby przyciągnąć mnóstwo Niemców i Żydów; powstał lud polski. Straciliśmy ziemi sporo, zyskaliśmy żywych ludzi; z tysięcy — na miliony urosliśmy; z poddanych — w potężnych duchem własnym. Najpowolniejszym za tym pochodem krokiem wlecze się Galicya, a kto zaprzeczy, że i w tym kraju jest postęp?

Niebezpieczeństwo polskie wzrasta, a jeżeli budzi w nas jakieś pragnienia — to w kierunku naprężenia wszystkich

sił, wszystkich środków, by rośło intensywniej i szybciej, by z ruchu żywiołowego — przemieniło się w ruch świadomy siebie, wszechstronny i celowy...

Musimy poddać rewizji wszystkie programy dotychczasowe i wytknąć sobie nowy, potęgujący napięcie wszystkich sił „niebezpieczeństwa polskiego“. Musimy zbudować go na najszerzej podstawie materalnej i duchowej.

Czy mamy powtórzyć, cośmy na tem miejscu już nieraz pisali, o potrzebie wyrwania naszego bytu z objęć typu feudalno-rolniczego i opierania go na wytwórczości przemysłowej przy najdalej idących prawach społecznych i ekonomicznych ludu pracującego? Teraz powinna ta prawda każdemu bić w oczy; teraz powinien każdy zrozumieć, że niegodnem jest mówić o ludzie, jako o najtęższym fundamencie narodowym, żądać odeń sentymentów i płacić mu nędzą i politycznym wyzyskiem; że niepodobieństwem jest, by ów fundament istotnie był tęgim, skoro ustrój gospodarczy pozbawia go mięszu i powietrza i samowiedzy...

Na dwa pierwszorzędne punkty programu przedewszystkiem uwagę chcemy zwrócić: na etyczny i zewnętrzno-polityczny.

Moment etyczny — to siła wewnętrzna człowieka, to ogień rozjaśniający i pracy martwą materję, to wyższość duchowa, w chwilach walki mnożąca słabe siły dziesięćkrotnie i stokrotnie. Mały Dawid, zabijający olbrzyma-Goliata, nie jest mytem. Moment etyczny to idea, nadająca instynktowi samozachowawczemu sankcję, prawo i zapał, działający cuda. Jako materya, masa ogromna, potrafimy — trwać; działać w obliczu historyi — duchem. Nic tak nie rozprzega, jak nieszczerłość wewnętrzna; potrafią nią żyć jednostki, nie na-

ród. Od dziejów i ludów żądamy sprawiedliwości — i ona szczerością naszą, siłą naszą, syntezą naszą. Ona jest jedyną negacją naszych ciemieców. Gdy jeden filozof niemiecki woła: *ausrotten!* a drugi mówi o rozbijaniu twardych czaszek słowiańskich; gdy naród hunów śpiewa pieśń konieczności fizycznej: „mein Vaterland *muss* grösser sein“, gdy minister sprawiedliwości nie wstydzi się policzkować elementarnych zasad etyki, pochwalając sędziów, którzy wydali wyrok ohydny z motywów politycznych; gdy drugie państwo ciąży na nas całym bezwładem niedźwiedziego cielska, kłamiąc czynami idei swojej, którą ma być „oswobodzenie słowian“ — my musimy im przeciwstawić sztandar bezwzględnej sprawiedliwości. Sprawiedliwość względem jednostek, klas i ludów. Sprawiedliwość nazewnątrż i nawewnątrż. Sprawiedliwość jako siła, tworząca jedność a czyniąca naród wolnym od wrogów najgroźniejszych: krzywdzonych mniejszości. Sprawiedliwość wśród poświęceń niemałych — dla rezultatów największych. Sprawiedliwość, od której serca nam samym urosną i dadzą świadomość swojej wyższości, gloryę misji wszechludzkiej, i która uczyni nas synonimem dla wszystkich, wpatrzonych w jutrznię ludzkości. Sprawiedliwość — ideologia, która podbiła ongi cały świat starożytny, podbiła nadludzki geniusz Napoleona; iskra, co jutro wybuchnie w pożar potężny a płonie już pod tronem każdego z Baltazarów dzisiejszych. Trudno, trudno wznieść się do wyżyny, z której z duchem świata mówili wielcy wieszcz polscy i gdzie króluje wiecznie uśmiechnięta Miłość: na sprawiedliwość każdy się zdobyć może — na cnotę tę, która nie popada nigdy w słabość i rezygnację, której nie opuszcza nigdy miecz karzący i która zawsze idzie naprzód,

choćby się zdawało, że zachwiana. W nią zbrojne — „niebezpieczeństwo polskie“ będzie tą ideą, która zabłyśnie na szczytach walczącej ludzkości — niezwalczona...

W potęgę nam wzrósć moralną, ale także w fizyczną. Możemy i powinniśmy sił naszą ilościową zdwoić, potroić — przez zyskiwanie sprzymierzeńców. Prawda — wyraz ten ostatni jest dziś w Polsce niepopularnym, technie bolem zawodu i goryczą słabości własnej. Tyle razy zawiedliśmy się na obcych, tak drogo okupiliśmy zaufanie i nadzieje, pokładane w obcych, że teraz wpadamy w drugą ostateczność i uważamy „ludzkość“ za frazes. Ojcowie zbyt dużo politykowali i wzrok wycęzali ku rewolucyi europejskiej, ku Napoleonowi, Palmerstonowi — my dziś politykę zagraniczną uważamy za giełdę szachrajską, na której można się pojawić tylko z notowanymi walorami w rękę — niedostępną zaś dla takich, jak Polska, proletaryuszy. A jednak... Skoro nawet Anglia, dumna zawsze ze swojej „*splendid isolation*“ skarży się na niepopularność i osamotnienie wśród narodów, skoro tacy potentaci, jak Rosya, Francya, Niemcy starają się o sprzymierzeńców — o ileż więcej powinno na nich zależeć nam, mającym walczyć na kilku naraz frontach! Pytanie tylko: gdzie tych przyjaciół szukać. Istotnie między państwami obecnej Europy znaleźć ich nie możemy. Pożerane przez pokój zbrojny, miliardy wydają bezustannie na przygotowania wojenne, w śmiertelnym strachu, by do egzaminu z tych przygotowań kiedyś nie przyszło. Jak owi zabobonni wobec cholery nie wymawiają nawet między sobą nazwy choroby narodowościowej — a ta ciągle bardziej się jątrzy. Sprowadzone do roli policyantów dla obrony silnych — rzadko troszczą się o interesa słabych w obrębie swoim

własnym, cóż dopiero w cudzym! Po cichu niejedno wyciągnie dłoń, by mać, jawnie do pomocy — ani palca. Ma myż jej szukać wśród „braci“ słowian? Południowi — wogóle dla nas nie istnieją; mowa może być tylko o czechach, którzy do walki z caratem z pewnością nie staną, i o rusinach, którzy mają z nami główne interesa polityczne wspólne, ale względem których długo musielibyśmy czynną kierować się polityką sprawiedliwości, by rozprószyć wiekową nieprzyjaźń.

W smutnej sytuacji, w której zimny wiatr nam dmie w oczy a psy do kolan bezustannie przypadają — tembardziej powinniśmy dłonie wyciągać ku tym, którzy zawsze mają dla nas uczucia sympatii i obrony — ku stronnictwom robotniczym wszystkich krajów. Nie ze stanowiska socjalizmu przemawiamy, lecz — polityki polskiej. Trzeba doprawdy dzikiego wprost bałwochwalstwa względem światów oficjalnych, jakie panuje u nas, aby spoglądać wiecznie w „górze“ a przeoczać te wspinałe manifestacje na rzecz polską, jakim dali wyraz socjaliści niemieccy w Berlinie, włoscy — w parlamencie rzymskim, reprezentanci wszech narodowości na zjeździe w Antwerpii. Trzeba całego barbarzyństwa i kultu dla siły brutalnej, jaki w nas wszczepiają tryumfy niemieckie, aby taki dr. Ochorowicz mógł głosić, że jedynymi uczciwymi Niemcami — są hakatyści. Więc ci posłowie niemieccy, którzy stanowią trzecią co do wielkości partycę w parlamencie berlińskim a mają za sobą miliony obywateli; ci posłowie socjalistyczni, którzy z bezprzykładną odwagą rzucili swym rodakom w twarz słowa wzgardy i potępienia za politykę germanizującą; dalej ci szlachetni „wolnomysłni“, którzy również wierzą jeszcze w ludzkość — ci istotnie nie istnieją?

Dziwne zaślepienie, każące przeoczać tak żywe, tak głębokie i silne źródła pomocy. „Europa“ stara jest pojęciem tylko geograficznem, brudna, egoistyczna, jak zwykle starcy — za nią idzie młoda Europa, reprezentująca już dziś dziesiątki milionów, a te są z natury całego swego światopoglądu, ale także z konieczności materyjalnej naszymi sprzymierzeńcami. Nie z humanitarności, nie dla abstrakcyi, nie z sentymentu — choć i te uczucia nie są kapitałem martwym — lecz w dobrze zrozumianym, najgłębszym interesie własnym. Ta „Młoda Europa“ wie dobrze, że Prusy i Moskwa — to śmiertelni a najniebezpieczniejsi jej wrogowie. Już raz Rosya obcemu mocarstwu podała dłoń dla stłumienia rewolucyi ludu — nahajki i pikielhauby do takich usług zawsze gotowe. Są one najsilniejszą ostoją obecnego „porządku“ w Europie, o którego ładzie i wartości etycznej dobrze chyba wiemy. Z niemi też młoda Europa na śmierć i życie walczyć musi. Jest ona z natury swej naszą sojusznicą, nas zaś z nią łączyć powinien jeśli nie wspólny ideał — to racya stanu, interes polityczny. Myśl polityczna każe carowi-autokracie z odkrytą głową słuchać Marsylianki — ona też każdemu polskiemu potryocie każe wyciągnąć dłoń do sztandaru, na którym napisano: *In tyrannos!* Będziemy za sobą mieć nie bohaterów salonowych tchórzliwych lub dyplomatów zimnych, lecz miliony ludu, których wpływ na rządy z każdym dniem wzrastać musi i którzy idee swoje umieją krwią przypieczętować.

* * *

Wobec prześladowań niesłychanych, jakich przedmiotem jest naród polski, wyrabia się w nim patryotyzm, który

można nazwać konserwatywnym. Zasadza się na tem, aby użyć wszystkich możliwych środków li dla ochrony i zachowania swojej narodowości. Przypomina to w zupełności patriotyzm ludu żydowskiego. Więc odcieć się od wszelkiego ludu obcego, zazdrosne strzeżenie zabytków kultury swojej, gromadzenie zasobów. Wszystko to wystarcza, aby trwać — nie, aby iść naprzód i zdobywać. Jak wszędzie — tak i tutaj stagnacya jest martwotą. Musimy być zespoleni i silni nawewnątrz, ale równocześnie iść naprzód z walczącą ludzkością, reprezentując zasadę, najbardziej obecnie krzywdzoną, a równocześnie zbroić się w liczbę, w sprzymierzeńców. Musimy zjednoczyć czynniki materyalne, moralne i polityczne. A gdy to dzieło będzie dokonane — „niebezpieczeństwo polskie“ ostatnią wrogom wybije godzinę.

POLICYA A SZTUKA.

Od kilku lat jesteśmy świadkami ożywionego, niebywałego ruchu we wszystkich dziedzinach sztuki polskiej. Po latach cudnych, kiedy się żyło z bogatej spuścizny przodków, nastąpiły lata tłuste: produkcyi i składania zapasów. Mówią o odrodzeniu poezyi, dramatu, malarstwa polskiego — o renesansie...

Od lat kilku jesteśmy też świadkami ożywionego, niebywałego we wszystkich tych dziedzinach sztuki ruchu c. k. policyi i prokuratoryi. Im wyżej i potężniej króluje nasze słońce, tem większy — wbrew prawom przyrody — idzie za niem cień. Czy jest jeszcze naród w Europie, w którego stolicy nie wolno się rozlegać najwspanialszym dźwiękom natchnień jego mistrzów? U nas nie dosyć, że w Warszawie dotąd kneblują usta wielkiej trójcy wieszczów narodowych, że nieznane tam najgłębsze utwory Zycha, Wyspiańskiego — z haczykami paragrafów austryackich czychają na nich jeszcze c. k. urzędnicy w Galicyi. Doszło do tego, że nie ma żadnego, dosłownie ani jednego pisarza Młodej Polski, któryby nie był szarpany przez te haczyki. Wyrwał im się Tetmajer, kropkami zastępując Strofy jednego z najpiękniejszych swych poematów (w seryi III), inni musieli dzieci ducha

swego wydawać na całopalenie, na tortury przez wydzieranie im kawałków ciała, na ciemnicę... Konfiskowano i zniszczono utwór Kasprowicza („Chrystus“), Żeromskiego („Poganiń“, przedruk w „Naprzodzie“), Przybyszewskiego („Requiem aeternam“ w „Krytyce“); na ciemnicę — bez światła scenicznego, do którego zostały stworzone — skazano zakazem cenzury teatralnej dzieła Rossowskiego („Circe“), Rydla („Jeńcy“), Maskoffa („Car jedzie“); wydzierano szmaty ciała z żywego organizmu dzieł Wyspiańskiego („Wesele“), Niemojewskiego (Rokita“) i tego najmłodszego z młodych, Słowackiego... Liczba nazwisk dałaby się powiększyć; nie ma prawie głowy, na której natchnienie kładzie swoje pomazanie, aby ręki swojej nie kładła też na niej policya. A palce jej miejscami wyciągają się także do niejednej reprodukcji dzieła malarskiego. Sprawa „Legend“ Niemojewskiego to tylko ogniwo w dławiącym łańcuchu...

Żyjemy w czasie renesansu sztuki polskiej — i nie jestto przypadkiem, że gdy świątynia sztuki się zaludnia, policya ma tu więcej „objektów urzędowania“. Nie jestto dziwnem, że właśnie najwybitniejsi przedstawiciele odrodzenia artystycznego wpadają w zatargi z władzą. Wszyscy ci pisarze, potępiani raz za wrzekomy konflikt z religią, to z moralnością, to znowu z bezpieczeństwem publicznem; wszyscy ci odrębni, sprzeczni z sobą pisarze mają rys wspólny, bez którego nigdy żadnego renesansu nie było: otrząsanie się z więzów przeszłości, wrywanie się z ciemni i cieśni dotychczasowej, aby pełnią sił swej indywidualności wzlatywać ku słońcu. Dlatego właśnie jest każdy renesans tak wstrętny wszystkim duchom średniowiecza, wszystkim żywiołom ciemnoty i ciasnoty, dlatego organ panującego konser-

watyizmu, władza bezpieczeństwa, konfiskuje wszystkie, jakie tylko dostrzeże — skrzydła...

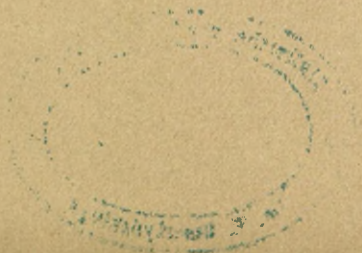
A teraz pomyślmy, co by to było, gdyby nasze dzisiejsze władze bezpieczeństwa żyły za czasów pierwszego tego rozkwitu, jaki ludzkość we wdzięcznej zachowuje pamięci: w Grecyi starożytnej; gdyby tam naszemu cenzorowi teatralnemu przedłożono już nie komedię zdecydowanie niemoralnego Arystofanesa, lecz tragedję pewnego Sofoklesa, w której powietrze przesiąknięte jest kazirodztwem i ojcobójstwem, albo utwór niejakiego Eschylosa, w którym bohater urąga Bogu nieśmiertelnemu; gdyby tam nasz stróż bezpieczeństwa zoczył tabliczkę z przepisami jakiegoś Lykurga, zalecającego nagą, bezczelną gimnastykę wspólną młodzieńców z dziewczycami, albo gdyby zoczył obywateli, ustawiających w świątyni jedną z tych rzeźb, które do dziś dnia stanowią rozkosz naszych serc, kwiat naszej dumy? I co by to było, gdyby dzisiejsze nasze władze bezpieczeństwa żyły za czasów najwspanialszego renesansu, jaki ludzkość we wdzięcznej zachowała pamięci: we Włoszech piętnastego i szesnastego wieku; gdyby tam naszemu cenzorowi Machiavelli przedłożył był swą Mandragorę, Ariosto — swego Orlanda; gdyby tam władze bezpieczeństwa zobaczyły niejakiego Michała Anioła Buonarottiego, ustawiającego na publicznym placu swego Dawida lub malującego w gmachu, gdzie papieże nieraz mszę odprawiali, swą nieskończoną galeryę ciał potężnych, pozbawionych jeszcze owych fartuszków, w które je potem kazał ustroić Paweł IV? I co by to było, gdyby współczesnemu c. k. galicyjskiemu urzędnikowi, tak dobrze znającemu się na tajemnicach religii, obyczajności, etyki, porządku i ładu, dano „do zreferowania“ takie dzieła, stanowiące etapy w od-

rodzeniu ludzkości, jak „Raj utracony“ Milтона, „Zbójcy“ Schillera, „Faust“ Goethego, „Manfred“, „Kain“ i „Don Juan“ Byrona, „Dziady“ i „Kordyan“ przez niestety — Polaków...

Coby to — jednym słowem — było, gdyby sztuka „nagiej duszy“ lub wielka sztuka ideowa były zależne od jakichkolwiek władz państwowych?! Nie cierpiałyby na tem te miernoty bez indywidualności własnej, ci kastraci ducha, niezdolni do czynów męskich, ci fabrykanci piękna podług uznanych recept, którzy i u nas cieszą się protekcją i popularnością, ale biada wszystkim duchom uskrzydłonym, prowadzącym ludzkość w krainę piękna i wielkości! A że podobne duchy i u nas na renesans dzwonią, że i u nas coraz więcej szczerych, śmiałych twórców i pionierów dróg nowych — stąd wzmożona czynność tych, którzy w każdym, idącym szybkim krokiem — dopatrują się podejrzanego i chwytają go za kołnierz; im niezależniejszą i potężniejszą nasza twórczość — zaco pokolenia przyszłe będą jej tak wdzięczne — tem groźniejsze pętają ją niebezpieczeństwa w teraźniejszości...

* * *

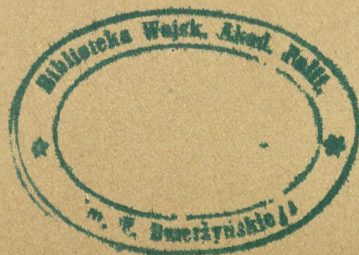
Pocziwe umysły, które każdą bolączkę muszą zażegnawać jakąś pociechą, znajdują i dla tej sprawy promień optymizmu. Za naszych czasów spalono tylko książkę Kasprowicza, kilkaset lat temu byłoby się spaliło samego poetę; za naszych czasów zamknięto tylko w tece pewne utwory teatralne — dawniej byłoby się ich autorów zamknęło w ciemnych lochach; obecnie tylko złe języki szarpia Niemojewskiego — wówczas byłyby go szarpały wiadome ciepłe obcegi..



Pociecha najfałszywsza i po stokroć szkodliwa, bo usypiająca mózgi, usypiająca sumienia. Wobec kodeksu Torquemady ktoby z ludzi dzisiejszych na śmierć nie zasłużył? Musimy ludzkość mierzyć miarą najwyższych, musimy badać warunki rozwoju okresów najświetniejszych; one okażą, że jedynie zasada absolutnej, niczem nieograniczonej swobody sumienia, swobody myśli i sztuki, umożliwiła rozkwit najwspanialszych indywidualności i najpiękniejszych wieków dziejowych. Jakiegokolwiek ograniczenie tej miary pozbawiłoby ludzkość jakiegoś z owych wyrazów jej ducha, które jedynie czynią życie świetlanem i pozwalają przynajmniej marzyć o pełni potęgi, dostojności i geniuszu, zaklętego w najwyższych egzemplarzach rodzaju człowieczego. Każda organizacja tej wolności jest robotą kata przy łożu Prokrusta; nie zaszkodzi ono człowieczkom o właściwościach gumy, umięjącym w miarę potrzeby kurczyć się i rozciągać; okaleczy lub zabije ludzi o silnej kości pacierzowej...

I nie łudźmy się — ograniczanie to, knebłowanie sztuki wzmaga się coraz bardziej; w porównaniu ze swobodą, jakiej zażywała dawniej, jest ona dzisiaj niewolnicą. Przyczyna leży w najprzewrotniejszej, najbardziej przeciwnej naturze, podstawie dzisiejszego państwa. Ci sami konserwatyści, którzy nie mają dosyć słów skargi na onnipotencję tego „moloča“, na „germańską“ ideę państwa, wkraczającego we wszystkie stosunki, pragnącego wszystkich obywateli zamknąć w mundurach i koszarach — ci sami konserwatyści wołają pomocy państwa we wszystkich wypadkach, kiedy zagrożoną jest ich oficjalna tradycja, ich oficjalna religia, ich oficjalna moralność.

I oto jesteśmy świadkami potwornego widowiska: zo-



stawiania swobody człowiekowi tam, gdzie ona powinna być ograniczoną, a krępowania jej, gdzie hamulec jest zabójczy.

W społeczeństwie dzisiejszem dozwoloną, wywoływaną jest wolna konkurencya w dziedzinie materyalnej, tłumioną jest natomiast — w duchowej.

Wolna konkurencya w sferze interesów materyalnych odbija się skutkami tak na pierwszy rzut oka strasliwymi, że potrzeba jej ograniczenia nie powinna nawet podlegać dyskusyi. Mimo to na wołanie o zmniejszanie przydługiego dnia roboczego, o zmuszanie właścicieli kopalń i fabryk do środków ochronnych, któreby zapobiegły tak częstym katastrofom i degeneracyi, o opodatkowanie bogatszych na rzecz uboższych — otrzymuje systematycznie odpowiedź: nie można. Prawo konkurencyi ma swoje konieczności... bodaj ze względu na targ międzynarodowy... nałożenie wysokich ciężarów na nasz przemysł zrobi go niezdolnym do konkurencyi...

W tej więc dziedzinie, gdzie na każdym kroku czycha choroba, śmierć, sieroctwo, skarłowacenie całych generacyj, społeczeństwo i państwo konserwatywne zostawiają możliwie najszersze pole swobodzie; w duchowej zaś, której prawdy są zawsze kwestyą wiary, nie pewnikami, w której niema żadnych kryteriów absolutnych, krom uczuć, a żadnych szczebli postępu, krom badania, twórczości, natchnienia wolnych duchów — w tej dziedzinie duchowej, w której nawet z najgwałtowniejszego ścierania się mieczów pryskają skry rozświetlające ciemności — tu właśnie swoboda nauczania, swoboda wyrazu, wolna konkurencya uczuć i myśli jest na każdym kroku krępowaną.

Jestto nonsens tak potworny, że przyszłe pokolenia z trudem tylko będą mogły go rozumieć, podobnie jak my

niełatwo rozumiemy psychologię społeczeństw, które nie wi-
działy obok siebie tysięcy i milionów cierpiących niewolę,
głód, trąd, upodlenie, a z troski o dusze — paliły na sto-
sie dziesiątki tysięcy kobiet i dzieci za stosunki z dyabłem.
Wszelkie prześladowanie za uczucie i myśl bezbożną lub
niemoralną, to tylko inna forma „młota na czarownice“;
wszelkie wkraczanie państwa w dziedzinę ducha — to tylko
inna forma zasady *cuius regio, eius religio* — o owo-
cach wszystkich tych czynów przyszłość jednakowo sądzić
będzie.

* * *

I komu to być zwolennikiem cenzur, prokuratorów, apa-
ratu państwowego przeciwko pewnym dziełom ducha?!

Z chwilą, kiedy w zasadzie się zgodzimy na potrzebę
wprowadzania urzędowych kołnierzy do świątyni sztuki, z tą
chwilą musimy przyznać to prawo cenzurowania nas urzę-
dnikowi rosyjskiemu, pruskiemu albo Czechowi, Niemcowi,
który może kiedyś będzie jeszcze urzędował we Lwowie
i w Krakowie.

Bo jedno z dwojga: albo sędzią najwyższych spraw
swego ducha jest naród cały, wówczas każdemu twórcy musi
być pozostawiona swoboda apelowania do niego, wolna kon-
kurencya duchowa — albo organa państwowe, więc każdego
danego państwa.

Jeszcze dalej. Wprowadziwszy raz policję do świątyni
sztuki, możemy wiedzieć, na czym ona rozpocznie „urzędo-
wanie“, ale nie — na czym skończy.

Pojęcia o moralności są tak względne, granica między
religią a ubraną w płaszcz jej partyą, jest tak płynną, prze-

dział między „bezpieczeństwem publicznem“ a tendencją oficjalnej polityki tak nieznacznym, że wzięwszy tylko rozpęd — rumak drobne te baryery z pewnością przeskoczy. Ów c. k. starosta, co niedawno zakazał deklamowania na wieczorku „Reduty Ordon“, wyciągnął tylko konsekwencję z przyznanego sobie przez Galicyę prawa. Ten jegomość z policyi, co wczoraj usunął z wystawy sklepowej „Dirce“ Siemiradzkiego, jutro ze względu na moralność publiczną usunie Boecklina, pojutrze Tycyana lub Rubensa, potem zrobiwszy skok z moralności do bezpieczeństwa publicznego, będzie usuwał „Iwana Groźnego“ i „Hołd pruski“, jako obrażające cara i koronę pruską.

Nie. Organa państwowe — wszystkie organa, każdego państwa — są czysto ludzkie; sztuka ma początek, który niedarmo przypisywano bogom; źródłem i celem państwa jest interes — sztuka odrywa nas od interesów, prowadzi w krainę absolutu; państwo dzisiejsze jest w istocie swej klasowe — sztuka prowadzi nas w głąb „czystej treści człowieka“. Nawet tam, gdzie sztuka wydaje się być tendencyjną — otwiera ona przed nami, o ile jest szczerą, tajemnice serca ludzkiego, bodaj — serca autora, i jest w ten sposób emanacją cząstki ducha kosmicznego.

Chcieć podporządkować sztukę państwu — znaczy podporządkować duszę materji; to co związane z Nieskończonością — temu co małe, przemijające, ziemskie. Jeżeli na sto konfiskat jedna pozbawi nas wybitnego dzieła — więcej złego przez to narobiła, niż zdziałałaby mogła reszta groźnych utworów w świat rzucona. A tembardziej odnosi się to do narodu, który tylko w sferze sztuki ma możność wyrażania

swej indywidualności i tylko dziełami sztuki może się teraz zapisywać na kartach dziejów powszechnych.

Brońmy wszelkimi siłami sztuki przed wszelką kuratelą; „każde — mówi Słowacki w liście do Statlera — zwycięstwo sztuki jest zwycięstwem ducha — w krainie przyszłości“...

SKARŁOWACENIE IDEAŁU.

Jak baśń czarodziejska, jak melodia przecudna dawno przebrzmiała, brzmi dziś opowiadanie o człowieku z czasów zamierzchłych. Jak o Olimpie i jego mieszkańcach czytamy dziś o tych, którzy przecie ziemię zamieszkiwali i których odbicia w marmurze i słowie rzeźbionem dzisiaj jeszcze serce krzepi, nasuwając zarazem melancholijne refleksye o człowieku, jakim jest i jakim mógłby być, gdyby...

Gdyby!

Każdy wolny jest obywatelem, żołnierzem, sędzią, znawcą i lubownikiem sztuki. Każdy wolny spędza młodość w gimnazjum, jest gimnastykiem, dyskobolem, zapaśnikiem, atletą; mąż zasłania piersią ojczyznę i w tryumfie odbywa na cześć bóstwa religijny taniec, Sofokles po bitwie pod Salaminą nago tańczył pean; człowiek jest arcydziełem; lud nawet ubogi na swoje gimnazya, kąpiele, zasiada w trybunałach, chodzi na zgromadzenia publiczne, decyduje tam nietylko o wojnie i spokoju, lecz także o posągach, świątyniach, teatrach, procesyach, uroczystościach dyonizejskich; lud nawet ubogi chodzi na przedstawienia i igrzyska, słucha mowców i filozofów, wielbi

piękno i uczy się wielbić myśl, „najlżejszą i najczystsza z substancyj“. Ustrój demokratyczny temu życiu, godnemu „bogów i zwierząt“, bynajmniej nie przeszkadza; rozwijają się w nim najpiękniejsze typy sztuki i duszy starej Europy. Niema wprowadzonej przez żydów przepaści między duchem a ciałem — niema też, i w tem tragizm dzisiejszy, przepaści między godnością ludzką a panującymi o niej pojęciami. Niewola istniała, ale sankcyonowana przez prawo, przez religię, przez etykę. To był naturalny porządek rzeczy; korzystając z niego każdy był w zgodzie ze swoim sumieniem. I wsparty o szeroką podstawę samowładztwa ludu wytworzył się typ człowieka, skąpany w słońcu, o wszechstronnej pełni sił i władz swoich, posąg piękny z duszą artysty-dziecka, z ramieniem i umysłem obywatela, cały człowiek, harmonia, ideał..

Typ podobny panuje w dziejach długo. Pogłębia się natura człowiecza, pierwiastek metafizyczny bierze górę nad cielesnym, odkrywa dokoła siebie i w sobie więcej tajemnic, niż poprzednio mógł przypuszczać: pełnia, harmonia życia tylko w czasie moru, głodu, ostatecznego barbarzyństwa lub wyrafinowania ostatecznego ulega zepsuciu. Rycerz służy krajowi ramieniem w boju, myślą na radzie, na wsi chodzi za pługiem, odycha wonią łąk i pola. Rzemieślnik traktuje swoją robotę, jako sztukę, wędrownkami poznaje świat szeroki, nie odrywa się zbyt od natury; w swoim społeczeństwie radzi, bawi się, walczy. Wszędzie zgoda ideału z życiem, w jej granicach cały, kompletny człowiek, z pełną potęgą ciała i ducha, żyjący sobie i drugim i idei wyższej..

Czas epopei i sielanek niepowrotnie minął. Na każdym pasku ziemi żyje obecnie dziesięć i sto razy więcej ludzi,

niż dawniej; przez duszę każdą nowoczesną przechodzi obecnie więcej pługów i siewników, niż dawniej przez dusze wybrane. Skomplikowało się życie, skomplikował się człowiek; ma mózg, który pochłoniął mądrość wszystkich ludów i wieków, ma sumienie, które zna Buddę i ewangelię, testament rewolucyi i Kanta, ma olbrzymią wiedzę techniczną, która czyni niepotrzebną pracę niewolniczą, podnosi godność człowieka, pozwala ujarzmić przyrodę, zaspakajać najwybredniejsze wymagania, żyć w pełni słońca i swobody — ma ideały, morzami krwi mas niezliczonych, wysiłkami geniuszów, męczeństwami bohaterów okupione, ma to wszystko i...

* * *

Mamy przed sobą („Czasopismo prawnicze i ekonomiczne, organ wydziału prawa i administracyi Uniwersytetu Jagiell. oraz Tow. prawniczego i ekon. w Krakowie“, Zesz. 1—2) „Wywiady nad położeniem robotników wykwalifikowanych w Krakowie“. Z trudem nie miałym, z sumiennością nie pozostawiającą nic do życzenia, pierwszą tę ankietę o stosunkach robotników w jednym z głównych miast Polski opracowała dr. Zofia Daszyńska-Golińska. „Pracą kierował cel wyłącznie naukowy, a wszelka chęć ubarwienia stosunków i przedstawienia ich bądź w gorszym, bądź w lepszym świetle z góry była wykluczona“.

Czytajmy jej cyfry, zanurzymy się w głąb obrazów, które klucz ten otwiera — wejdziemy w czeluście Dantego. Z tą różnicą, że w piekle tem nie przebywają zbrodniarze i grzesznicy, potwory rodzaju ludzkiego, lecz ludzie, których jedynym grzechem, że się urodzili ubogimi, jedyną zbrodnią — cierpliwe znoszenie swego jarzma.

Jak żyją tysiące „wykwalifikowanych“, więc nie należących do „lumpenproletaryatu“, robotników w Krakowie? Pracują normalnie: zecerzy godzin 9, murarze, cieśle, blacharze chrześc. 10—11, ślusarze chrześc 10—11¹/₂, ślusarze żydowscy 11—12, ceglarze 12, cholewkarze żydowscy 12—14, blacharze żyd. 12—14, piekarze żyd. od 12 wyżej, piekarze chrześc. 10—16, krawcy chrześcijańscy 12—16, żydowscy — liczba nieoznaczona, szewcy chrześc. pracują od 11 wyżej, żydowscy od 16—17. Cyfry te nie wyczerpują jeszcze wysokości czasu roboczego nawet w powyższych zawodach; są bowiem jeszcze stopniowania na gorsze, zależnie od stanowiska robotnika i od sezonu. Tapicerzy pracują w jesieni do 1¹/₂1 w nocy i noc całą z soboty na niedzielę, lecz za osobną płacą: to arystokracja; kuśnierze w grudniu i listopadzie pracują całe noce do 5 i 6 rano, żydowscy cholewkarze noce całe przed każdymi świętami — bez dopłaty; krawcy chrześcijańscy w zimie nieraz pracują noc całą, w niedzielę do 10 lub 12 rano, piekarze pozostają w niektórych piekarniach po 18, 19 a nawet 21 godzin na dobę. Jeszcze nie dosyć... dalej czytamy! Krawcy żydowscy przychodzą często do roboty o 3 rano, od czwartej rano we czwartek trwa robota do piątku wieczór, przez listopad i grudzień — całe noce bez przerw żadnych. Szewcy chrześcijańscy pracują w domu nieraz do 12 w nocy; do warsztatów, gdzie płacą od sztuki, przychodzą nawet o 5 rano i odchodzą o 9 lub dziesiątej wieczór; zdarza się, że nie śpią od wtorku lub środy rano do niedzieli w południe. Szewcy żydowscy pracują tylko 16—17 godzin, a dłuższa robota zdarza się przed świętami; robota od czwartku rano do czwartku wieczór jest u nich rzeczą zwyczajną.

To czas roboczy. A płaca? Obraca się ona w granicach bardzo elastycznych; arystokracja robotnicza, zecerzy, zarabiają 13 i 20—25 zlr. tygodniowo, potem następuje spadek coraz szybszy, coraz gwałtowniejszy, dochodzący do płac głodowych. Pobiera więc zwykle czeladnik-stolarz chrześc. 6·25—8, introligator chrześc. 12, ślusarz chrześc. 8—10, tapicer chrześc. 8—11, kuśnierz 4—5, cholewkarz żyd. 6—9·50, ceglarz (robotn. z pomoc.) 2·50—5, blacharz żyd. 4—8, szewcy 5—7 i t. d. — im dłuższy czas roboczy, tem niższa płaca, świat typowy, w którym im ciemniejszy, cichszy, mniej kupą idący człowiek, tem okropniejsze warunki życia. Rozumie się, że płaca jest sezonową, to znaczy, że są miesiące, kwartały, półrocza, kiedy robotnik jest zupełnie pozbawiony zajęcia, albo musi przyjąć wynagrodzenie jeszcze gorsze; rozumie się, że warunki te odnoszą się tylko do wykwalifikowanych i samodzielnych, liczny więc zastęp pomocników i wyrobników pracuje dłużej i otrzymuje mniej; rozumie się, że mowa tu wszędzie o czasach normalnych, jakie mieliśmy przed 4 i 3 laty, gdy ankieta się odbywała, dziś czas gorszy, stagnacja, robota za bezcen, głód chroniczny, emigracja, przechodzenie majstrów do proletaryatu, robotników do lumpenproletaryatu...

Takie stosunki panują wśród robotników. Wśród robotnic oczywiście gorsze. Takie stosunki panują w Krakowie. Na prowincyi oczywiście gorsze. Wyjątkami są oazy fabryczne, zresztą rzemiosło, przemysł domowy przykuwa ojców i matki, starców i dzieci do stołka, od świtu do późnej nocy, obraca ich w niewolników, w rzeczy, w automaty, za łyżkę strawy, za szmatę tandetną. W święto tylko pozwala pójść do domu bożego, gdzie religia obwieszcza, że wszyscy ludzie

są równi wobec Boga: czasem wzywa ich także państwo, by wrzuceniem głosu do urny zadokumentowali, że są równi wobec najwyższych praw obywatelskich. W teorii zakreślono rozwojowi człowieka najszersze granice — w praktyce zmniejszono człowieka, nadłamano mu kości, wyssano zeń krew, zwięzono mu klatkę piersiową, w automat, w śmietnik obrócono jego duszę — wspaniały ów, w słońcu, pięknie, dzielności kąpiący się niegdyś okaz harmonii przyrody przeobrażono w twór szpetny i nędzny, w fizycznych i umysłowych kartłów...

* * *

Nie łudźmy się — prometeizm nasz społeczny w ostatnich czasach bardzo osłabł. Był czas, kiedy wstrząsał posadami naszej literatury i życia naszego: zdawało się, że z starymi bogami walkę stoczy śmiertelną, że odbłask wyrwanych im ogni przyćmi wszystkie inne ideały — nawet narodowy. Teraz mamy zwrot wręcz przeciwny. Prometeizm narodowy wszedł w nieprzedawnione swoje prawa, naród przykuty do skał, szarpany przez sępy, napina całą wolę, wszystkie siły, by stawiać czoło przywłaszczycielom, którzy także ulegną konieczności...

Idea — kwestya życia dla nas i tylko z życiem da się wyrwać; ale czy istotnie powinna nam ona zasłaniać wszystkie inne? czy doprawdy, należy pytać, prometeizm narodowy powinien osłabiać, usuwać, zaciemniać ideał ogólnoludzki?

Na dnie „socjalizmu“, obejmującego kwestyę społeczną syntetycznie, zamiast rozbijać ją na „kwestye“ społeczne, na objekty filantropii lub na łataniny prujące się codzien — na dnie socjalizmu, nie w ciasnym sekciarskim tego słowa

znaczeniu, kryje się jedna nieskończona tęsknota, jeden cel olbrzymi. Przyświeca mu obraz ludzkości, któryby raz na zawsze zgasił okropny typ tego nędzarza nad nędzarami, tego pohańbienia i upokorzenia rodzaju ludzkiego, tego człowieka-surrogatu maszyny, którego smutne oblicze ukazała nam ankieta krakowska. Przyświeca mu obraz ludzkości, w której człowiek przestanie dźwigać najpodlejsze jarzmo, wyprostuje barki, podniesie głowę do słońca, ku któremu — od świtu do nocy zamknięty w norze — zapomniał już spoglądać. Chodzi o taki porządek rzeczy na świecie, aby pozwalał każdej jednostce znowu rozwijać się wszechstronnie: fizycznie, moralnie, artystycznie, umysłowo; aby wyzwoliwszy ją z niewoli u martwych rzeczy, u form produkcji, wyzwolić w niej w całej pełni treść człowieczeństwa. Nawet najmniejsi z nas żyją dzisiaj tylko fragmentami swojej natury, inne ich władze marnieją, stają się przeżytkami; już to samo wydaje na cywilizację, tak obniżającą typ człowieka w porównaniu z helleńską, wyrok potępienia; zamienia on się w przekleństwo, bolem i żalem milionów nabrzmiąte, gdy ukazuje nam żywot przez pryzmat naszej ankiety. I wtedy dusza wyrывa się z nędzy naszego bytu w świat piękna i siły, w przyszłość marzoną przez poetów, przewidywaną też przez ludzi nauki. Wszystka młodź otrzyma wychowanie i wykształcenie odpowiednie swym zdolnościom umysłowym, nie płatniczym; ćwiczona w szlachetnych igrzyskach gimnastycznych z czasem zastąpi brutalne, pasożytnicze armie stałe kadrami ludowymi, w których każdy obywatel — jak dziś już u Boerów — znowu będzie rycerzem, obrońcą, bohaterem; zastosowanie wszystkich zdobyczy technicznych sprowadzi potrzebę zarobkowej pracy fizycznej do minimum, przy

ogólnej inteligencji dozwoli każdemu często zmieniać swe zajęcia, oddawać się czynnościom tylko zdrowym i przyjemnym; skrócony czas roboczy i rozwój duchowy umożliwi każdemu udział w życiu swojej ojczyzny, istotnie matki, nie macochy, dozwoli każdemu rzucić głos swój na szalę spraw arcyzmu, sprawiedliwości, dążeń zbiorowych... Nie chodzi o raj na ziemi, lecz o usunięcie piekła; nie chodzi o puszczenie cugli ciała, lecz o harmonię wszystkich sił i powszechne wyzwolenie ducha. Przy całym pogłębieniu naszej natury, złączonej z Duszą Wszelchświata, możemy się zbliżyć do pełni i piękna dawnej Hellady, a przedewszystkiem uciec od panujących obrazów ohydy i zgnębienia człowieczeństwa, które potomnym trudniej przyjdzie zrozumieć i wytlómaczyć, niż nam system niewolnictwa.

Ideał ten niezupełny? przetwarzajmy go w głębi najlepszych naszych natchnień. Utopijny? obmyślajmy formy bardziej realniejsze. Ale w czym sprzeciwia on się naszemu prometeizmowi narodowemu? Czyż istotnie ten typ ludzki, jaki widzieliśmy w zwierciadle ankiety, więcej ramieniem swem i zapalem może zdziałać dla ideału narodowego; niż ten, który stoi u końca naszych tęsknot, albo który przynajmniej te tęsknoty nauczy się odczuwać i w krainie swej ojczystej zechce wcielać?

Oprócz barbarzyństwa, które nas z zewnątrz ściga, gnębi, dławii, mamy jeszcze moc barbarzyństwa wewnętrznego, z którego się zachód europejski coraz gruntowniej oswabadza; spuszczać to drugie z oczu — ułatwiamy pozycję pierwszemu; zaniedbując ideał ogólnoludzki, szkodzimy też narodowemu. Skarłowacenie ideału jest wyrazem skarłowacenia ducha, a to się zawsze mści...

POŻARY W EUROPIE.

Gdy oblężenie trwa czas dłuższy, mieszkańcy miasta przyzwyczajają się do mnóstwa rzeczy, które w stanie normalnym wywołałyby popłoch i trwogę. „To zwyczajna pukanina“ — mówią sobie wobec nieustannych strzałów nieprzyjacielskich.

I Europa oswoiła się ze stanem wojennym, w jakim prawie bez przerwy żyje i który w wielu krajach przybiera często charakter oblężenia starego społeczeństwa przez nowe. „To zwyczajna pukanina“ — mówimy sobie, czytając o ruchach we Włoszech, rewolucyi in permanentia w Hiszpanii; „to zwyczajna pukanina“ — gdy w Rosyi jeszcze raz kilkuset studentów uderza na przedstawicieli ładu, i mądrości caro- i prawosławnej, i znowu wracamy do kieratu kawiar-nianej polityki i krotkowzrocznych kombinacyj, zapominając, że stan oblężenia trwa, zacieśnia swój pierścień, podkłada coraz niebezpieczniejsze miny.

Ostatnie wypadki w Belgii i Rosyi wstrząsnęły już murami i sercami najbardziej ze zwyczajną „pukaniną“ oswojonemi. Powinny też pobudzić do poważniejszyth refleksyj.

W Belgii znowu panuje spokój. Najbardziej kwitnący, najgęściej zaludniony, najklasyczej przemysłowy kraj w Europie, przez kilkanaście dni konwulsyjnie wstrząsany, przybrał zwyczajną swą fizyognomię. Zrewoltowani robotnicy stracili dziesięciu towarzyszy, stracili kilka milionów w zarobkach i dużo, dużo złudzeń. Pobicci, zwyciężeni.

A jednak tryumfują — a z nimi sztandar wyzwolenia ludzkości!

Co w Belgii najwięcej uderza — to niezdolność klerykalizmu, nawet tam, gdzie najbardziej kulturalne ma cechy, do czynów twórczych, do opanowania wzburzonych fal wieku, aby je powstrzymać w żywiołowym biegu lub nadać im kierunek przez cień szerokich kres kapeluszy jezuickich zakreślony. Bezsilność ta jest typową i prowadzi do jednego z pierwszorzędných pytań współczesnej cywilizacji: czemu kraje protestanckie (Niemcy, Anglia, Stany Zjednoczone) rozwijają się pokojowo, moralnie, potężnie, gdy kraje katolickie (Hiszpania, Włochy, nawet Francja a przede wszystkim południowo-amerykańskie) żyją wśród bezustannych prawie kataklizmów i pozostają w rozwoju swoim w tyle za tamtymi.

Belgia przy olbrzymim swym rozkwicie przemysłowym przez długi czas nie posiadała ruchu robotniczego w nowoczesnym znaczeniu słowa. Kilkadziesiąt tysięcy robotników w szóstym i siódmym dziesięcioleciu ubiegłego wieku prowadziło między sobą bezustanne wojny, przychyłając się raz na stronę komunizmu, to na stronę Bakunina; jednolita partya socjalistyczna powstała dopiero w r. 1885. Od tego roku wybujał tam ruch kooperatywny, i polityczny w intensywności swej nie mający zapewne w Europie równego sobie.

Przeszło milion osób — licząc z rodzinami — (ludność całego kraju nie dochodzi do 7 mil.) należy do stowarzyszeń spożywczych, rolniczych, pożyczkowych, kupna i wysprzedaży, prowadzących mleczarnie, browary, składy węgla, nawet zakłady ubezpieczeń; równocześnie są członkami partii. A pod względem politycznym? Już wywalczenie systemu wyborczego pluralnego — opartego bądź co bądź na prawie powszechnego głosowania i osłabiającego konserwatystów — było swego czasu zwycięstwem robotników. W r. 1894 po raz pierwszy odbyły się wybory na tej podstawie: liczba głosów robotniczych wynosiła 345.000; przy częściowych wyborach w r. 1896 przybyło im głosów 113.000, a w r. 1898 drugi raz tyle; partya zyskała więc przeszło 200.000 głosów, gdy liberali utracili w tym samym czasie 183.000 głosów, klerykali zaś 97.000 głosów; wybory z maja 1900 przyniosły robotnikom zwycięstwo jeszcze świetniejsze.

Cóż wobec tej jak lawina postępującej falangi — klerykali? Opierają się na większości. Większość przedewszystkiem fałszowana. System pluralny polega — jak wiadomo — na przyznawaniu po dwa głosy obywatelom żonatym lub zamożniejszym, a po trzy — posiadającym wyższe wykształcenie. Tyle w zasadzie. A w praktyce? Na 42.000 wyborców z kategorii inteligencji, przypada przeszło 7000 duchownych. Obywatel posiadający rodzinę nie ma jeszcze drugiego głosu, o ile nie płaci 5 franków podatku: otóż na 765.000 ojców rodziny, tylko 375.000 płaci ów podatek — 389.000 z prawa podwójnego głosu nie może korzystać. Mimo tych fałszerstw zasady — oddano w r. 1900 na klerykałów 993.445 głosów, na opozycję — 1,021.311, więc o 28.000

więcej, a przecie „technice wyborczej“ klerykałów udało się pozyskać w Izbie większość 18 do 20 głosów.

Większość za nędzna, by miała istotnie znaczenie moralne — wystarczająca jednak do przeprowadzenia użytecznych reform, do kierowania potrzebami ciała, do zapobiegania katastrofom. Ośmnaście lat jest ta partya u steru — kraj zawdzięcza jej tylko ciemnotę: 25 % analfabetów, zato rozkwit szkół duchownych z ujmą dla świeckich! zawdzięcza jej niesłychany wzrost najniesprawiedliwszych podatków konsumcyjnych, zawdzięcza jej protegowanie alkoholizmu i nareszcie brak obowiązku powszechnej służby wojskowej. I co dziwnego, że gorycz i niechęć wzbiera, że większość liberałów łączy się z socyalistami, że nawet od duchowieństwa odrywają się jednostki, nie mogące znieść dłużej obroży klerykalnej, że nareszcie musiała nastąpić rewolucya — „rewolucya pod pseudonimem“: strejk generalny! I wszystko o co? O głosowanie powszechne — o reformę, którą w Niemczech zaprowadził konserwatywny arcyjuncker, która istnieje w innych państwach — a posady ich nie pękają. Tej reformy obawiają się tak straszliwie klerykali — czyż nie klasyczny dowód słabości i złego sumienia?

Klerykali na razie zwyciężyli. Większością dwudziestu głosów odrzucili żądanie konstytuanty. Czem jest ta większość wobec żywiołowego pędu warstw opozycyjnych do potęgi i władzy? Odpowiedź dadzą już może najbliższe wybory. Klerykali liczą przeciw robotnikowi — na chłopa. Czem jest przykuty do roli, obałamucony przez kler, leniwy wieśniak wobec tego jedyne go w dziejach przykładu, jaki dała armia 300.000 robotników — objętych strejkiem generalnym! Niepodobna bez najgłębszego podziwu myśleć

o tej niezliczonej armii, która na komendę kilku zwyczajnych współobywateli jak jeden mąż odłożyła roboty, tracąc każdego dnia przeszło 2,000.000 franków zarobku — z bronią u nogi stała, czekając dalszych rozkazów (małe zaburzenia uliczne były niczem wobec tego, co byłoby mogło się stać na rozkaz jednego Vanderwelde'a!) — a na komendę znowu wróciła do kopalń i fabryk, martwą przez kilka dni objętych ciszą. Któreż manewry wojsk regularnych są tak imponujące, jak ta manifestacya! Ma ona przytem za sobą siłę moralną taką, jak poparcie przeważającej części liberalnego mieszczaństwa. Znaczna część przedsiębiorców wspierała strejkujących, Izby handlowe interweniowały na rzecz żądań robotniczych — co jeszcze raz świadczy, że w walce politycznej, szczególnie gdzie chodzi o obalenie panowania mui-chów i feudałów, interesa mieszczaństwa i robotników są identyczne. Klerykałom pozostaje ostatecznie tylko siła zbrojna, z pośród której coraz częściej dochodzi ich śpiew Marsylianki i wołanie: nie zabijaj! pozostaje im pomoc króla, którego powagę gruntownie zniweczyli, czyniąc go swym więźniem o zamkniętych ustach: oddawna wiadomo, że klerykali i absolutyści urodzonymi są wychowawcami — republiki.

Dlatego zwyciężeni tryumfują...

* * *

W Rosyi znowu zaczynają wybuchać miny podziemne. Od przeszło roku raz poraz pękają, zmiatając z powierzchni jednego po drugim z ulubieńców Mikołaja II, lub echem swoim sięjąc trwogę w sercach jednych — radość i otuchę w drugich. W lutym 1901 wystrzał studenta usunął oprawcę młodzieży, ministra „oświaty“ Bogolepowa, w marcu padł

strzał na złego ducha Rosji dzisiejszej — Pobiedenoscewa, z początkiem kwietnia b. r. były dwa zamachy na oberpolicmajstra Petersburga, w połowie — padł nadżandarm państwa, minister spraw wewnętrznych Sipiagin. To już coś więcej, niż zwyczajna „pukanina“...

A w podziemiach kipi. Zamachy te nie pochodzą od jednostek lub grup drobnych, mszczących krzywdy studenckie. W kwietniu 1901 pojawił się był ukaz Mikołaja II z zapewnieniem „serdeczniej opieki“ nad studentami — a w ciągu tego przeszło 2000 studentów relegowano z wyższych zakładów, 700—800 zamknięto w więzieniach, przeszło 200 wędruje na Sybir, inni pójdą do rot aresztanckich lub do znanych dalekich gubernij. Pan Witte swojej wspaniałej politechniki w Petersburgu nie otworzy — przetwarza ją w koszary; w innych wyższych zakładach naukowych było w ciągu roku 6—10 miesięcy feryj. Powszechnem stało się znowu zjawisko z przed lat dwudziestu: student i rewolucjonista są synonimami.

Nie w tem jednak znaczenie momentu historycznego. Już nie do lekceważenia jest fakt, że wśród inteligencji rosyjskiej pojawiają się coraz głośniejsze tendencje opozycyjne. Mniejsza o to, że tłusci kupcy w Moskwie zaopatrzyli 120 skazańców na Sybir w dostatnie ubrania zimowe, że złożono tam dla uwięzionych w ciągu jednego miesiąca przeszło 44.000 rubli; ale imponować musi miłość i cześć, jaką ta inteligencja otacza Lwa Tołstoja, podziwiać należy odwagę tych akademików, którzy do swego grona „nieśmiertelnych“ wybrali Maksyma Gorkija (— czyby też nasza Akademia na podobny heroizm się zdobyła!). Wre też od pewnego czasu w pewnych ziemstwach między szlachtą i mądry Witte

węszy tam widocznie niemałe niebezpieczeństwo, skoro występuje jako szlacheckich tych organizacyj stanowczy przeciwnik. Faktów tych nie należy przesadzać — nie są one atoli bez znaczenia: czynniki etyczne i głuche pomruki niezadowolenia natrafiwszy na ruch mas, na świadomą walkę polityczną, dużo jej dodają sił i skrzydeł. Zasadnicze jednak znaczenie ma zmieniający się coraz głębiej ustrój ekonomiczny Rosyi: powstawanie coraz silniejszego przemysłu, a z nim — rewolucyjnej klasy robotniczej.

Ruch nihilistyczny za Aleksandra II był ruchem jednostek przeciw jednostkom. Rosya nie miała ani burżuazji w nowoczesnem słowa znaczeniu, ani robotników. Jak często zdarzało się, że robotnicy przyłączali się do obław żandarmskich, chwyтали i wydawali władzy studentów! O sile dzisiejszej rosyjskiego ruchu robotniczego dokładnych cyfr nie ma, ale są ślady, pozwalające znaczne wyprowadzać wnioski. Oprócz mnóstwa czasopism rewolucyjnych zagranicą, wychodzą organy grup lokalnych („Myśl robotnicza“ — petersburskiej, „Naprzód“ — kijowskiej, „Robotnik Południowy“ — jekaterynosławskiej itd.). O sile organizacyj robotniczych może dać wyobrażenie obraz aresztowań, dokonanych przez żandarmeryę przed 1 maja 1901. Aresztowania odbyły się w Niżnym Nowogrodzie, Kijowie, Petersburgu, Rostawie nad Donem, Jekaterynosławiu, Odessie, Rydze, Charkowie, Moskwie. W tych miejscowościach można tedy widzieć silniejszy ruch robotniczy, skoro żandarmi wyłapywali ludzi, by zapobiedz demonstracyom, a demonstracye mimo to — się odbyły... Gromadzi się tedy pod skrzydłami cara i Wittego, opiekunów kapitalizmu, materyał palny — i oto zeszłego roku wielkie miasta uniwersyteckie poraz pierwszy były

świadkami przyłączania się do studenteryi — tysiący robotników, i oto ruch jednostkowy zaczyna być masowym...

Równocześnie opuszcza on coraz świadomiej mury uniwersyteckie — staje się czysto-politycznym. Jeszcze w lutym 1901 młodzież walczyła tylko o swobody akademickie — w bieżącym roku ma już cel dalszy, znaczenie szersze. „Manifest ogólnie rosyjskiego zjazdu studenckiego“ mówi: „Po wszechstronnem rozpatrzeniu położenia obecnego zjazd dochodzi do wniosków: 1) Ruch studencki jest ruchem politycznym. Zjazd chce powiedzieć przez to, że ruch studencki jest uwarunkowany ustrojem politycznym współczesnej Rosyi. Urzeczywistnienie autonomii uniwersytetów sprzeciwiałoby się tendencyjom rządu, który tłumi wszelkie dążenie do samodzielności. Dlatego walka o prawa studentów staje się z konieczności walką przeciw rządowi“. Ogół studentów wszystkich wyższych zakładów naukowych w Moskwie powziął uchwały bardzo już szczegółowe — zupełnie obmyślony program polityczny. Z uwagi — czytamy tam — że niemoralny dziś ustrój akademicki jest tylko echem powszechnego rosyjskiego bezprawia, porzucamy na zawsze iluzję walki akademickiej i wnosimy sztandar żądań ogólnie-politycznych, głęboko przekonani, że dla prawidłowego biegu życia akademickiego niezbędnem jest przekształcenie całego społecznego i politycznego ustroju na zasadzie przyznania jednostce praw jej przynależnych. Jesteśmy przekonani, że bez tego życie rosyjskie nie posunie się ani o krok naprzód, że siły lepsze będą peryodycznie wyrywane z pośród społeczeństwa, że haniebne deptanie nie skończy się. Żądamy więc: 1) nietykalności osobistej, 2) swobody druku, 3) swobody sumienia, 4) wolności zebrań, 5) bezpośredniej odpowiedzialności urzędni-

ków administracyjnych, 6) udostępnienia możności kształcenia się, 7) zrównania praw narodowościowych, 8) ośmiu godzin pracy dla robotników i 9) prawa strejku. Nie uznając obecnego rządu jako zdolnego do zreorganizowania ustroju społecznego na tych podstawach, zwracamy się do całej Rosji myślącej, uważającej się za dojrzałą politycznie, podnosząc odpowiedniość chwili dla zwołania zgromadzenia urządzającego. Ogólno-polityczny program działania zmusza nas do wyniesienia protestu naszego na ulicę, gdzie jesteśmy gotowi wraz z robotnikami i całym społeczeństwem poprzeć nasze żądania siłą.

Mamy więc zupełnie świadomy ruch polityczny, z najbliższym celem: zwołania konstytuandy; że do tego ruchu przyłączą się w większości swojej przewodcy robotników, tak „ekonomiczni” jak i „polityczni” — to można uważać za pewne; rząd rosyjski stara się wprowadzić kopac między robotnikami i studentami przepaść w ten sposób, że przy niejednej małoważnej sprawie bierze „w obronę” robotników przed przedsiębiorcą, na takie plewy niewiele jednak da się złapać. Pytanie tylko, w jaki sposób „przewrotowcy” celu zechcą dbać. Żadnej rewolucji nie robiono się jeszcze w republikach, a w państwie usystemizowanego bezprawia „legalność” jest ironią. Więc co? terror przeciw jednostkom? czy wyniesienie walki na ulicę?

Walka z głównymi reprezentantami barbarzyństwa i despotyzmu nie jest tak bezowocną, jak zwykle się mniema; jeden, dwóch, dziesięciu dygnitarzy da się zastąpić — na jedenastego trwoga padnie śmiertelna. W r. 1880 po wysadzeniu w powietrze „zimowego pałacu” przerażenie wśród sfery najwyższej było tak olbrzymiem, że żaden dygnitarz

nie chciał przyjąć stanowiska pierwszego ministra państwa, dyktatora Rosyi; z trudem dopiero skłonił Aleksander II do przyjęcia tej godności Łoris Melikowa. Ten po zabiciu Aleksandra II-go musiał pomyśleć o konstytucyi i akt odnośny był już wygotowany, gdy w ostatniej chwili Pobiedenesców i Katków urządzili ową wspaniałą komedię z czczeniem się do Aleksandra III-go na kolanach od samego progu, wśród składania rąk i ryku: Batuszka, nie gub Rosyi! Teror był jednak bliskim celem. Innego rodzaju terorem jest walka uliczna. Gdy opiera się o szersze masy, wybuch na wielu punktach, zagraża mnóstwu głów hydry urzędniczej na całej linii — długo zwalczanym być nie może, tembardziej, że Mikołaj II-gi dalekim jest od owej zuchwałej odwagi i determinacyi, jaką posiadał jego dziadek i owego cichego chłopskiego uporu, który cechował jego ojca.

Jaką drogę obiorą działacze rosyjscy? Chwila jest dla carstwa krytyczną. Na północy Finlandia przekonała się narazie o bezskuteczności legalizmu w Rosyi i gwałtownie potrzęsa kajdanami, na południu chłop małoruski, katowany, niemy, pokorny, wybucha z siłą rozpacz. Równocześnie staje się sytuacja finansowa coraz bardziej rozpaczliwą. Przesilenie ekonomiczne, powszechne w całej Europie, niszczy handel i przemysł rosyjski, a Francuzi przychodzą do rozumu i już nie rzucają swoich milionów tak lekkomyślnie w nienasyconą kieszeń p. Wittego. Wśród ludu wiejskiego pojawia się systematycznie co trzy lata straszny gość: głód — a czynownicy gdyby więcej jeszcze milionów zapomogowych mieli do dyspozycyi a trochę mniej nawet rozkradali, pomódz nie potrafia — gdzie korzenie bytu wysychają. Na zewnątrz Rosya otoczona jest jeszcze nimbem niezmiernego kolosa,

na wewnątrz atmosfera coraz cięższą jest i nieznośniejszą. Dziesiątki milionów sekciarzy oddawna łaknie wybawienia. Nawet wśród stupaiików i szerokich natur oficerskich głuche jakieś czuć wrzenie — niezadowolenie w armii jest dla caratu tem, czem dla cesarza bunt pretoryanów... Wszędzie kipi, wszędzie tęsknoty budzą się i pragnienia. W takiej chwili energiczny ruch rewolucyjny może mieć potęgę i przyszłość wprost przewrotową.

W początkach dopiero jesteśmy nowego okresu burzy i naporu. Chaotyczne one jeszcze, ciemne, nieobliczalne. Ale gdy więcej się skonsolidują — przyjdzie i na Polskę kolej uregulowania stosunku swego do nowej sytuacji. Chwila ta może niedaleką...

* * *

Belgia i Rosya — dwa te kraje, których ruch rewolucyjny ma znaczenie olbrzymiej doniosłości dla ludzkości całej, Belgia jest z pośród państw przemysłowych najwięcej dojrzałą do wcielenia ideałów władztwa ludowego, a nie trzeba zapominać, że kraj to przytem także Wiertza, Maeterlincka, Verhaerena — artystów najbardziej uduchowionych; z despotyczną Rosyą padnie żandarm, ciężący jak zmora nad całą Europą. W jaki sposób? Każdy kraj ma taką linię rozwojową, na jaką zasługuje. W Belgii nikomu się nie śni mordować ministrów — miasto bomb lud ma kartki wyborcze; Rosya nie cierpi organizacyj parlamentarnych — ma więc organizacje podziemne, zamiast wymowy posłów — — ma wymowę rewolwerów. I stąd i stamtąd łuny dochodzą pożarów — w miejsce budynków zmurzałych przyjdą świeże, zdrowe, z nowem a czystsze życie...

Duch ludzki zna momenty stagnacji i zmęczenia — minęły już jednak czasy, kiedy opadał znużony i cofał się na wieki. Mózg myśliciela i maszyna technika, tęsknota poety i krwawy pot robotnika, wszystkie te czynniki są w naszych czasach tak pobudzone, prowadzą żywot tak energiczny i intensywny, że usypiać się na długo nie dadzą. Forma, pod którą jęczą, może być twardą, ale pod nią czuć wrzenie, wydobywają się z pod niej ognie, a pomimo chwilowych tryumfów reakcyi — całą Europę przebiega powiew świeży, widać szeregi niestrudzonych bojowników — jutrzejszych zwycięzców. Niejednego jeszcze dłoń brutalna zagniecie, mogiła czarna pokryje, ale wiemy dobrze... ostatnio Belgia i Rosya znów poświadczają... że

nikt z mogił nie korzysta,
 Jeno wszechczynający ruch,
 Wieczny rewolucjonista,
 Pod męką ciał — leżący duch...

NA WSCHÓD!

Pięćset kilkadziesiąt lat trwa walka nieprzerwana, walka dla obu stron okropna, bez pardonu i bez miłosierdzia, między Polską a Rosją. Od dziewięciuset lat rwą się junackie, żądne łupu orły białe ku grodom i ziemiom ruskim, od przeszło pięciu wieków zagnieździły się tam na dobre nietyle orły, nietyle żądni chwały bohaterzy, ile żądne majoratów królewęta, nietyle myślą polityczną kierowany naród, ile nienasyconym apetytem gnani kolonizatorzy. Polityka polska zamiast stać silnie na swojej plemiennej ziemi — dała sobie wyrwać kawał ciała żywego narodu: Śląsk; zamiast zabezpieczyć się przeciw Niemcom, zapewnić sobie na zawsze dostęp do morza, a przez to drogę do potęgi światowej — szła na wschód... I jakiż rezultat krwawego tego, już w założeniu swoim błędnego procesu?

Przy rozważaniu ruchu Polski historycznej „na wschód“ Józef Szujski dochodzi do przekonania, że jest on „pełen zasług cywilizacyjnych o tyle, że jak daleko zaszła ta kultura, tak daleko sięgnęły zachodnio-europejskie urządzenia i obyczaj“ — jakkolwiek na innem miejscu tensam historyk

wyraża przekonanie, że znacznie posunięta, Kazimierza Wielkiego czasów sięgająca cywilizacja zachodnich krajów ulega przez kolonizacyjny ruch na wschód cofnięciu się". Dalej stwierdza Szujski: „Przy tem stałem posuwaniu się ludności z zachodu na wschód, łatwo zrozumieć ważne fakta: 1. że niewola ludu wiejskiego szła od zachodu, wywoływana zubożeniem pozostałej tamże szlachty, uszczupleniem liczby ludności i stanowczą przewagą gospodarstwa folwarcznego, wymagającego robocizny; 2. że ta niewola była najmniejszą w nowych ukraińskich osadach, ale przy całej chęci zaprowadzenia tamże stosunków zachodnich, lud, na wolność zwabiony, najbardziej skłonny był do oporu i buntu; 3. że przyczyna pośrednia rzeczywistego zubożenia i upadku zachodu Rzeczypospolitej: bogactwa wschodu, które nosiły na sobie piętno wszystkim nagłym fortunom właściwe, gorączki przedsiębiorczości i gorączki zbytku... 4. nareszcie, że przeniesienie punktu ciężkości interesów Rzeczypospolitej ku wschodowi czyniło kwestyę bytu Polski zależną od uporządkowania i zabezpieczenia tego wschodu“.

Szlachta do uporządkowania i ubezpieczenia tego wschodu zdolną się nie okazała. Wschód pozostał wrzodem na ciele Rzeczypospolitej, który zatrzał jej krew, wywołał w całym ciele gangrenę. Niosła szlachta „cywilizacyę“ na wschód, gdzie nikt o to nie prosił — obniżyła ją we własnych dzielnicach; zdobywała bogactwa dla oligarchii anarchicznej — zubożając lud własny i wysysając bratni; najlepsze siły, najtęższe głowy, syzyfowe wysiłki, krwi oceany zużyła na zdobycie wschodu — aż straciła własną ziemię z pod stóp, a i tamtej nie pozyskała ..

O, historyo, ludzie przeglądają twoje karty poto chyba, aby wiedzieć, które błędy przeszłości — naśladować!

Dzisiaj w Galicyi znowu rozlega się hasło: na wschód! Z całym animuszem wykrzykuje je powołujący się bezustannie na cienie śp. Szujskiego *Czas* krakowski, wtórują mu skrajni jego przeciwnicy. Polityka *Czasu* jest zrozumiałą; odwieczna jestto taktyka polityków wstecznych, aby wojną i uwagę skierowaną nazewnątrz odwracać baczność ludu od trapiących go bólów i interesów wewnętrznych; zaś nasi Bismarkowie narodowo-demokratyczni nie potrzebują nawet na swój apetyt cienia usprawiedliwienia. „Nasze terytorjum etnograficzne — pisze *Przegląd Wszechpolski* — włączając do niego cały zabór pruski z Górnym Śląskiem i Prusami wschodnimi, zajmuje obszar, nie mający nawet 5000 mil kwadratowych. Na takim obszarze, w naszych warunkach nie może rozwijać się naród wielki i wierzący w przyszłość swoją. Na wschodzie tylko mamy obszar odpowiedni do rozwoju naszej potęgi, naszej twórczości narodowej“. *Ergo... mein Vaterland muss grösser sein!* Naturalnie. Jeśli sąsiad coś posiada, czego mnie właśnie brak, rozum i uczciwość nakazują: wydrzeć mu! A kto tej etyki i polityki nie rozumie, ten jest zacofańcem, idealistą, a nie „nowoczesnym“ w Bismarka wpatrzonym politykiem. Bo tylko niepoprawni doktrynerzy „nie mogą pogodzić się z myślą, żeby sprawa narodowa mogła wymagać użycia siły względem ludów, żeby dla jej dobra trzeba było narzucać coś innym wbrew ich woli“... Tak łatwemu rozumowaniu *Przeglądu Wszechpolskiego* przyklaskuje z serca w piwie skąpanego filister z *Dziennika* — i oto najsprzeczniejsze żywioły łączą się w harmonijnym chórze: na wschód — na wschód! — —

Owi „nowocześni“ z *Przeglądu Wszechpolskiego* naśladowają Bismarka w tem, co najłatwiejsze i są przynajmniej cynicznie otwarci; w życiu codziennem słyszymy natomiast frazesy, które nikogo chyba już nie łudzą, że chodzi tu o „użycie siły względem ludów“, o działanie „wbrew ich woli“, lecz o obronę zagrożonego na kresach wschodnich własnego żywiołu, o walkę z rutenizacją, „kradnącą codzienność tysiące dusz, o oswabadzanie uciśnionych braci...“

Czy się łudzimy — czyśmy słowo w słowo tesame frazesy słyszeli już z innych ust... pod innym adresem?

Ale mniejsza o to. Jesteśmy już oswojeni z faktem, że niejeden najbardziej „nowoczesny“ teoretyk etyki w praktyce poleca starą moralność murzyńską, podług której złem jest, jeżeli ktoś moją żonę ukradnie, dobrem — jeżeli ja cudzą wykradnę. Wejźdźmy trochę głębiej w istotę rzeczy. Co to znaczy obrona „kresów“? Czy zakątkiem „kresowym“ jest owa większa część kraju, która ciągnie się od Sanu, i wyjmując część miast i oazy wiejskie, stanowi etnograficznie i historycznie ziemię ruską? Czy to „kresem“ jest większa część terytorjum krajowego?

A jednak na te „kresy“ mamy iść, by — oficjalnie mówiąc — przeciwdziałać rutenizacji osadników polskich, szczerze z *Przeglądem Wszechpolskim* — mówiąc, by zdobyć kraj, leżący w sferze interesów naszych. Mamy iść — my dzisiejsi... Co się nie udało krwawym wyprawom Bolesławów, polityce Kazimierzów, ogniem i mieczem ziejącym Palejom-Wiśniowieckim i Czarnieckim, gwałtom i unii jezuitów, to ma się udać nam, działaczom współczesnej Galicyi... Czy to możliwe, czy to się da pomyśleć! Weźmy za podstawę nawet cyfry *Przeglądu Wszechpolskiego*, z pewnością nie

krzywdzące Polaków. Podług nich we wschodniej Galicyi „ludność niewątpliwie polska... wynosi 1,224.000, t. j. blisko 26⁰/₀ ogółu ludności“. Wynosi ona nawet więcej, bo nie ma powodu odtrącać żydów, stanowiących w miastach nie-najgorszą podporę polskości. Ale jakież rozkład tego procentu? „W jednym z powiatów (brzozowskim) wschodniej Galicyi Polaków jest 90⁰/₀, w czterech ponad 50⁰/₀, w sześciu 40 do 50⁰/₀, w dwunastu 30—40⁰/₀, w jedenastu 20—30⁰/₀, w jedenastu 10—20⁰/₀; wreszcie pięć tylko powiatów ma ludności polskiej mniej, niż 10⁰/₀“. Otóż trzeba uwzględnić, że znaczna część tych procentów — to inteligencya miasteczek naszych, jak wysepki rozsianych po morzu ruskim. A jeżeli mamy pewne zwycięstwo w powiecie, gdzie Polacy stanowią 90⁰/₀, możność zwycięstwa tam, gdzie przenoszą 50⁰/₀, obowiązek bronienia mniejszości, gdzie ta ma szanse przyszłości, to pozostaje jeszcze przeszło połowa powiatów Galicyi wschodniej, gdzie ludność ruska stanowi nieprzejrany ocean, po którym gdzieniegdzie tylko zwiastujące ląd stały płyną kępki polskie w postaci przenoszonych z miasta do miasta urzędników, wędrujących za zarobkiem mazurów, dworów szlacheckich, komplikujących stosunek do ludności tubylczej kwestyą agrarną... Ziemie graniczne o ludności mieszanej stanowią wszędzie kość niezgody między państwami opiekującymi się pobratymcami swojemi; kwestya mniejszości narodowych — to kwestya parlamentaryzmu i ustroju politycznego większej części państw dzisiejszych; ale to już nie ulega wątpliwości, że absolutnej większości, siedzącej od wieków na ziemi swojej, wrosłej tam wszystkimi korzeniami, posiadającej silne znamiona kultury odrębnej, indywidualności własnej — większości wynarodowić, ujarzmić, zniszczyć nie-

podobna. A choćby ta większość stanowiła tylko obskurny lud chłopski — jak w Czechach, obudzi się, zaleje wynarodowione miasta, obejmie w posiadanie, co ogień i miecz mu wydarły. A choćby mniejszość nieprzyjacielska rozporządzała tak straszliwymi środkami, jak niegdyś Anglia w Irlandyi a dziś Niemcy w Wielkopolsce, większość zrosła z gruntem ojczystym zwyciężała i zwycięży. Działo się to w czasie, gdy poczucie narodowe nie było sformułowane, interes narodowy spoczywał w rękach jednej tylko warstwy panującej — cóż dopiero dzisiaj, cóż wobec Rusinów, którzy mają świadomość narodową wysoce rozwiniętą i bronią jej od pięciu wieków z prawdziwie „chłopskim“ uporem!

Klątwą tego narodu jest brak niezależnej klasy średniej, przemysłowej, ale tej, szczególnie we wschodniej Galicyi, nie posiadają też Polacy: jedynie urzędnicy strzegą tu polskości w ogniskach kasyńowych, a liczba urzędników-Rusinów z każdym dniem rośnie, potężnieje. Czyż długo można będzie terroryzować ich sztuczkami administracyjnymi, jak dyscyplinarki za udział w ruchu narodowym (jak to było po zajęciach uniwersyteckich) lub rozmieszczaniem ich po zachodniej połaci kraju? A co będzie, gdy z siłą konieczności zajmą większą część stanowisk w stronach swoich rodzinnych?!

Nie — nam nie myśleć o walce zapomocą kruczków administracyjnych, nam nie marzyć o tej olbrzymiej sieci kościołów, szkół polskich, zakładów, któremi dla celów polskich musiałoby się zalać Galicyę wschodnią. Kraj tak ubogi, że musi się liczyć z każdym halerzem, kraj, którego miasta w przeważnej części blisko są bankructwa a wsie — proletaryzacyi, kraj, który stoi przed skandalem europejskim:

strejkami nauczycieli szkół ludowych z powodu płac ich głodowych, kraj ten ma myśleć o polityce ekspansywnej, wojennej, zaborczej? Kraj, z którego wyżej rozwiniętej, przemysłowej części zachodniej tysiącami głodomorzy uciekają na zarobek, ma sobie stawiać na zadanie „ulativanie“ — jak chce *Przegląd Wszechpolski* — i organizowanie prawidłowej kolonizacji polskiej? Toż na to setek milionów zamało, toż to tylko wojna wewnętrzna, walka na noże, bez najmniejszych dla nas szans powodzenia! I o tem myśleć w chwili, gdy rząd pruski znowu ćwierć miliarda mobilizuje, a z nim całą armię łotrostw, przeciw ludności polskiej, siedzącej w swych gniazdach rodzinnych. I o tem myśleć w chwili, gdy w najbliższym naszym otoczeniu tyle zadań o pracę wołających, gdy czeka nas praca nad zupełnem odrodzeniem Śląska, prawie cudem odzyskanego, w chwili, gdy trzeba każdy grosz i każdego człowieka rzucić na szalę tam, gdzie on z tysiącami lub dziesiątkami tysięcy będzie musiał walczyć, gdzie największe niebezpieczeństwo, ale też nadzieja, bliskość zwycięstwa!? Nie, polityka mobilizująca nasze siły „na wschód“ jest gorzej niż zbrodnia, bo błędem fatalnym, gotowym się mścić strasznie!

* * *

Więc co? siedzieć z założonemi rękami i czekać, aż nas rusini we wschodniej Galicyi „zjedzą“?

Tak źle jeszcze nie jest. W powiatach granicznych, gdzie ludność polska wynosi około 50%, nikt rezygnacyi narodowej żądać nie może. Nawet w powiatach galicyjskich, w których ludność polska wynosi minimalny procent, nikt nie może żądać, aby władze ze stronami polskimi nie ko-

munikowały się w języku polskim. Ale innemi są prawa i obowiązki w pierwszych, innemi — w ostatnich powiatach. I społeczeństwo, które nie podlega sangwinicznym fantazyom, a umie się liczyć, nie będzie rzucać oszałamiających haseł: na wschód! lecz skupi swoje siły i działalność swoją na punkta, gdzie ma etnograficzne i kulturalne prawa, a temsamem przyszłość.

To jest realna polityka, a i ona niech nie zamyka nam perspektyw dalszych. Jest nią zamiast ewangelii krwi i żelaza, — polityka sprawiedliwości powszechnej. To „doktrynerstwo“, z taką ironią traktowane przez naszych Bismarczków, wskazuje jednak jedyne wyjście z błędnego, smutnego koła, w jakim się obraca kwestya mniejszości narodowych. Myślmy, o myślmy o stanie ludzkości, kiedy sprawiedliwość zapanuje! W czasie wojny trzydziestoletniej lub Ferdynanda Katolickiego, niepoprawnym marzycielem, słusznie przeto na stos skazanym był ten, kto myślał o możliwości społeczeństwa, w którym ludzie rozmaitych religij będą mogli żyć obok siebie w spokoju i wzajemnem poszanowaniu, a państwo będzie stało ponad nimi, równą wszystkie religie otaczając opieką, lub — coby było jeszcze lepiej — wszystkie jednakowo zostawiając jednostkom i związkom wiernych. Analogicznie wyobrażamy sobie formę współżycia, związek obywateli dla wzajemnej obrony i pracy kulturalnej, w którym podobnie jak religia — narodowość byłaby rzeczą prywatną, członkowie każdej byliby zorganizowani jako korporacje odrębne, własnymi środkami zaspakajające swoje potrzeby i dążenia czysto narodowe. W takim społeczeństwie nawet najdrobniejsza oaza narodowa miałaby zupełną autonomię i możność najwyższego rozkwitu; znikłby przywilej — zni-

kłaby krzywda... Wszak Szwajcarya lub Ameryka są już poniekąd zwiastunami tego ustroju!

Dążmy do takiego współzycia i wzmacniamy tymczasem nasze mniejszości wszystkimi tymi środkami obcowania duchowego, w które dość chyba obfituje wyższa kultura polska. Ale stąd daleko do planów zabórczych (kolonizacya *Przeglądu Wszechpolskiego!*), do mobilizowania całych organizacyj o charakterze ogólnopolskim (np. „Szkoły Ludowej“) na wschód; daleko stąd do zatapiaania energii polskiej w morzu ruskim. Skupiajmy się. Będem stale powtarzającym się w przeszłości polskiej jest nieumiejętność wyzyskiwania odniesionych zwycięstw. Odnieśliśmy niesłychane, żywotność polską świetnie dokumentujące zwycięstwo na Śląsku austryackim, pod całym zaborem pruskim — pracujmy tam z całym natężeniem sił. Skupiajmy się w tym pasie granicznym, który jest rusko polskim, ale gdzie żywą jest Polska ludźmi, kulturą. Wszelka inna polityka jest rozpraszeniem i karygodnem marnowaniem szczupłych zapasów, jest karygodnym partykularyzmem, zapominającym o całości, jest zbrodnią wobec ludzkości i wobec nas samych. Nie znamy wypadków w przeszłości Polski, kiedyby hasło „na wschód“ nie kończyło się klęską i sromotą; obyśmy świadkami podobnych dziejów nie byli w przyszłości!

W ZWIERCIEDLE PRASY.

Cała niedojrzałość społeczeństwa galicyjskiego, wszystkie jego deficyty moralne, ekonomiczne i społeczno-polityczne uderzają z osłepiającą jaskrawością w zwierciadle głównych organów naszej prasy.

Nauczono się już dawno stopniem swobody prasy mierzyć granice swobody politycznej i demokratyzacyi danego społeczeństwa. W ogólności doszliśmy już do tego stanu, że nawet biurokracya austryacka osądziła, iż nie może dłużej prasy kneblować „objektywką“ i wstrzymywać jej krążenia (zakazem kolportażu). Stoimy tedy przed nowym aktem prawodawczym, mającym znieść te najwsteczniejsze, najszkodliwsze urządzenia — przed przedłożeniem dra Koerbera, które zresztą jest skonstruowane podług wiadomej, tradycyjnej metody austryackiej: jeden krok naprzód a dwa wstecz! Kto chce wiedzieć, czem pachnie bodaj częściowe oddanie przestępstw prasowych pod jurysdykcję sędziów państwowych, niech spojrzy na Prusy; między dziesiątkami redaktorów polskich, odsiadujących kwartałami więzienie, niemało znajduje się takich, którzy popełnili przestępstwo obrazy

osoby urzędowej. Głosy prasy są zawsze myślami, a o myślach i ideach tylko współobywatele, tylko przysięgli wyrokować powinni. Władze państwowe, chociażby pozornie niezależne, jak sądownictwo, są z reguły jak piłka na wodzie; przechodzą przez wszystkie rzuty, odpływy, falowania panujących stronnictw, systemów, interesów, osobistości; tem gorzej, gdy ta władza rozciąga się nad myślą i duchem...

Zmiana ustaw prasowych w duchu więcej demokratycznym byłaby ogromnym postępem, ale zawsze dotknęłaby tylko zewnętrznych stron i niektórych części mechanizmu dziennikarstwa; istota jego, dusza, pozostałaby niezmienioną, niewiele by się różniła od stanu dzisiejszego. Nie zostałaby bowiem zmienioną dusza społeczeństwa, istota naszych stosunków.

Spółeczeństwo jest niedojrzałe. Z wyjątkiem małej części szlachty, mającej tradycje polityczne i świadomość swych interesów, z wyjątkiem garstek i jednostek, zdarzających się na każdym polu, jak wszędzie na świecie, żyje ono jak organizmy niemowlęce: odruchami i wegetatywnie. Pod wpływem silnych bodźców zewnętrznych mechanicznie zdobędzie się na moment reakcyi — dalekiem jest jednak od obmyślanych, spokojnych, wytrwałych, celowych czynów. Gdyby zebrać wszystkie hasła, które w jednym półroczu ostatniem elektryzowały całe społeczeństwo galicyjskie, i zapytać, co z niemi się stało? poznalibyśmy, że żyjemy tylko chwilowymi odruchami. Wołał cały kraj: „upaństwowić gimnazjum cieszyńskie“ — nic w tym kierunku się nie stało. „Precz z handlem niemieckim“ — prusacy nie stracili zapewne ani tuzina zamówień. „Twórzmy przemysł własny!“ wołano na Zjeździe przemysłowym, na kilku wystawach, w sejmie,

w prasie — nie przybyła ani jedna fabryka. „Pielęgnujmy rodzimą sztukę stosowaną“ — i tandeta wiedeńska kwitnie jak dawniej. Z chwilową podniętą mija odpowiadająca mu chwilowa reakcja — rozum i wola w tych aktach niewielką odgrywają rolę. Na żywot codzienny wystarcza nałóg, stary, zardzewiały, skrzypiący mechanizm i wegetowanie.

Czterdzieści blisko lat życia publicznego niewiele w tym nastroju zmieniło. Nie zmienił się bowiem ustrój ekonomiczny kraju, któryby społeczeństwu nadał wyraziste cechy, i jędrny wyraz świadomości. Gdzie to się stało, musi dziennik być zdeklarowany, konsekwentny i wierny, jako doradca i jako reprezentant prawny interesów i idei czytelników; otaczają go przywiązaniem, ale i kontrolą; niech się sprzeniewierzy założeniu — w ciągu jednej nocy zostanie osamotniony. Dziennik — to kierunek i partya, cel i wola, a tylko z walki powstaje harmonia, z analizy — synteza. U nas analogicznie do form ustroju ekonomicznego — i idee są mętne, średniowieczna pomieszana z cieniami wieku XXI, a wszystko to utrudnia zrozumienie celów i dróg życia. Stąd życie i idee niezróżniczkowane, bez jędrności i siły. Doświadczenia ojców stworzyły kilka terminów, które przeobraziły się dziś w szematy i komunały; dalsze życie przy anemii ekonomicznej widziało walkę tylko na słowa; realne, najżywotniejsze interesa były zaniedbane: nie wyrobiła się więc umiejętność myślenia i działania politycznego. Siłą dziezicznej frazeologii jeden nienawidzi „stańczyków“, nie znając ich istoty, drugi idzie podług ich komendy, jak dyabła obawiając się nieistniejącego czerwonego dyabła; słomiane idee nie rozpalają — stąd tak częsty rozdźwięk między słowem a czynem. Nigdzie może w Europie niema tylu ludzi

niezadowolonych, co w Galicyi, i nigdzie reprezentacja kraju nie jest bardziej optymistyczną i grzeczniejszą.

Ten brak celów i woli — brak wykształcenia politycznego i charakterów do postępowania podług jego wskazówek, odzwierciedla się smutnym obrazem w dziennikarstwie naszym i stosunku do niego czytelników.

Przedewszystkiem skutkiem ograniczności w myślach i środkach, przeciętny inteligent galicyjski może abonować jedno tylko czasopismo. Nazywa się to popieraniem literatury ojczystej i abonentowi daje poczucie, że jest osobistym dobrodziejem wszystkich członków danej redakcyi — z czego wyciąga zazwyczaj tę konkluzję, iż najtrudniej za czasopismo płaci. Brak materyału do kontrolowania doniesień ulubionego organu mści się tak na prasie, jak i na czytelniku. „*Timeo homines unius libri*“, a jeszcze więcej — jednej gazety. Dziennik wiedząc, że czytelnik go nie kontroluje porównaniem z innym pismem, zaniebuje się najhambniej pod względem informacji, pod względem umysłowym itd., stara się tylko nie wypuścić z ręki klucza do serca abonentów, którym jest pochlebstwo... pochlebianie wszystkim filisterskim instynktom i krótkowzrocznym interesom pewnej warstwy. A raz posiadłszy ten klucz — może tam wchodzić i gospodarować, jak mu się podoba. Nie spotka go u wnijścia żadne pytanie etyczne, ni polityczne, ani społeczne.

Na przykład. Jest to rzeczą naturalną i godziwą, gdy dziennik jest organem pewnej partyi politycznej, reprezentantem jej idei — posiadającym też w miarę potrzeby subwencyę z funduszów swej partyi. Byłe redakcyja pisała w dobrej wierze — stoimy przed organizacyą służby publicznej, z którą można walczyć, ale którą można też szanować.

Mamy jednak w Galicyi dziennik, o którym każde dziecko wie, że powstał i żył z funduszów gadzinowych obcej firmy finansowej, że redaktor jego zmieniał przekonania, deptał najświętsze uczucia ogółu, brał w milczeniu policzki — dziennik, o którym najnaiwniejszy nawet człowiek nie powiedziałby, że służy jakiejś idei; mimo to był przez długie lata najpoczytniejszym pismem w Galicyi wschodniej — w plebaniach i w kancelaryach żydowskich, u szlachty i mieszczan, i dziś w kilku tysiącach egzemplarzy jest czytany, jest doradcą, informatorem, mistrzem... I jakież tu mieć wyobrażenie o kulturze politycznej i moralnej tych abonujących go „wyższych“ tysięcy?

Dziennik ten jest — jak Szczepanowski się wyraził — „organem wszystkich sytych“ a przytem najtańszym. Teraz sytuacja dziennikarska trochę się w kraju zmieniła. Sytych coraz mniej, potrzeba taniości coraz większa, konkurencya przytem między dziennikami zmusza do coraz większych wyteżeń w kierunku wydawniczym. I oto mamy drugi dziennik w Galicyi wschodniej, epokowy ze względu na rewolucyę, jaką sprawił w prasie galicyjskiej. W ciągu kilku lat istnienia przeżył ogromną drabinę metamorfoz społeczno-politycznych. Niema barwy, którejby nie był nosił, niema partyi i idei, którejby nie służył i po krótkim czasie nie opluł, niema boga ani dyabła, któremu by na przemiany nie składał ofiar. Co kwartał, inny program; czasem co niedziela; zawsze skrajnie przeciwny. A poczciwi czytelnicy zawsze są mu wierni. Wszystko pozwalają z sobą robić. Z mistycyzmu narodowego przechodzą do najzwyczajniejszego handlu ludźmi i ideami, potem z demokratów skoncentrowanych, rozwodnionych, gorących, zimnych przemieniają się w ciągu jednej

nocy w agitatorów wszechpolskich, z miłośników „współobywateli w. m.“ w typowych antysemitów, byle tylko dużo otrzymywać bibuły — dużo i tanio... I tem wyraz politycznej etyki i rozwagi większej części czytelników prasy galicyjskiej!

Wniosek bardzo prosty. To, co cechuje społeczeństwo dojrzałe: umiejętność myślenia politycznego, poczucie moralności publicznej, u nas większej części inteligencji nie obowiązuje. Większość ta przy wyborze informatora i doradcy polityczno-społecznego wszyskciem się kieruje, lecz nie względem na jego charakter. To, co gdzieindziej stanowi pierwszy warunek, dumę człowieka: siła i stałość jego idei i ideałów — u nas u większości żadnej nie odgrywa roli. Nazywa się to pompatycznie: stanowiskiem ponad wszelkimi partjami, w rzeczywistości jest w najlepszym razie mielizną, normalnie — bagnem umysłowo moralnem, z którego wyrastają wszystkie zatrute kwiaty galicyjskiej egzystencji.

Mniejszość tylko inteligencji grupuje się około dzienników ideowych a te dzielą wszystkie losy mniejszości. Żyją o suchym chlebie, zaprawnym najczęściej gorczycą. Z wyjątkiem jednego — żadne pismo ideowe nie stoi o własnych siłach. Konserwatywne, czy postępowe, o ile nie idzie z mobem — musi mieć protektorów. W praktyce prowadzi to do najstraszniejszej demoralizacji. Dwa tylko są w kraju stronnictwa zorganizowane: socjaliści i ludowcy; inne poza nimi partye, więc i pisma — to kompromis, flirt brudny na prawo i na lewo, spacer nierządnic po rynku publicznym. Na to społeczeństwo policyi moralności w pośród siebie nie wytworzyło...

I jeszcze świadectwo niedojrzałości politycznej. Czy-

telnik zachodnio-europejski żąda od dziennika przedewszystkiem informacji. Człowiek dojrzały, myślący, zbiera w pierwszym rzędzie fakta, aby na ich podstawie samoistnie wyrobić sobie poglądy. Dlatego wielkie dzienniki europejskie dają przedewszystkiem materyał ogromny, np. mowy parlamentarne wszystkie, sprawozdania ze zgromadzeń wszystkich, nawet przeciw sobie i swoim najbliższym skierowane. Tendencyjne uwagi redakcyi znajdują się na innem miejscu. Czytelnik ma więc fakta i drogę do krytycyzmu. U nas inaczej. Poza koteryą i małostkowym interesem najczęściej nie istnieje. Mowy przyjaciół figurują *in extenso*, przeciwników się przemilcza. Ruch kierunków publicznych, przekraczających ramy własnej koteryi, ignorowany lub tylko w oświetleniu tendencyjnym podawany. Wynika skąd najczęściej smutna tragi-komedia. Czytelnik nie znając faktycznych stosunków — nie umie oceniać siły ani własnej ani wroga. Wyniki up. wyborów są dla niego zawsze niespodzianką. Z różowego optymizmu wpada zwykle w beznadziejny pesymizm i zniechęcenie. Mężów, obywateli, samodzielności, szerokich umysłów, daru orientacyi i patrzenia w oczy bodaj niebezpieczeństwu — w ten sposób się nie wyrabia. Galicya też na nadmiar tych zalet nie choruje.

Socjaliści dopiero w ostatnich czasach podnieśli trochę umiejętność myślenia i potrzebę szerszych informacji politycznych. Wraz z ludowcami wnieśli ferment opozycyjny, wyrosły na realnych interesach żywych warstw społecznych. Dali ludziom do rąk kryteria polityczne i odtąd daje się w niektórych czasopismach mieszczańskich dostrzegać tragicomiczny objaw: konflikt między sercem a głową. Sztuka znana. Dzięki nastrojowi opozycyjnemu w kraju dziennik

musi nieraz być bardzo radykalny, gdy stojący za nim patron, nieraz chlebobawca, zasiadający w danym ciele parlamentarnem działa jak zwyczajny wstecznik. Teoretyczny organ stronnictwa rzuca pioruny, głosi najświętsze zasady rozdziera na sobie szaty — praktyczny działacz dziennika zawiera najpodlejsze kompromisy, działa w kierunku wprost przeciwnym dziennikowi. Konflikt świadczący o obłudzie i słabości, na jakiej zbudowane nasze życie publiczne.

I tak mamy szereg kółek z mechanizmu, łączącego publiczność z dziennikarzami, przerdzewiały i zgrzytliwy. Prawda — dziennik nigdzie nie jest ewangelią, ani dziennikarz kapłanem prawdy — powyższe jednak fakta są skutkiem a zarazem dalszą przyczyną tylko tego smutnego poziomu, na jakim stoi nasze społeczeństwo. A krom tego posiadamy oczywiście wszystkie te piękne i pachnące kwiaty, które rosną na niwach publicznych całego „cywilizowanego“ świata, podlewane wodą frazesów stronnicych, potem karyerowiczów, krwią walki klas. Z tą wszakże różnicą, że wszystkie zjawiska przystosowują się do poziomu galicyjskiego — noszą więc charakter ogromnej pierwotności, „młodszości cywilizacyjnej“.

Nie zbywa nam na demagogii antysemitkiej, która typowe swe znamię w całej Europie — *moral insanity* — tu podnosi do potęgi; tylko u nas było możliwem, aby dziennik o poziomie umysłowym za niskim dla dorożkarza, o poziomie etycznym, wołającym z każdego numeru kilka razy o pomstę do sprawiedliwości karnej, przez długie lata terrorem panował nad najkulturniejszem miastem w Polsce, i tylko panujący tutaj brak wyrobienia politycznego i czułości moralnej mógł stworzyć klasyczny grunt dla robactwa jadowi-

tego, które też nie zostało wytępione przez siłę społeczeństwa, lecz udusiło się we własnem niechlujstwie. Los ten dotąd nie spotkał jeszcze ks. Stojałowskiego. Był czas, kiedy walczył z nadużyciami władz, wtenczas stronnictwa wolnościowe musiały dla niego mieć względy; dziś jednak walczy ze społeczeństwem, z całym narodem, obraża, depce wszystko, co mu najświętsze, mimo to społeczeństwo, dziennikarstwo rady sobie z nim dać nie może — tak mało posiada ono sprężystości moralnej i siły politycznej...

Ten specyficzny charakter z natury naszych stosunków wpływający odbija się też na organie najwyżej utytułowanych, na reprezentancie niefałszowanej bojaźni bożej, wierności dla tronu i dobrych obyczajów. Konserwatyzm — to legitymizm, konserwatyzm — to tradycja, polityka a zarazem salon *du bon ton*. U nas najwyżej konserwatyzm to jeszcze dawna anarchiczna oligarchia; organ nietyle stronnictwa, ile familii; nietyle zasady, ile jednostki; nietyle rycerskości, ile pięści. Pamiętamy wszyscy, jak dziennik ów uprawiał kult Badenich, dopóki nie dojrzał apetyt jego właściciela, i jak wtenczas zaczął się obchodzić z najtęższą głową i żelazną pięścią politycznego konserwatyizmu galicyjskiego; pamiętamy, ile zasad stawiał, by w razie potrzeby rzucać je pod nogi swemu chlebobdawcy; pamiętamy, jak umiał być demagogicznym, rozsiewać najpotworniejsze niedorzeczności, aby tylko zbezpieścić, moralnie zgilotynować osobistości (np. postów Krempe i Daszyńskiego) sobie niemiłe. Wszystko to niebardzo godne z charakterem konserwatyizmu, zgodne zato z charakterem kraju, w którym atawizmy królewiał hulają jeszcze w najlepsze — nie napotykać na myśl polityczną i odporność nawet tam, gdzie jej najwięcej można było się spodziewać.

I tak w zwierciadle prasy zawsze nas uderza tasama maska społeczeństwa galicyjskiego, oblicza wykrzywionego konwulsyjnie od nadużyć — mimo, a może skutkiem zupełnej niedojrzałości. Naprawiać prasy samej niepodobna; wiadomo, że zwykle nie redakcja, lecz abonenci redagują czasopismo. Reforma nadchodząca, zniesienie ograniczeń prasy, to możliwość pływania dla człowieka dotąd związanego. Ale potrzeba też stworzyć dla niego żywioł. Wolny, tani, łatwo kursujący dziennik zwiększy ruch umysłów, przyspieszy trochę proces dojrzewania — to już dużo, ale nie wszystko. Dzisiejsze społeczeństwo galicyjskie — to odruchy i wegetacja, prasa jego musi więc być odbiciem deficytów; zmienić to mogą dopiero długie lata kształcenia woli, śmiałych wytyżeń ekonomicznych i kultury etycznej. W rezultacie będziemy mieli energiczny, uświadomiony materiał ludzki, energiczne, świadome celu partye polityczne zamiast dzisiejszej galarety; walkę duchów i moralność przynajmniej polityczną...

RZECZ O NARODOWEJ DEMOKRACYI.

Pesymizm narodowy, rozpacz patryotów z powodu ciosów spadających na naród i obawa, że on ciosów tych nie przetrzyma — oto źródło, z którego wytrysnął ruch narodo-demokratyczny. Tosamo źródło, które wytryskując z pod gruzów i gorzelisk r. 1863 w szlachetnych nawet sercach zrodziło politykę stańczykowską, tosamo źródło, odzwierciedlając wszystkie niekrwawe a niemniej bolesne obrazy nieszczęść narodowych z połowy lat osmdziesiątych, wsączyło w serca garstki młodych patryotów ból bezmierny i żrącą troskę o przyszłość. Na zamku warszawskim Hurko z wzniesionym zawsze nahajem uczył naród „tańczyć“, z ust Bismarka rozległo się straszliwe, zwierzęce *ausrotten*, a oni, młodzi a pełni bezbrzeżnej miłości, wpadli w trwogę. — Rozpoczynamy walkę już nie o byt odrębny, państwowy, ale o życie plemienne! wołali wówczas w nowozałożonym „Głosie“... Nietylko w walce eksterminacyjnej, wydanej nam przez najazd, widzieli to niebezpieczeństwo. — Żywił polską tam, gdzie występuje w masie plemiennej — twierdził „Głos“ — zużył zapasy energii duchowej, wyjałowił się umysłowo...

Tak mało wiary w żywotność i siły narodu niewielu Polaków okazywało. Z takiego pesymizmu są możliwe dwie tylko drogi w naszych warunkach: albo do ugody — tę też obrała część, grupująca się około rosnącego w siłę „Kraju“, albo do szukania nowych, rozpaczliwych środków walki, świeżych podstaw dla niedającego się oderwać od serca ideału. Iść udeptaną drogą niepodobna. To też od pozytywistycznej „Prawdy“ Świętochowskiego odłączyła się garść młodzieży, między którą najwybitniejszymi byli Maryan Bohusz (J. K. Potocki) i Jan Popławski i założyli w r. 1886 „Głos“. Tu kontynuowali rozpoczętą zresztą już w „Prawdzie“ rewizję wszystkich dotychczasowych artykułów wiary. „Czy pod grozą zagłady plemiennej, potrafimy w końcu zrozumieć konieczność ratunku i źródeł jego się dopatrzeć“, zadawali sobie i czytelnikom pytanie, i zaczęli obalać jeden filar po drugim z dotychczasowego światopoglądu. Przedewszystkiem precz z naiwnym optymizmem pozytywistów, wierzących, że ewolucya jest jednoznaczna z postępem, ze zwycięstwem cywilizacyi! „Nie podzielamy wiary w wszechmoc postępu, ani w jego konieczność“. Od podstaw budujmy nanowo — od podstaw! Opierać się na historycznych przewódcach narodu? „Głos“ nie ma dla nich dość ostrych słów potępienia i wzgardy. „Zostańcie — woła do szlachty — przy waszej tradycyi: w imię jej ziemię polską, siedzibę piastowską sprzedawajcie po kawałku Niemcom, jak przed laty sprzedaliście ją hurtownie. Idźcie w imię tysiącletniej kultury błagać o życzliwość Bismarka, żebrać w przedpokojach dyplomatów, frymarczyć z Watykanem. Powołując się na traktaty, budujcie na piasku gmachy marzeń i gińcie marnie, jeśli zginąć chcecie. Ale my, którzy czujemy w so-

bie życie i zdrowie — my nie chcemy umierać a zwłaszcza umierać tak głupio i tak podle. Miłością wielką i pracą wytrwałą my pragniemy bronić ziemi naszej, jak bronił ją od tysiąca lat, ale bez kultury, chłop polski, bronił od zaborów niemieckich i szlacheckiego marnotrawstwa“.

Wogóle młodzi ci zrywali z całą przeszłością narodu, z jego kulturą, tradycją. „Już dlatego — pisał Popławski — że jest wyłącznie szlachecką — a inną być nie może, bo taką była przeszłość dziejowa Polski — dla ludu musi być obcą, często niemiłą, czasem nawet wstrętną. Raz trzeba to sobie powiedzieć otwarcie“. „Rzecz to smutna, ale nie sądzę, żeby była groźną. Bez tradycyi, nawet bez kultury lud polski zachował swoją narodowość mocniej i pełniej, aniżeli warstwa inteligentna“.

Zrywając tak radykalnie z szlachtą, „Głos“ zrywał także z mieszczaństwem, szczególnie — co charakteryzowało ów brak wiary w „postęp“, owe oderwanie się od pozytywistów warszawskich — z żydami, ale nie tyle ze względów zasadniczych, ile raczej z taktycznych. „Różnica — pisał „Głos“ — jaka istnieje między panem a chłopem, między kapitalistą a najemnikiem, niczem jest wobec tej różnicy rasowej, wzmocnionej wszystkimi właściwościami obu poprzednich. Dopóki więc dodatnie rezultaty krzyżowania rasy semickiej i polskiej nie będą naukowo stwierdzone, a gdyby nawet były, dopóki asymilacja nie będzie możliwą z powodu różnic religijnych dla mas obu narodowości, dopóty wszelkie usiłowania w tym kierunku uważać należy w warunkach obecnych za objaw raczej szkodliwy niż pożyteczny. Z poprzednich rozumowań naszych logicznie wypływa wniosek: należy dążyć do asymilacji obywatelskiej,

należy uczynić żydów członkami społeczeństwa naszego, polakami pochodzenia semickiego i wyznania mojżeszowego“.

Z tego nastroju psychicznego, z tych mgławic uczuciowych, wyszedł program. Zasadą jego naczelną, myślą przewodnią było: „podporządkowanie interesów warstw odrębnych — interesom ludu, powołanie go nie do takich form życia narodowego, jakie wytworzyła dogorywająca już w całej Europie a z duchem dziejów nowożytnych niezgodna cywilizacja „stanowa“, lecz do takich, do jakich dojść on może drogą przyrodzonego rozwoju za datków własnej kultury, drogą uświadomienia sobie własnych swych dążeń i kształcenia własnych ideałów“.

Owe oparcie się wyłącznie na ludzie, jak ze wszystkich wskazówek widać: wiejskim, owe akcentowanie czynnika etnicznego, owa wiara w odrębną kulturę chłopską i przeniesienie jej ponad „dogorywającą“ (zgniłą?) cywilizację zachodu, wskazuje na bliskie pokrewieństwo twórców „Głosu“ z rosyjskim „narodniczestwem“. W wychodzącym wówczas od kilku miesięcy we Lwowie pod redakcją Wystoucha „Przełędzie społecznym“ Z. Balicki zarzucał założycielom sympatycznego mu zresztą „Głosu“, że stoją zanadto na gruncie plemiennym a nie narodowym, w państwowym znaczeniu słowa.

Trzeba zawsze mieć przed oczyma ową psychikę twórców kierunku w Warszawie, ich założenie plemiennie, wysunięcie chłopca na pierwszy plan, jako jedynej ostoi narodowości, przeoczenie dla tego celu antagonizmów ekonomicznych, nadawanie taktyce większego znaczenia, niż zasadom, trzeba sobie to wszystko uprzytamniać, aby zrozumieć niejedną późniejszą chaotyczność, nielogiczność, monstrialność całego

kierunku. Nie oznacza to, jakoby był bez zasług; owszem — „Głos“ pierwotny ma w dziejach naszej umysłowości piękną kartę; był swego czasu w Warszawie pismem najdemokratyczniejszym, podsycił ze wszech sił ogień patryotyczny i mimo odrębnej logiki — starał się stać na wyżynie wiedzy europejskiej.

Z biegiem czasu uległ on różnym zmianom. Czas jego powstania, rok 1886 jest wogóle świadkiem przełomu w pojęciach i dążnościach politycznych narodu. Rozbestwienie się satrapów rosyjskich i barbarzyńców pruskich nie mało przyczyniło się do rozżarzenia uczuć patryotycznych w narodzie, któremu obciążone podczas powstania skrzydła dawno były odrosły, i krępowane długo przez mieszczańską prasę organiczną, znowu zrywały się do lotu, do wolności. Wyrazem tych uczuć nie mógł wówczas być socjalizm, przez męczeńską śmierć lub deportację przewodców w tym samym roku 1886 pozbawiony najtęższych sił swoich, przez związek z „Komitetem wykonawczym“ rosyjskim zdyskredytowany u części młodzieży, rozbity na cztery drobne organizacje inteligencji i robotników a pozbawiony tej najszerszej i najsilniejszej podstawy, jaką jest później dopiero zaakceptowane dążenie do niepodległości narodowej. A dążenie te wyrывało się z męczonych dusz z siłą coraz bardziej elementarną, pociągając za sobą, jako konieczne myśli następcze: demokratyzację ideałów, oraz nieodzowną w naszych warunkach — przynajmniej w dwóch zaborach — działalność nielegalną.

Ideom tym daje w onym czasie wyraz T. T. Jeż swoją „Rzeczą o obronie czynnej i skarbie narodowym“. We Lwowie „Przegląd społeczny“ podejmuje propagandę ideową, z której w krótkim czasie miało się wyłonić stronnictwo lu-

dowe. Kierunki „Głosu“, Jeża, Wysłoucha rychło się zeszyły, ale gdy ostatni obrał sobie za teren Galicyę i tu zaczął prowadzić politykę jawną, czynną, Jeż i założyciele „Głosu“ pozostali głównie na terenie zaboru rosyjskiego. Z ich działalności po kilku latach wyszła *Liga narodowa*; posiewy ich ducha, wzmożone pracą ducha i praktyką wielu umysłów — to dzisiejsi narodowi-demokraci. W r. 1895 założyli we Lwowie „Przegląd Wszechpolski“ pod kierownictwem jednego z twórców dawnego „Głosu“, w r. 1897 ogłosili „Program stronnictwa demokratyczno-narodowego w zaborze rosyjskim“, obecnie są siłą, z którą każdy realny polityk musi się liczyć. Celowi ich służy kilka czasopism (w Galicyi: „Przegląd Wszechpolski“, dla ludu głównie z pod zaboru rosyjskiego „Polak“, dla młodzieży „Tekę“, dziennik „Słowo Polskie“; — „Wiek XX“ przestał wychodzić; — w Warszawie: dla inteligencji „Pochodnia“, dla młodzieży rzemieślniczej „Kiliński“, — tajne; pod zaborem pruskim „Dziennik Berliński“ i w Poznaniu „Goniec Wielkopolski“; w Paryżu „Goniec Polski“; nadto gazeta w Chicago), a jakkolwiek pism tych za wyraz istotnej siły nie można uważać, gdyż np. nabycie przez jednostki drogą tranzakcyi kupieckiej „Słowa Polskiego“ nie oznacza jeszcze faktycznej ekspansyi ideowej, nie ulega wątpliwości, iż narodowa demokracja stanowi nie stronnictwo, ale bardzo wyraźny i bardzo silny prąd moralno-polityczny w całej Polsce, dzięki zaś wyjątkowym naszym stosunkom — występuje a w przyszłości więcej jeszcze będzie występował ze swojemi ideami i eksperymentami najczęściej, najczynniej w Galicyi.

* * *

Przy analizie działalności i dążeń narodowych-demokratów nie można spuszczać z oka danych psychologicznych, które nas uderzają w dawnym „Głosie“ warszawskim. Ojcem jego: wzburzone i zbolełe uczucie patryotyczne, które do swoich potrzeb nagina historię (stąd jednostronne potępienie przeszłości), wiedzę (ignorowanie faktu walki klas, wylęgte z czasem stanowisko rasowe), zasady polityczne (poświęcenie pewnych przekonań dla celów taktycznych). Uczucie to jest głębokie, szczere, polskie, i niejeden niem natchniony szedł na mękę i prześladowania; należy mu się szacunek, jak każdej zdolnej do poświęceń miłości narodu; uczucie to w duszach ludzi niecodziennych, jakkolwiek nie spotykamy między nimi ani jednego orła, nadzwyczajnie jednak czynnych i z całą bezinteresownością pracujących, dużo zaskarbiło sobie zasług w kierunku budzenia sumienia narodowego; z drugiej jednak strony kryje ono w sobie zarodki niezliczonych błędów teoretycznych i niebezpieczeństw faktycznych. Jak każde uczucie — odznacza się logiką nieraz wprost monstrualną, jak każde uczucie jest ostre, nieprzejednane, fanatyczne, a równocześnie nieokreślone, chwiejne, chaotyczne; jak każde uczucie — nie może być przewodnikiem politycznym; ale też niestety, jak każde uczucie — przyjęło się w uczuciowym narodzie z większą ekstenzywnością i mocą, niż kierunki o nieubłaganej logice i niewzruszonych zasadach.

Rozrasta się też z czasem, niezliczone razy zmieniając swą formę. „Ewolucya programu“ dokonywa się z dnia na dzień, jednym nieprzerwanym ciągiem. W zetknięciu z starą demokracją, z instynktem szerszych warstw narodu, wolna od więzów cenzury, wąska idea plemienna ustępuje wielkiej, jedynej u nas możliwej idei niepodległości narodowej — a ta

idea jest w zasadzie osią, około której wszystkie inne sprawy i myśli się obracają. Narodowa-demokracja jest w zasadzie stronnictwem par excellence narodowem, stojącym ponad wszystkimi klasami, partjami, rozbieżnymi kierunkami. Celem jej w zasadzie — wzmocnienie narodowości naszej przez wytworzenie we wszystkich warstwach społeczeństwa silnej świadomości narodowej, jedności myśli i dążeń, przez skupienie wszystkich sił polskich dla odzyskania niepodległości.

Program prosty, i któreż serce, czujące po polsku, nie przyłączy się do niego, chętnie nie odłoży rozmaitych dążeń separatystycznych, n. p. ekonomicznych, wyznaniowych, gdy program ten narodowy będzie w niebezpieczeństwie? A serc tych jest dzisiaj nieskończenie więcej, niż najlepsi patryoci mogli dawniej wymarzyć. Stronnictwu ludowemu w Galicyi nikt zasługi nie odmówi, że z setki tysięcy chłopów polskich zrobiło Polaków. Na tory patryotyzmu polskiego w znaczeniu państwowem wstąpiła też największa bezsprzecznie co do liczby ze zorganizowanych partyj politycznych w Polsce: Polska partya socjalistyczna. W listopadzie 1892 odbyło się zlanie prawie wszystkich polskich grup socjalistycznych w jedną organizację, wysuwającą na pierwszy plan żądanie Niepodległości Rzeczypospolitej demokratycznej; partyi tej zarzucają obecnie raczej „szowinizm“, egzaltację, niż brak patryotyzmu; jedna to partya, która wyraźnie mówi o zdobyciu niepodległości na drodze rewolucyjnej i liczy się już dzisiaj z warunkami powstania narodowego. Z obudzeniem się ducha patryotycznego wśród warstw i klas poszczególnych szło równocześnie odrodzenie narodowe w dzielnicach od przeszło stu lub od setek lat oderwanych od pnia naro-

dowego. Odrodzenie narodowe Śląska austriackiego, postępy tego odrodzenia wśród mazurów pruskich, nagłe prawie za-
jaśnienie sztandaru narodowego na Górnym Śląsku — fakta te świeżej daty świadczą, że polskość jest siłą tak głęboko w sercach milionów wyrytą, tak żywiołową, że trzeba tylko odrzucić gruzy i nasypy powierzchowne a jak rzeka podziemna wytrysnie, rozleje się, użyźni, porwie... Równocześnie z tą rozlewnością — uczucie patryotyczne pogłębia się, intensywniej; literatura polska stojąc na wyżynie ogólnoświatowej, równocześnie potęgą narodowych pierwiastków przypomina bohaterski okres geniuszów naszych poetyckich...

Rośnie polskość i — podkreślmy odrazu: bez szczególnej zasługi narodowych demokratów. Lubią oni wprowadzić monopolizować dla siebie przywilej patryotyzmu i działaczy narodowych, jednakowoż najważniejsze, prawdziwie historyczne akty odrodzenia narodowego odbyły się bez ich akuszerstwa. Co więcej, twierdzimy, że np. na Śląsku Górnym socjaliści więcej poczynili zdobyczy dla polskości, niż emisariusze narodowo demokratyczni itd. Z tem wszystkim pod pewnym względem nie wykluczamy potrzeby czasopisma, organu wszechpolskiego. Konieczności ekonomiczne i ideowe trzymają dziś każdego w obrębie jakiejś organizacji partyjnej; dobrze by było, aby ludzie istotnie światli, wysoko duchem stojący, niezależni od koteryjnych stosunków, ogarniali całokształt sprawy polskiej, szerzyli uczucia wszechpolskie, dawali informację z życia wszystkich dzielnic, ognisk, zakątków, gdzie tętni życie polskie, zbliżali nas bezustannie i informowali o nas Europę, ostrzegali ze swojej wartowni przed niebezpieczeństwem z zewnątrz idącym. W Królestwie organizacja taka ludzi wielkiej powagi moralnej musi z natury rzeczy

przybrać charakter Ligi narodowej. Trudno przypuszczać, aby jedyna partya, walcząca tam niestrudzenie i krwawo z rządem i ugodowcami: socjalistyczna, zdobyła wpływ decydujący na mieszczaństwo i lud wiejski; wśród tych warstw wpływ Ligi może być bardzo dodatni. Że jej istnienie musi być osłonięte tajemnicą a działalność jej ze stanowiska rządu zaborczego „nielegalną“ — ma się rozumieć. Tam, gdzie mowa polska w gmachu wybudowanym przez Polaków, z ust ludzi, mających za sobą blisko tysiącletnią przeszłość polską, jest „nielegalną“, tam gdzie legalnością jest usystemizowane bezprawie i samowola zdemoralizowanych stupajków, albo gdzie — jak w Prusiech — zaznajamianie się młodzieży polskiej z literaturą i historią polską, niewykładaną w szkołach, lub uczenie dziatwy abecadła polskiego jest „nielegalnością“ — tam tylko szaleniec legalizmu może mówić o przestrzeganiu ustaw. „Ustawy“ nie z woli narodu wypływające, w naszych czasach narodu nie mogą obowiązywać. To też działalności narodowych-demokratów w Królestwie pod pewnym względem zasług nie odmawiamy. I tutaj monopolizują dla siebie zbyt pośpiesznie wszystkie zasługi około wzrostu polskości; wszak nie wszyscy, pracujący dla oświaty ludowej lub zwalczający skutecznie ugodę, stoją pod wpływem narodowych-demokratów; a jeżeli Liga uświadamia narodowo szerokie warstwy chłopskie — czynią to oddawna także inni; zdobycie zaś przez socjalistów dla idei niepodległości kadrów robotniczych nie przestaje być zasługą — odosobnioną; dalej jakbądź ktoś zapatruje się na sprawę żydowską, musi przyznać, iż walka przeprowadzona przez P. P. S. z najsilniejszą partją rewolucyjną na Litwie i Rusi: z *Bundem* żydowskim (z którego wyszedł bohaterksi Hersz

Lekiert), zwalczenie w nim kierunku centralistycznie-rosyjskiego, narzucenie jego wydawnictwom języka polskiego — jest odwróceniem niebezpieczeństwa, zasługą polityczną. Bez zastrzeżeń przyznajemy jednak, że N. D. mają za sobą w zaborze rosyjskim piękne karty. Zaliczamy do nich np. rozszerzanie „Polaka“, dotychczas prowadzonego zresztą przez ludzi, nie wyznających wszystkich artykułów wiary narodowej demokracji. Zapoczątkowane po Wrześni protesty młodzieży szkół średnich w Siedlcach i Białej przeciw moskiewskim katechizmom jest również zasługą — lubo znający stosunki twierdzą, że ruch ten nie był przeprowadzony ani tak szeroko, ani tak konsekwentnie, jak stosunki pozwalały. Pierwszorzędnemu punktowi programu N. D. dla Królestwa, aby gminę wiejską obrać za teren walki z rządem rosyjskim, znawcy stosunków poważne stawiają zarzuty; mimo to jeśli prawdą jest, że na tej drodze rośnie polityczne wykształcenie i samowiedza polska chłopów — nie przesadzając znaczenia tej pozycji, uznajemy ją za dodatnią. *Suum cuique* — a popełnianie niesprawiedliwości, szłał partyjny zostawiamy tym, którzy sprawiedliwość wobec zasług narodowych i stanowisko ponad partyjami mają — na papierze.

Gdyby N. D. działali istotnie na tych polach, na których trudno ich zastąpić, a zawsze szerzyli ideę narodową pozytywnie, zdobyciem coraz więcej wyznawców, i negatywnie — zwalczaniem zaprzkańców, stanowiliby nie stronnictwo polityczne, ale prąd tak potężny i jasny, że mógłby — co jest ich zadaniem — ogarnąć i porwać za sobą cały naród. Przewódcom ich, jeśli nie najwybitniejszym, to najkrzykliwszym, chodzi jednak o co innego. Pragną być nie ruchem ogólnonarodowym, lecz partją silną, nie syntezą polskości,

lecz organem różniczkującym. Przypomnijmy sobie ich pierwszych proroków z temi uczuciami plemiennemi, z ich niezdolnością do logicznego myślenia, z podporządkowaniem zasad taktyce, przypomnijmy sobie ich pesymizm narodowy, szamotanie się z niewiarą w żywotność Polski i szukanie dla niej rozpaczliwych środków ratunku. — będziemy mieli klucz do narodowej-demokracji, jaką jest teraz. Im nie wystarcza nawoływanie do przestrzegania interesów Polski, do patriotyzmu tego, który wskazał nam wiek walki o niepodległość, oświetlony słońcem Mickiewicza i Słowackiego — oni muszą mieć inny patriotyzm, inną Polskę.

Ideał widzieli nasamprzód w „narodniczestwie“ rosyjskich, ten jednak długo nie mógł wystarczyć. Ale od czegoż zagranica i — bezustanne narzekanie na „importowane“ idee i ducha obcego? A zagranicą w ostatnich kilku latach ważny też uderza objaw. Wystąpienie olbrzymich mas stanu czwartego i nowego ich światopoglądu rozbiło stare społeczeństwo, i ono szukając kitu wiążącego, oręża w walce, zdobyczy zewnętrznych i wewnętrznych, sformułowało — nacjonalizm. Nazwa to jego francuska, która przetłumaczona na niemieckie jest hakatyzmem, na austriackie: „Allddeutsch“, etc. Przy małych różnicach narodowościowych, psychologia tego ruchu jest wszędzie jednakową; głównemi jej cechami: szowinizm, barbarzyństwo, zaborczość, ignorowanie interesów ludowych etc. U nas wzburzony stan uczuciowy przetłómaczył rychło wczorajsze narodniczestwo na dzisiejszy nacjonalizm — i oto powstała obecna Narodowa-demokracja, antyteza tego, czem być miała i mogła, mętna i chaotyczna w założeniach — anarchiczna w zasadach, brutalna i niemoralna w uczuciach — do czynów niezdolna, mało niebez-

pieczna dla obcych — w wysokim stopniu szkodliwa dla swoich, pod każdym względem cofająca wstecz myśl naszą, zdolna cofnąć i przyszłość naszą.

* * *

Kwestya niepodległości. Dokładna analiza dążeń i środków N. D. jest wprost niemożliwą. Nie dlatego, jakoby program ich był zbyt głębokim lub zbyt skomplikowanym, ale że poprostu programu tego nie ma. To, co z mianem programu wydano dla Królestwa, obejmuje jedynie najogólniejsze idee odnośnie do jednego zaboru — w szczególności już sama natura stosunków, wymagająca tajności, wejść nie pozwoliła. Zresztą odznacza się stronnictwo tak kameleonową naturą, tak często i tak gruntownie program jego się leni, że pierwsze roczniki „Przeglądu Wszechpolskiego“ już bardzo mało są podobne do ostatnich. Wieczni studenci — zarząd stronnictwa, mającego objąć wielki naród, ba, naród ów cały uważa za wielką Czytelnię akademicką, gdzie co kilka tygodni odbywa się dyskusya programowa i zmiana programu. Charakter niedojrzałości na tle falującej bezustannie uczuciowości wytwarza na punkcie najważniejszych idei taki chaos, tyle sprzeczności, że nielogiczności tych ująć w całość logiczną prawie nie sposób.

Zdawałoby się, że każde stronnictwo powinno wiedzieć przedewszystkiem czego chce, a stronnictwo monopolizujące dla siebie dążenie do niepodległości państwowej Polski, powinno naprzód zdać sobie sprawę z tego, w jakich granicach Polskę sobie wyobraża i jakimi drogami restauracyę naszego bytu państwowego pragnie osiągnąć. Nie są to kwe-

stye ideologiczne; od nich zależy nietylko nastrój moralny społeczeństwa, lecz także rozliczne środki i kroki jego najbliższe; nie są to rojenia polityków przy kieliszku, lecz jasne określenie swego stosunku do państw zaborczych, do ruchów polityki międzynarodowej, do grup etnograficznych, z jakich składało się państwo polskie. Wolno z tej kwestyi natrząsać się policyantowi, może odsunąć ją zwolennik pracy organicznej, stronnictwo par excellence niepodległościowe musi mieć wytyczną polityczną. Tymczasem „Przegląd Wszechpolski“ okazuje na tym punkcie zamęt pojęć, stek sprzeczności, świadczący, iż idee jego polityczne zupełnie są niedojrzałe. Oto dwa punkty z jednego roku, ba, z jednego półrocza. W lipcu 1901 r. „Przegląd Wszechpolski“ nie wątpi, że ani Polska w granicach historycznych, ani etnograficzna ściśle, jakby chcieli inni, nie jest dziś jako państwo możliwa. A więc? „Państwo polskie musiałoby się przynajmniej z dwóch stron oprzeć o granice przyrodzone, mianowicie o Bałtyk i Karpaty“. To jeszcze zrozumiałe. Ale już w grudniu 1901 „Przegląd Wszechpolski“ mówi o sobie, jako o polityku, „dla którego Polska rozciąga się od Odry do Dniepru, a od Bałtyku nietylko do Karpat, ale może nawet do Czarnego morza, i który w swych rozumowaniach i w swej działalności zawsze tę całość ma na myśli“. Więc myśli on o granicach przyszłego państwa — i w ciągu pół roku granice te zmienia, zdobywa dostęp do drugiego morza. Pozazdrościć istotnie łatwości zwycięstwa — szkoda, że na papierze. A że kwestya granicy wcale jest aktualna, wskazuje bodaj zależność od niej stosunku naszego do Rusinów. Wyrobionego jednak zdania „Przegląd Wszechpolski“ nie ma.

Nie wie N. D. dokąd iść, ani jak iść. Strzeżmy się doktrynerstwa, ale jeszcze bardziej — bezideowości, bezmyślności! Wiemy co w życiu znaczy przypadek, ale wiemy też, że istnieje żelazna logika wypadków a rozum w ogólności polega na jej przewidywaniu, rozum polityczny — na jej zużytkowaniu. W jaki sposób Polska zmartwychwstanie? Tysiące i dziesiątki tysięcy najlepszych w narodzie nad tem rozmyślało w nocach bezsennych i chwilach ekstazy, wśród katuszy żywota i widzeń proroczych, na barykadach ulicznych i przy stołach rządowych... Pytanie to jest soczewką, skupiającą najgłębsze promienie ducha każdego z nas, cały zasób jedo miłości i nienawiści, przekonań i wiedzy — do głębi porusza i na wierzch wydobywa całą naszą naturę. Niestety, to, co „Przegląd Wszechpolski“ o tej sprawie ma do powiedzenia — tylko litość budzi. Jakież bowiem inne uczucie może ogarnąć na widok ludzi, chcących być dyktatorami wielkiego narodu, którzy postawieni wobec najwyższego zagadnienia naszego bytu, płaczą się, krztuszą, mieszają, wpadają w gniew, maskujący impotencję, bełkocą, cofają się, mną jeszcze kilka chwil niezrozumiałe frazesy i milkną, ukrywszy nareszcie bezsiłę swej indywidualności pod miną wielkich dyplomatów. A taki właśnie widok przedstawiają politycy, nie — dyplomaci narodowo-demokratyczni. I oto znowu kilka cytatów, znowu z okresu czasu bardzo krótkiego, niewystarczającego normalnie na dojrzewanie gruszki, wystarczającego jednak na dojrzewanie w „Przeglądzie Wszechpolskim“ aż kilku naraz programów — notabene wykluczających się wzajemnie. Z końcem 1900 r. umieszcza list z Warszawy z hasłem, że „zwracanie uwagi kół inteligentnych społeczeństwa polskiego ...na potrzebę wytwo-

rzenia kadrów lub przynajmniej jakiegoś związku organizacyi wojskowej uważamy za zadanie wielkiej wagi i niecierpiące zwłoki“. Powstanie więc chyba już w powietrzu, skoro trzeba kształcić dla niego oficerów. Aliści w kilka miesięcy potem „Przegląd“ rozwija już linię zygzakowatą, roztrząsanie przez socyjalistów warunków powstania uważa za „szkodliwe fantazje“, lubo wie jeszcze, że „z postulatu programowego niepodległości wypływa konsekwentnie postulat zbrojnej walki, powstania“ i że „powszechnemu u nas mniemaniu, że w dzisiejszych warunkach militarnych powstanie ludowe jest niemożliwym, kłam zadają nietylko świeże i wymowne fakty, ale i zdania wielu specjalistów“ (maj 1901). Do sprawy tej przyrzeka warunkowo jeszcze wrócić, tj. przecie chce rozstrząsać warunki powstania. Ale już w marcu 1902 wystawia sobie w polemnicie z „Czasem“ świadectwo dojrzałości do objęcia władzy w Galicyi, gdyż „bardzo ostro występuje przeciw wszelkiej agitacyi powstańczej“; gotów nawet powstrzymać się w Królestwie „od wszelkiej szerszej pracy zorganizowanej na drodze tajnej (kwiecień 1902), gdyby wszelka organizacya działalności nielegalnej miała doprowadzić fatalistycznie do wybuchu powstania“. Jakto — więc nie naucza nawet abecadła polskiego dlatego, że kiedyś... kiedyś z postulatu programowego niepodległości wypłynie „konsekwentnie“ drugi postulat? Pewnie. Wszak wiemy, że siła może w pewnych warunkach zginąć. Wówczas usłyszymy nagle, że potrzebna nam przedewszystkiem „niepodległość wewnętrzna“, co podług komentarza redakcyi (1901, str. 512) oznacza, że narodowość, która potrafi zdobyć sobie pomimo jarzma narzeczyców niepodległość wewnętrzną, „prędzej czy później“

dojdzie też do zewnętrznej. Jesteśmy więc znowu sprowadzeni na stopień Czechów lub Irlandczyków. Ale czemu taki program różni się od sławnych „Wskazań politycznych“ Świętochowskiego, który przecie także myślał, że gdy naród rozwinie swą siłę ekonomiczną i kulturalną, z czasem... z czasem...? Tem, że się pracuje w gminie i nad oświatą? „Pracę u podstaw“ pozytywiści także propagowali. Ale jest różnica. Pozytywiści ignorowali politykę, my zaś prowadzimy politykę bardzo nawet wielką. Wprawdzie w r. 1900 „Przegląd Wszechpolski“ pisał, że polityka oglądania się na obcą pomoc jest „ohydną tradycją niedołęstwa i chamstwa politycznego“ — za to teraz tem śmieiej jego politycy rozprawiają np., że zmiana gabinetu w Japonii może dla sprawy polskiej mieć nieobliczalne następstwa, gdyż... jak wiadomo... Japonia panie dobrodziej, sprzymierzona z Anglią, a ta jest antagonistką Rosyi.

Dosyć. Czytelnicy poznają chyba, jak tęgie, jak jasne, jak konsekwentne głowy polityczne posiada sztab narodowo-demokratyczny. W sprawie tak chyba nam bliskiej, jak granice Polski, sposoby zdobycia niepodległości mają odpowiedzi... sezonowe... tuzin... a każda odmienna...

Gdy my mówimy, że ideałem naszym jest niepodległa Polska, na podstawie umowy ludów sfederowana z Rusią i Litwą, wkładamy w to hasło nie doktrynę, lecz treść żywą, granice nie sztuczne lub nigdy osiągnąć się nie dające, lecz nakazane instynktem samozachowawczym kilku narodów, przez los skazanych na związek. Gdy mówimy, że niczego się nie mamy spodziewać od rządów, natomiast lud nasz w pochodzie ewolucyi ekonomicznej i świadomości narodowej powstawszy zrzuci z siebie wszelkie więzy, w pierw-

szym rzędzie polityczne, i że będzie mógł liczyć na pomoc innych proletaryatów — opieramy się na niezmiernej sile elementarnej, która z każdym dniem rośnie od korzeni, potężnieje, i z fizyologiczną koniecznością będzie musiała zerwać pęta — z drugiej zaś strony na śmiertelnym antagonizmie, jaki zachodzi między uświadomionym, wielomilionowym proletaryatem niemieckim a Hohenzollernami, która to analogia zapanuje z czasem także w państwie Romanowów. To są wartości realne, tak silne jak ludy; pewne — jak kategorie ekonomiczne. Ale aby do nich dojść, trzeba rozpatrywać życie jako całość, nie robić polityki oderwane i uczuciowo, lecz traktować ją w związku także z podkładami ekonomicznymi, u nas i u obcych. Zobaczmy, jaki jest stosunek N. D. do tej strony przedmiotu.

* * *

Kwestya ekonomiczno-społeczna. Punkt ten możemy załatwić szybko. Stosunek do niego N. D. jest napozór żaden, w rzeczywistości reakcyjny.

Jest to wprost horrendalnym, aby współczesny polityk, mający pretensje do europejskich skali myślenia, okazał tak zupełną ignorancję na punkcie, który obok narodowościowego stanowi obecnie główną oś ruchów wszystkich ludów cywilizowanych. Wolno było przed ćwierć wiekiem szefowi burżuazji francuskiej mówić, że niema kwestyi socyalnej a są kwestye socyalne; dzisiaj polityk, ignorujący tę sprawę lub nieumiejący określić swego do niej stanowiska, poprostu nie może być poważnie traktowany.

Narodowi demokraci nie mogą powiedzieć, że kwestyi

społecznej nie ma — więc albo ją zaciemniają przy pomocy zwykłej swej logiki, albo... obchodzą.

Jak długo powtarzają, że idea narodowa powinna stać ponad klasową — zgoda o tyle, o ile chodzi istotnie o interesy duchowe, więc o literaturę, o święcenie wspomnień bohaterskich, o zmanifestowanie się wobec Europy, o prawa rozwoju swojej indywidualności, jednym słowem o kopułę, wieńczącą gmach narodowej podnosi. Ale ten stoi na realnym fundamencie — i biada architektowi, który o kopułę więcej dba niż o podstawę.

N. D. twierdzą też, że podstawą i przyszłością narodu jest lud, widzą nawet, że jest on rozdzierany walkami klasowymi. Jakież wobec tego zajmują stanowisko? Najchętniej wykupują się frazesami takimi — jak „nie zamykamy oczu na uzasadnione (?) antagonizmy klasowe, na potrzebę rewindykacyj (?) społecznych, stoimy całym sercem po stronie wydziedziczonych, którzy muszą sobie zdobyć byt wyższy i znaczenie społeczne...” (1901, str. 284). Frazesy nie mówiące, od których prowadzi równia pochyła do zupełnego wstecznicstwa społecznego. Bo w praktyce nie skąpią ludowi nigdy kazań a zawsze chleba; mówią biedakom zawsze o ideałach, nigdy o „rewindykacji społecznej“; nie znamy wypadku, aby narodowi-demokraci pomogli ludowi — w Galicyi, Królestwie czy na Śląsku — walczyć „o byt wyższy“. Powoli i teorye przystosowują się do czynów. Najnowsza teorya naukowa (z czerwca 1902) widzi „antagonizmy klasowe, mające swe źródło w nierównym stosunku państwa do rozmaitych warstw społecznych i w nierównomiernej tych warstw dojrzałości politycznej przy rozszerzaniu na nie praw politycznych“. Ekonomisci całego świata zdziwią się

niemało; dotąd uważano, że przyczyną antagonizmów ekonomicznych jest stosunek kapitału do pracy; „Przegląd Wszechpolski“ musi to jednak zataić, znajduje więc nawet dla wyzysku usprawiedliwienie „w nierównomiernej... dojrzałości politycznej“.

Nie jest zresztą wykluczonem, że za miesiąc ta teoria ustąpi innej, zawsze w tłustym sosie współczucia dla wydziedziczonych a zawsze bez kawałka mięsa w tym sosie. Poczł to już, mimo „niedojrzałości politycznej“ proletaryat wszystkich trzech zaborów; N. D. ma za sobą conajwyżej trochę małomieszczactwa, dla którego wydaje w Warszawie „Kilińskiego“ i dla którego jest jak stworzoną, robotników nie ma. Myślałby kto, że widząc własną impotencję, skrępowanie zależnością od klas posiadających, pozwala przynajmniej pracować tym, którzy nie prawią tyle o współczuciu, ale prawa i ulgi ekonomiczne faktycznie zdobywają. Nie, nikt tak zażarcie, tak namiętnie nie zwalcza socjalistów, jak narodowi-demokraci. Czyż to nie woda na młyn wstecznictwa i wyzysku?

Dla nas emancypacja narodowa jest z ekonomiczną ściśle złączona. Tylko lud ekonomicznie wyemancypowany potrafi być silną podstawą kultury i najsilniejszą tarczą w boju ostatecznym. Tylko więc za sprawiedliwością społeczną przyjdzie polityczna — międzynarodowa. Szerzenie tych idei tem łatwiej przychodzi, że w najbardziej przemysłowych dzielnicach Polski wrogami ludu ekonomicznymi są wrogowie jego narodowi: uświadamiając lud na Górnym Śląsku ekonomicznie, zdobywa się go także dla idei narodowej i tylko tą drogą go się zupełnie zdobędzie. Inna taktyka prowadziłyby do smutnych następstw ruchu dawnych

demokratów, którzy również wierzyli, że samą ideą polską lud nakarmią — i tak smutnie się rozczarowali. Co gorzej — gdy my sami nie weźmiemy w swoje ręce propagandy „rewindykacyj“ społecznych — uczynią to rządy zaborcze. Strasznieśmy odpokutowali grzech, gorzej: błąd polityczny, żeśmy dzieło uwłaszczenia chłopów zostawili najezdcom (manifest rządu powstańczego z r. 1863 pozostał manifestem). Teraz N. D. prowadzi do tego samego bagna, a tymczasem faktycznie do jarzma. Że równocześnie pozbawia nas sympaty i solidarności najsilniejszych — obok dworów — czynników dzisiejszych państw: proletaryatu wszystkich narodów — to już kwestya czysto polityczna, o którą wiecej ci politycy się nie troszczą. Mają co innego do czynienia.

* * *

Nowa szkoła myślenia politycznego. Najulubieńszym obecnie ich frazesem jest „stworzenie nowej szkoły myślenia politycznego“! Przed nimi Polak politycznie myśleć nie umiał — oni są mesyaszami nowego poglądu na świat, zwiastunami ery zbawienia. Przedewszystkiem więc traktują z niesłychaną pogardą wszystko, co było przed nimi; z biegiem czasu zaprowadzą zapewne nowy kalendarz, datujący się od ich wystąpienia. Co prawda, trudno będzie początek oznaczyć. Wszak chodzi o pojawienie się nie jednostek, lecz idei, a te są trochę... urozmaicone. W ostatnich czasach widać jednak zwrot ku większej jednolitości. Nie wystarcza już — na co każdy Polak mógł się zgodzić — podniesienie aspiracji narodowych ogółu, wzmaganie jego sił odpornych, organizowanie ich w obliczu wroga; trzeba

duszę polską wziąć w swoje ręce i do dna ją przerobić. Więc wyleczyć ją z wszystkich dawnych mrzonek. Oświadczywszy, że z obawy przed powstaniem gotowi byłiby zrzec się pracy „w drodze tajnej“, N. D. konsekwentnie zwalczają wszystko, co pachnie romantyzmem. Tolerują wprawdzie Lutosławskiego, bo co drugie słowo woła: Polska, ale faktycznie mają dla dawnego patryotyzmu Mickiewiczów i Słowackich politowanie. Wcale nie dwuznacznie kpią nawet („Przegląd Wszechpolski“ 1902, II), „że my jesteśmy jeszcze tak mało uspołecznieni, tak mało ucywilizowani politycznie, iż chcąc być dobrymi Polakami, musimy robić sobie z patryotyzmu religię, a każda religia musi mieć swoje księgi święte; ale nawet najreligijniejsi ludzie umieją oświecić kościoły elektrycznością, gdy my w swej świątyni narodowej palimy ciągle stare woskowe świece“. Więc Mickiewicz i Słowacki — to stare woskowe świece: powinny ustąpić; — więc patryotyzm, jako religia — to oznaka małego uspołecznienia i słabego ucywilizowania, patryotyzm powinien być geszeftem. Takie przeobrażenie jest właśnie ową nową szkołą myślenia, takie są myśli „nowoczesnego Polaka“.

Niestety, ta nowoczesność jest bardzo starą. Podług jej filozofii — świat jest lasem pierwotnym, zamieszkałym przez dzikie bestye; dzikość ta od wieków tylko formę zmienia, nie treść swoją; wszędzie panuje walka na dzioby i pazury; walka ta jest koniecznością; o ile daje zwycięstwo — jest pożądana, dobra, święta; o ile pozwala nietylko sobie zachować, lecz drugich niszczyć — jest rozkoszą, potęgą, wielkością; głupcy tylko mogą mówić o uduchowieniu, o sprawiedliwości, o ideale braterstwa; nie bądźmy głupi — wyostrzmy sobie najlepiej dzioby i pazury i bądźmy dzikimi

bestyami: dążmy do żeru, gwałtu, rozboju, tj. do „wielkości“.

To jest nić przewodnia, ogólna synteza, snująca się przez wszystkie zasadnicze artykuły „Przeglądu Wszechpolskiego“, szczególnie w ostatnich dwóch latach. Rozumowanie, które u najlepszych, bodaj bezwiednie, znowu płynie z pesymizmu narodowego, z obawy, że groźnych ciosów losu nie przetrzyma. Bo prawda! historia i terażniejszość to jeden ciąg mordów, zrad, kradzieży, oszustw, uświęconych w stosunkach międzynarodowych najpiękniejszymi hasłami... Nie łudzimy się; tak jest i zapewne długo jeszcze tak pozostanie. Widzimy to, ale równocześnie widzimy też szereg innych objawów: powolne, ale stopniowe uduchowanie się ludzkości. Wiek XIX widział takie rzeczy, jak odzyskanie samodzielności przez kilka narodów, jak wzrastanie związków międzynarodowych, jak protest znacznej części Niemców w r. 1870 przeciw wojnie z Francuzami, protest pewnych kół angielskich przeciw wojnie z Boerami, potężnych partij niemieckich przeciw germanizacji Polaków etc. Objawy te są jutrzniami wschodzącej ludzkości — są one — co nas teraz głównie obchodzi — naturalnie sojusznikami Polski. Wszelka jednostronność jest szkodliwa, jest właśnie tem doktrynerstwem, które „realni“ tak wyśmiewają; polityk, który na jednostronności buduje, jest zwyczajnym hazardzistą. Taką jednostronnością skrajną — pseudonowoczesny pogląd, budujący tylko na zwierzęcych instynktach, przeoczający siły, na których możemy i powinniśmy się opierać. Z niewiary w naród polski, który się okazał tak słabym i bywał zwiastunem jutrzni, głosicielem hasła: za naszą i waszą wolność! nowa szkoła myślenia politycznego głosi ewangelię powrotu

do natury: do lasu, do barbarzyństwa. Więc precz z uczuciami wieszczów — to są stare woskowe świece; precz z „księgami świętymi“, z humanitaryzmem, z wszelkiego rodzaju „doktrynerstwem“; przystosujemy się do warunków czasu siły przed prawem — wyprzedzamy nawet w tym kierunku Europę.

Rozumie się, że o ile „Przegląd Wszechpolski“ głosi potrzebę siły, skupienia się, stanowczości bez niepotrzebnych ofiar etc. ma słuszość, jak słuszość ma każdy komunał; na tem jednak jego „nowoczesność“, realizm, nie polega. Wobec rozpanoszonego a tysiąc lat liczącego już ducha hakatyizmu, nowoczesnego a znanego nam tak dawno ducha moskiewskiego, chce „nowa szkoła myślenia politycznego“ uodpornić organizm polski wszczępieniem w niego serum z pierwiastków samejże trucizny wrogów zaczerpniętego.

* * *

S z o w i n i z m. Od narodniczestwa do hakatyizmu idzie linia rozwojowa przewodców narodowych demokratów, a jakkolwiek nie wszyscy zapewne tę drogę przebyli, ostatni kierunek coraz bardziej przeważa i dziś nadaje już zabarwienie ruchowi całemu.

Doszedłszy do pogardy dla „starych świec woskowych“ i starych „ksiąg świętych“, głosi się niestrudzenie szyderstwo dla ideałów ogólnoludzkich. Są one „doktrynami“, które jak znoszone obuwie należy precz odrzucić. A więc precz z ideałem sprawiedliwości. Jest on naiwnością lub chorobą. „Wbrew wszelkim naukom historii każe on nam wierzyć, że sprawiedliwość w stosunkach międzynarodowych

zwycięży a w celu przyspieszenia tego tryumfu, poleca nam samym na wszystkie strony sprawiedliwość czynić!“ („Prze-
gląd Wszechpolski“ 1902 V). Czy to nie oburzające? „Na
wszystkie strony sprawiedliwość czynić“ — nie! pretensya
jeśli nie dzika, to śmieszna. Ba, „wielu marzy nawet o tem,
żeby za jednym zamachem nietylko ojczyznę oswobodzić, ale
i uregulować wszelkie niedomagania społeczne“ — to też
szczyt szkodliwej fantasmagoryi! Do kategorii takich absur-
dów należy też humanitaryzm, cywilizacya, rycerskość, bez-
interesowność, miłość wszelka, tradycya mesyanistów i wie-
szczów wielkich; przesady stare, do lamusa z nimi! „Nasz
program“, to egoizm narodowy, ale nie ów zdrowy, fizyolo-
gicznie przez zasadę samozachowania wskazany, lecz ów
krótkowidzący, nie przepuszczony przez kryterium rozumu,
polegający na tem, aby dać folgę wszystkim rozwydrzonym
instyngtom, doprowadzać je przez świadomość do manii...
W zakresie życia codziennego zdrowy egoizm do niezdro-
wego ma się, jak pragnienie dobrobytu do wyzysku i skner-
stwa, jak potrzeba odżywiania się do obżarstwa, jak miłość
szlachetna do zbydlęcenia. Jedynym hamulcem — granica
możności. „Ja“ podniesione do naczelnej zasady — w poli-
tyce narodowej konieczne; ale „ja“ bez samo-krytycyzmu
— musi prowadzić do zaślepienia i klęsk; „ja“ bez względu
na „ja“ drugich, nietylko wrogów, lecz wszystkich, którzy
są inni — musi prowadzić do brutalności i barbarzyń-
stwa.

Narodowcy odrzucają więc obecnie „patryotyzm“, ter-
min i pojęcie przestarzałe, są „nacyonalistami“. Jeszcze raz
małpiarstwo zagranicy; ci sami, którzy nie mają dość słów,
by potępić wpływy obce, nie zdobyli się jednak ani na

jedną myśl własną; nie zdobyli się na zdolność bodaj przystosowywania obcych wytworów do naszych potrzeb.

Nie darmo narodowcom naszym imponują tak bezmiernie hakatyści. „Do hakatystów należą obecnie najświatlejsze umysły niemieckie“ — wołają z podziwem, odmawiając od razu światła Virchowom, Eug. Richterom, Delbrückowi, Paulsenom, wszystkim wybitnym jednostkom, skupiającym się koło „Ethische Kultur“, trzem milionom, skupiającym się około S. D. To wołanie jest konsekwentne; wszak nie będąc zasadniczymi przeciwnikami bestyi w człowieku, instynktów zaborezych, nie mogą ich potępić u drugich. Twierdzą też, że Niemcom nie uublżają ich dążności germanizacyjne (1901, l.), pogardy godne są tylko środki „kanalii“ — jakoby cel od środków dał się odłączać. Pan Ochorowicz twierdzi nawet, że hakatyści są „jedynymi“ uczciwymi ludźmi w Niemczech.

Najświatlejsi i najuczciwsi! Ergo — idźmy w ich ślady.

A więc przede wszystkim jesteśmy nietykalni. Gdy przed kilkunastu laty wpadało się w ekstrem, potępiając tak namiętnie a ryczałem całą przeszłość i tworzyło się nową kulturę polską przeciw starej — twierdzi się obecnie bezwzględnie, że „nasza przeszłość to jest nasza wartość narodowa“. Z zasady jedności politycznej, jedności idei i aspiracyj narodu, robi się dalej jedność czysto mechaniczną, w znaczeniu także etniczmem, rasowem. Zasada to Schoenererowska: *Durch Reinheit zur Einheit*. Aby tę mechaniczną całość ożywić, dodaje jej się — ducha narodowego. Jakiż on? Wyrzuciwszy na śmietnik „księgi święte“ dawnego autoramentu, pozbywa się tego ducha bohaterstwa i zbożności, który czarem wieje z pism romantyków, a indywidualność

polską wynosi tak wysoko i czyni ją jedną z odrębnych
 głównych strun w koncercie świata — pozbywszy się tych
 rupieci, co właściwie pozostaje? Charakter narodowy? Ależ
 „nowoczesny Polak“ stwierdza zupełnie słusznie („Przegląd
 Wszechpolski“ 1902, III), że pojęcie charakteru narodowego
 jest czemś niestałym, wytworem historycznym bardzo zmien-
 nym i że to, co dotychczas pożytywano za charakter naro-
 dowy, jest charakterem szlachty, teraz już ginącym... Mimo
 to mówi się bezustannie o duchu i charakterze narodowym,
 opiewa się, wynosi pod niebiosa t. *Volksthun*. W rezul-
 tacie nie poprzestaje na dążeniu do zjednoczenia politycz-
 nego, które nas wszystkich, poza garścią ugodowców już
 ożywia; wyeliminowawszy pierwiastek duchowy, który wszyst-
 kich ożywić może i powinien, dochodzi się do zwyczajnej
 homofagii. Nie jest to przypadek, lecz wyrozumowana filo-
 zofia. To nam obwieszcza główny herold „Przeglądu Wszech-
 polskiego“, najpojętniejszy uczeń „Nowego Wremieni“ i „Press“
 rozmaitych, R. Skrzycki. „W podstawie nacyonalistycznego
 poglądu na społeczeństwo — woła z dumą — leży przeko-
 nanie, że ...postęp ludzkości tworzy się przez ciągłe współu-
 bieganie między narodami“. Zgoda, ale myśmy myśleli, że
 obok tego współzawodnictwa idzie równolegle prąd solidar-
 ności, harmonizujący, a postęp jest wypadkową. Nie. „Walka
 jest podstawą życia“. Autorowi nie chodzi oczywiście o współ-
 zawodnictwo naukowe, literackie, cywilizacyjne — to są ba-
 gatele, o które taki polityk się nie troszczy; co do myśli
 tak pojętej nie byłoby zresztą żadnej zgola dyskusji. Jemu
 chodzi o walki narodowościowe, polityczne, mające swój wy-
 raz właściwy w polityce krwi i żelaza. Dobrodziejstwa wojny
 opiewają Prusacy i on z nimi. „Narody, które przestają wal-

czyć, wyrodnieją moralnie i rozkładają się“. Naprzykład Polska za czasów Kazimierza W., Zygmunta Starego, Zygmunta Augusta, Skandynawia współczesna, Stany Zjednoczone 1870—1900, Szwajcarya — prawda? Odwrotnie należałoby wnioskować, że najwyższy rozkwit „postępu“ widzimy w czasie wojny trzydziestoletniej, polsko-kozacko-szwedzkiej i po nich.

Ogłosiwszy taką ewangelię, pozostaje już tylko wyciągnąć praktyczne konsekwencye. Te też nie dają długo na siebie czekać, szczególnie na terenie galicyjskim, gdzie długo zaniedbany grunt narodowy z upragnieniem wita każdego apostoła, przemawiającego w imię narodowości, a brak wykształcenia politycznego i kultury szerszej — sprzyja posiewom wszelkich chwastów. Tu N. D. w ostatnim czasie najwyższą rozwija działalność, a w tej polityce „praktycznej“, postawionej nie tak jak w Królestwie przed zadaniami narodowymi, gdzie nie ma miejsca na spory np. z Rusinami, socyalistami, w tej polityce galicyjskiej, podsuwającej już bezpośrednio iluzye i szafy wielkomocarstwowe, leży psychologia gwałtownego obniżenia się poziomu ruchu narodowo-demokratycznego. Tu zdolności przewodców niektórych do monstrialnej logiki, a pojętność innych do przyswajania sobie mądrości prusko-rosyjskich najwdzięczniejsze przed sobą mają pole. Tu kwitną — i obiecują najpiękniejsze plony.

* * *

Stosunek do Rusinów. Sprawę ruską omawialiśmy już na tem miejscu kilkakrotnie i z taką wyrazistością, że chyba zła wola lub znana monstrialna logika nie

mogła dotąd zrozumieć naszego stanowiska. Światopogląd nacjonalistyczny prowadzi w prostej linii do polityki zaborczej — my uważamy podobną politykę za zbrodnię polityczną i moralną. Tylko monstrualna logika może dyktować „Przeglądu Wszechpolskiemu“ równocześnie zdania (1901, XII), że zadaniem jego „pracy jest nie polszczenie Rusi, ale zachowanie i utrwalenie w kraju politycznych i kulturalnych wpływów polskich. Innemi słowy, zdaniem tej pracy powinno być utrzymanie i rozszerzanie polskiego stanu posiadania“. Między jednym a drugim zadaniem jest — przepaść. Zachowanie polskości w Galicyi wschodniej — zgoda; rozszerzanie może się odbyć tylko kosztem Rusinów, jest zaborczością. I gdy p. Popławski stawia nam za zadanie „ułatwienie i organizowanie prawidłowej kolonizacji polskiej“ — stoimy przed dążnością zaborczą. I gdy p. Studnicki wywodzi, że „kolonizacya w Galicyi wschodniej musi iść (!)“, stoimy przed dążnością zaborczą. I dziwić się tylko można tym politykom, którzy drukując na swych łamach plany tej kolonizacji, równocześnie narzekają na Rusinów, że w sejmie nie dopuszczają do uchwalenia ustawy o włościach rentowych!

My stoimy na stanowisku utrzymania polskości na Rusi, gdzie ona istnieje. Jeżeli p. Studnicki przypisuje nam występowanie przeciwko „akcyi oświaty polskiej w Galicyi wschodniej“ — jestto fałszem. W zeszycie styczniowym z r. b. pisaliśmy: „Nie traćmy — i tracić nam nie wolno, ani trzeba — tych półtora miliona Polaków, którzy są rozsiani po Galicyi wschodniej; nie traćmy — i tracić nam nie wolno, ani trzeba — lwowskiego Uniwersytetu polskiego“; w zeszycie czerwcowym: „wzmacniajmy nasze mniejszości

wszystkimi środkami obcowania duchowego“. Pisaliśmy też kilkakrotnie, że dla mniejszości narodowych, tak naszych jak i obcych, należy zaprowadzić autonomię narodową; dążymy do Polski niepodległej — ale musimy być przygotowani, że nawet po osiągnięciu ideału będą jeszcze pod obcym niebem wyspy polskości, jak są i będą w Westfalii, na Bukowinie, w Ameryce. Dla mniejszości, tymczasem na naszej ziemi, chcemy ustawy ochronnej, ustawy, podług której „narodowość byłaby rzeczą prywatną“. Jeżeli „Słowo polskie“ pisze, „że podobnymi frazesami można się upajać, ale nie można wyciągnąć z nich żadnej wskazówki działania“ świadczy to tylko, iż ignorancja polityczna jego redaktorów, nie wiedzących nic o ochronie mniejszości narodowych, nie ma granic.

Fałszywie więc p. Studnicki nam przypisuje wołanie: „zaniechajmy naszej roboty narodowej w Galicyi wschodniej“ — nie chcemy tylko odbywać jej cudzym kosztem*). Jesteśmy pewni, że gdy powstanie silna partya polska, przy-

*) Na ostatnim Zjeździe tow. „Szkoły ludowej“ piszący te słowa nie „występowały przeciwko akcji oświaty polskiej w Galicyi wschodniej“ — jak twierdzi p. Studnicki („Słowo Polskie“ nr. 357), był tylko za równomiernym traktowaniem w s z y s t k i c h punktów, gdzie polskość zagrożona, a przeciwko prowokacyom narodowym, gdy z przemówień niektórych delegatów z Galicyi wschodniej przebijało się niesłychane rozjątrzenie narodowościowe i wyraźna niechęć do akcji na Śląsku. Takie wyrażenie mieli też, i dlatego za wnioskami piszącego te słowa byli, tak nieposzlakowani chyba patryoci, jak pp. Bujwidow, Siedlecka, Bartoszewicz etc. — więc nie sami tylko socjaliści. P. Studnickiemu przydałaby się mniejsza fantazyja a większa znajomość rzeczywistego stanu rzeczy (a także, dodajmy nawiasem, gramatyki polskiej). Wówczas nie przypisywałby piszącemu te słowa stawiania alter-

znająca Rusinom prawdziwą, nieobłudną autonomię i zabezpieczenie ich mniejszości w Galicyi zachodniej — porozumienie będzie możliwe. Zadatki po temu są w tej znacznej partyi radykałów ruskich, która nienawiścią ku nam nie pała, a którą szowinistyczna prasa nasza tendencyjnie przemilcza. Przy takim porozumieniu zniknie też bezsensowne wołanie: Znaj Lasze, aż po San nasze! Półtora milionów Polaków o wyższej w dodatku kulturze Rusini nie wypędzą i nie zjedzą — nie chciejmy wogóle wzajemnie się zjadać! Dążmy do autonomii narodów, nie do austriackiej „autonomii królestw i krajów“, a dajmy początek federacyjnemu Związkowi Polski z Rusią, na który los nas skazał, dajmy początek istotny niepodległości naszej wspólnej, bo silni — dodamy siły swoim a cios wspólnemu wrogowi.

Narodowi demokraci chcą jednak czego innego. „Nasze terytoryum etnograficzne — pisze „Przegląd Wszechpolski“ — ...zajmuje obszar, nie mający nawet 5000 mil kwadratowych. Na takim obszarze, w naszych warunkach nie może rozwijać się naród wielki i wierzący w przyszłość swoją. Na wschodzie tylko mamy obszar odpowiedni do rozwoju naszej potęgi, naszej twórczości narodowej“. Więc Rusini mają być tymi Kafram i Matabelami, których ziemię mamy zawojować. Zawojować — raz się udało. Ale jak teraz utrzymać? Tylko bez ugody, bez ustępstw. Przyszły „profesor“ Szkoły nauk

natywy: Śląsk, albo Galicya wschodnia! Już p. Studnickiemu zostawiamy tak wspaniałe fantazyowanie historyozoficzne, jak to, które rozsnuwa w „Słowie Polskiem“ z d. 19 listopada: „żeśmy zbyt mało parli na Wschód, że należałoby zabrać Krym, zwalczyć państwo tatarskie, skolonizować Wschód południowy“. A możeby waleczny p. Studnicki po drodze „zabrał“ także „Niderlandy“?

politycznych, p. Studnicki naucza: „Błędem jest, aby ustępstwami kupowali się (!) sprzymierzeńcy i spokój. Węgrzy nie czynili ustępstw i nie mają kwestyi ruskiej“. Wzorem więc — polityka wobec ludów słowiańskich madziarska. A początki po temu już są. Dąży się do niej wszystkimi środkami — nie w ostatnim rządzie policyjnymi. Rusini wyrobili wśród siebie wstrętny typ lachofobów — a jakież uczucia żywią politycy z „Przegl. Wszechp.“?

Jeden przykład. Pamiętamy sławne, nieszczęsne wybory do parlamentu z r. 1897. Smutna to karta w naszych dziejach. Pod komendą Komitetu centralnego odbywały się ohydne gwałty — jedynie i wyłącznie na Rusi. Siedmiu zabitych, 29 rannych, 800 uwięzionych — to ilustracya do tego rozdziału historycznego. Księży ruskich prowadzono w kajdanach do więzienia — by ich niebawem „dla braku istoty czynu“ uwalniać. „Przegląd Wszechpolski“ zachowywał się wówczas bardzo „krytycznie“. Ganił rząd, że przeszkadzał wiecom ruskim, i wołał (1897, str. 137): „Wiece pod odpowiedzialną kontrolą nie mogłyby służyć za pole do niesumiennego podburzania, im też nie należało przeszkadzać, a natomiast z mniejszą tolerancją można się było odnosić do pewnej liczby grecko-katolickich proboszczów i innych rewolucyonistów „starego autoramentu“, którym w braku szlachetniejszych ideałów politycznych zachciało się bawić w sport hajdamacki. Wprawdzie uwięziono kilkunastu „pasterzy“, ale nie zrobiono tego dość wcześnie, ażeby uchronić nieszczęśliwy lud od obałamucenia. Taki pan proboszcz, który wyzyskuje ambonę do niesumiennej agitacyi, który podburza lud wieściami o grożącej mu pańszczyźnie, który pozwala sobie ni stąd, ni zowąd walić nocą we dzwony

dla utrzymania w ludności odpowiedniego nastroju, mógłby pójść wcześniej do kozy“. Co znaczy „wcześniej?“ Zanim „zbrodni“ się dopuszcza? Ale tych zbrodni weale nie było. Bo oto w kilka miesięcy, po całym szeregu rozpraw sądowych, tensam „Przegląd Wszechpolski“ (1897, str. 278) pisze: „W procesach wychodzi na jaw, że agitacya stronnictw opozycyjnych, jakkolwiek występowała z niezwykłą siłą, jednakże w rzadkich tylko wypadkach przekraczała faktycznie granice prawem zakreślone, na ogół zaś była legalną i nie przedstawiała się tak strasznie, jak z początku sądzono. Natomiast postawa organów rządowych, jak również stwierdzają procesy, była prawie wszędzie wyzywająca, a jawne nadużycia i niezawsze z ustawą zgodne sztuczki wyborcze najlichszego gatunku, praktykowane według dawnego systemu, musiały wywołać odpór gwałtowny“...

To się nazywa polityka, poczucie prawne, moralność. A gdyby tak podczas walki rząd był posłuchał nawoływań szlachetnego „Przeglądu“ i podług jego wskazówek postąpił sobie z „rewolucjonistami“? Młodzi zwolennicy dzisiejsi „Przeglądu“ będą jutro sędziami, urzędnikami politycznymi — mają oto przykład bystrości politycznej i intuicji moralnej swoich wychowawców. W dobrej są „szkole myślenia politycznego“!

I tak z roku na rok, z dnia na dzień gmatwa się, zaostrza, rozognia, tę nieszczęsną kwestyę polsko-ruską, brzemienneą dla obu narodowości najcięższymi katastrofami. Jakież mogą być najbliższe następstwa? Mylą się grubo Rusini. sądząc, że nic nie mają do stracenia, mylą się też ci Polacy, którzy sądzą, że ustrój prawno-polityczny Galicyi na naszą niekorzyść nie może być zmieniony. Obecnie już jedno wi-

dzimy: sejm galicyjski jest na długie lata „zagwożdżony”, nad całym krajem czarna wisi chmura. Już w ostatniej sesyi Rusini cichą groźbą obstrukcyi uniemożliwili uchwalenie ustawy o włościach rentowych i o biurach pośrednictwa pracy. Ze swojego stanowiska narodowego. Za rok zaczną obstrukcyą zwalczać budżet szkolny, potem — budżet w ogólności. Cóż wtedy? albo targi, drobne ustępstwa, szacherki, cała ta demoralizacya, która wypływa, gdy się sprawy jakiejś nie traktuje jawnie, zasadniczo, szeroko, tylko jako kramarstwo polityczne; albo też wejdzie w życie lex Urbański, lub uchwali się ad hoc „gilotynę parlamentarną”, jaką swego czasu uchwalono w Londynie przeciw Parnelowi, aby ustawy móżdż przeforsowywać. Ale czy takiej burzy nam potrzeba i czy ją cało przetrzymamy? Bo równocześnie kipi już burza na dworze, lubo p. Dzieduszycki kiedyś sobie chwalił, że możemy siedzieć spokojnie, bo nad naszym dachem cisza panuje. Plan Rusinów bardzo jest widoczny: na całej linii secesyje, bojkoty, obstrukcyje, strejki. Cały arsenał nowoczesnej wojny bezkrwawej a najstraszniejszej, tak łatwo opanowany przez ów naród analfabetów. Więc secesyja ze sejmu, z uniwersytetu, potem z innych szkół; obstrukcyja — wiadoma; a strejk rolny? Nie łudźmy się; ogień, ogarniający obecnie całą Galicyę wschodnią, jest skierowany przeciw niskim płacom, ale równocześnie, a może więcej, przeciw Polakom. Jest on natury więcej politycznej, niż ekonomicznej. Rusini będą mieli zyski i straty; straci polska gotówka, zyska może technika polskiej gospodarki rolnej (przez zaprowadzenie maszyn) — ale to jest pewnem: pod względem politycznym nic dobrego stąd dla nas nie wyniknie. Obym był fałszywym prorokiem, ale w Galicyi wschodniej idziemy

do walki na noże! Posiadając silne wpływy we Wiedniu możemy jeszcze przez pewien czas zwalczać Rusinów, ale gdy u steru stanie minister nieżyczliwy? gdy wobec burz rozszalałych życzliwy nawet minister nie będzie mógł słuchać komendy Koła polskiego? Wówczas dożyjemy tej hańby, że uregulowanie kwestyi ruskiej w swoje ręce weźmie rząd austriacki; znowu obce mocarstwo zrobi to, czego sami — gdy jeszcze czas — nie chcemy.

A czas po temu jeszcze jest. Nie chciało się naprawiać dachu, gdy była względna pogoda, trzeba to robić, gdy deszcz. Przykro to i trudno — prawda; przykrzejszą jest rola pośrednika *zwischen zwei feuerspeiende Drachen* — dobrze to czujemy. Ale jak na dzisiaj — Polacy mają władzę, są silniejsi, do nich więc należy uczynienie pierwszego kroku. Nie mówimy o podziale Galicyi, mówimy o sprawiedliwej ustawie narodowościowej, która może być podstawą przyszłej federacyi. A do tego jest zdolna tylko demokracja; od niej powinna wyjść inicjatywa; od czekającego na swoją „chwilę“ hr. Stanisława Badeniego myśli w wielkim stylu się nie spodziewamy.

Narodowi demokraci marzą jednak o kolonizacyi Rusi i o rządach madziarskich.

* * *

Stosunek do żydów. Jak we wszystkich sprawach, tak i w tej stanowisko N. D. jest chwiejne, chaotyczne, a w ostatnich dopiero latach przybiera znamiona zapożyczone od nacyonalistów wszystkich krajów i ludów. *Nil novum* w katechizmie naszych zbawców ojczyzny; program ich,

logiczniej tylko pomyślany, można wyczytać — *mutatis mutandis* — w każdej odezwie Schoenerera, ligi H. K. T., lub byłych przyjaciół komendanta Esterhazego.

Pomijamy głosy z przed lat kilkunastu, dla epigonów są one historią starożytną. W roku 1901 (V) „Przegląd” określa stosunek stronnictwa do żydów w sposób, który początkowo stara się o motywy i obiektywizm. „Polakiem — mówi o uświadomionej inteligencji — jest każdy, kto mówi po polsku i łączy się ze społeczeństwem polskim we wszelkich dążeniach, mających na celu dobro narodu, gotów dzielić wszelkie jego złe czy dobre losy”. Określenie, jak widzimy, dość elastyczne, bo wychodzące z założenia, że „społeczeństwo” już dzisiaj jest jednolite i jednolite są „wszelkie” jego dążenia. Ale w zasadzie można i trzeba się na nie zgodzić. Cóż z tego, gdy komentarze psują wszystko, co mówi tekst, policzkują tego, co ową zasadę pisał. Więc trochę dalej słyszymy, że żyd-polak musi przedewszystkiem zerwać wszystkie więzy, łączące go z żydami — jakoby one mu istotnie przeszkadzały mówić po polsku i podzielać wszystkie losy narodu, do którego z siłą żywiołową czuje się popchniętym. Takie stawianie kwestyi jest znowu niczem innym, jak instynktem homofagii. Piszący te słowa, „żyd”, wcale nie ma ochoty zerwać stosunków z ojcem, „chałatowcem” o długiej po pas siwej brodzie, ani z warstwami żydowskimi cierpiącemi; żałuje zawsze, że nie może części sił poświęcać także na podniesienie ludu żydowskiego, a nie widzi w tem żadnej kolizyi z uczuciami i obowiązkami dla ojczyzny. Adam Mickiewicz nieraz się podpisywał „Litwin”; śp. Henryk Bukowski do ostatnich chwil należał do towarzystwa litewskiego; żaden wielki naród dzisiejszy nie jest

etnicznie jednolitym, a polityka i umysłowość polska „obcym żywiołom“ nie ma chyba zawdzięczać. Nie patryotyzm, lecz szowinizm zuboża tak straszliwie duszę swoich wyznawców, że nie pozostawia w nich miejsca na uczucia ogólnoludzkie; nie patryotyzm, lecz szowinizm, nie wiara w naród, lecz pesymizm narodowy stoi na stanowisku plemiennem. Gdy się na niem nie stoi — jak my — stosunek nasz do świata jest zupełnie inny; także do żydów. Dla sprawy polskiej mogą być zjednani, bodaj — gdyby syonizm zwyciężył — politycznie; nie miażdżąc ich antysemityzmem, można i należy w najgorszym wypadku mieć w nich co najmniej sojuszników. A to nie jest do pogardzenia — ani na Rusi, ani w prowincjach zabranych.

Myśl „Przeglądu“ jednak tak daleko nie sięga; uczucie dąży do jak najszybszego wyładowania się, do godnej uznania szczerości, do twierdzenia apriorycznego i nie potrzebującego dowodów i motywów: „Żydzi, najlepsi nawet i najlepiej spolszczeni, narodowo ani nie myślą, ani nie czują“ (1901, str. 28).

Biedne cienie wszystkich tych żydów, którzy od Berka do ofiar 1863 i późniejszych krew swą za Polskę przelewali — wyście po polsku ani nie czuli, ani nie myśleli! Biedni ci pracownicy ducha, Merzbachowie, Natansonowie, Nussbaumowie; biedny ten Adalberg, co jedyny „mądrość narodu“ polskiego w trudzie niemałym zebrał, ten Kraushar i Meyet, co z takim pietyzmem i miłością pamiątki historyczne i literackie ocalają, ten Dickstein, co tak dba o rozwój u nas nauk matematycznych, ten prof. Askenazy, co z taką bystrością nad wyświetleniem losów polskiej racy stanu w XVIII i XIX wieku pracuje — oni po polsku ani nie

myślą, ani nie czują. Smutno by z nimi było, gdyby wpatrywali się istotnie w pisarków z „Przeglądu Wszechpolskiego“, tych prawdziwych kurczycieli ojczyzny, którzy więcej są w stanie odpychać od jej łona, niż przygarniać. Na szczęście żydzi, którzy nieraz po ciężkich konfliktach z swymi najbliższymi i z samymi sobą oddają, co mają najlepszego, dla idei polskiej, mogą spoglądać ku innym patronom, ku takim postaciom, jak Mickiewicz, Lelewel, Kraszewski! Przymienną sobie — kogo u nas od uczuć i myśli polskich nie odsądzano! Odsądzano Lelewela, jako obcy żywioł; pewnego Adama Mickiewicza odsądzali konserwatyści (Koźmian) i postępowcy („Rok“ Moraczewskiego) za „nienarodowe“ jego pierwiastki; odsądzono ludowców, socjalistów, ci często odsądzają potomków najhistoryczniejszych rodów, a p. Bobrzyński odsądził niedawno wszystkie warstwy, które nie tworzą sztuki i literatury narodowej! Gdyby tak podług tego sądzić — naród polski właściwie by nie istniał.

Z całym spokojem możemy tedy spoglądać na stereotypowy frazes o „wpływach rozkładowych żydowstwa“, najczęstszy, jaki na łamach „Przeglądu“ można spotykać. Wszystko jest owocem tego wpływu rozkładowego: liberalizm pozytywistyczny, socjalizm antiliberalny, kapitalizm, antikapitalizm i t. d. Słowem: żydzi są zatruwaczami studzień publicznych. Mały przykład. Kilka miesięcy temu była w całej Polsce głośną sprawą „Legend“ Andrzeja Niemojewskiego. Prokuratora austriacka książkę skonfiskowała dla wrzekomej obrazy religii. Rozmaicie sprawę tę sądzono: „Krytyka“ umieściła głosy osobistości bardzo wybitnych, nie mających w swych żyłach ani kropli krwi żydowskiej, które owe „Legendy“ wysoko cenią. Z jakiego stanowiska kwestyę tę,

mającą znaczenie artystyczno-literackie, wolnościowe, filozoficzne, religijne, osądził „Przegląd Wszechpolski“ ?

Oto pisze (1902, II). „Nikt nie zwrócił uwagi na doniosły fakt kulturalny, którego ta książka jest poważnym objawem. Wiele się mówi u nas o czasach powstaniowych, o asymilacji żydów, a natomiast nie mówi się nic o asymilacji Polaków przez żydów, chociaż przez współżycie z żydami znaczna część naszej inteligencji zwłaszcza w Warszawie, przyswoiła sobie czysto żydowski sposób czucia i myślenia. Najlepszym właśnie w tym względzie dokumentem są te „Legendy“ — książka zresztą wcale kiepska — napisana przez człowieka, który zdaje się kropli krwi żydowskiej niema, a który czuje i myśli, jak typowy radykalny izraelita. Jakkolwiek może mu się zdawać, że jest wielkim duchem buntowniczym, na mocy „Legend“ należy go traktować przedewszystkiem jako jeden z ciekawszych kanałików, przez który do rzeki umysłowości polskiej sączy się psychika Kaźmierza i Nalewek. I jako takiemu powinna mu być dana kartka w historii literatury polskiej. Księgarnia Altenberga poznała się na wartości i charakterze książki i wydała ją z całym równie charakterystycznym luksusem. Bogato ilustrowana, obłożona okładką narysowaną w desień żydowskiej śmiertelnej koszuli, wydrukowaną została specjalnie odlanymi czcionkami... Głównie wszakże imponuje owa rytualna koszula, będąca tak na czasie w chwili inauguracji polskiej sztuki stosowanej. Przynajmniej nikt p. Niemojewskiemu nie zarzuci, że występuje zamaskowany“.

Przykład to jeden z licznych. Biję się ciągle w czynnik rasowy, jakkolwiek nie ma się odwagi konsekwentnie to wypowiedzieć. Dożyjemy i tego. Wiemy przecie, ile ci pa-

nowie umieją poświęcać dla taktyki. Ze względów taktycznych używają w wydawnictwie dla inteligencji przeznaczonem słownika „tylko“ tego, z którego daliśmy cytat, widzieliśmy już jednak, jak przemawiają do ludu. Przez rok blisko wydawali we Lwowie dzienniczek brukowy „Wiek XX“. Dużo patryotyzmu w lud nim nie wpoili, wszczepiali natomiast najohydniejsze bakterye antysemityzmu. Ulubionem np. źródłem informacyjnem z Krakowa było plugawe pismo, wydawane tu przez p. Ehrenberga. Nie było kłamstwa, nie było nیکczemności, nie było napaści na jednostki i ogół żydowski, którychby „Wiek XX“ za „Głosem Narodu“ nie był powtórzył. Obecnie redakcyja jego przeniosła się do nabytego z końcem lutego b. r. „Słowa Polskiego“. Ponieważ „Słowo Polskie“ opiera się przeważnie na żydach, więc rogi swoje na razie ukrywa, nieśmiało tylko, czasami przebąkując o dobroczynnej, skutecznej taktyce antysemitów wiedeńskich i nacjonalistów francuskich. Wysokie zasady nie wykluczają niskiej taktyki. Potrzeba tej ciasnoty i nieznamomości życia polskiego, jaką się odznaczają głowy nawet najświetlejszych żydów galicyjskich, aby ci nie wiedzieli, że „Słowo Polskie“ jest filią „Przeglądu Wszechpolskiego“, który swój stosunek do żydów dość wyraźnie chyba określa; potrzeba tego zaniku poczucia godności osobistej, tego psiego łaszenia się, jakie są właściwe zdemoralizowanym kahalnikom, przewodcom oficjalnym żydów, aby ci zostawali nadal główną ostoją organu ludzi, mających dla nich ohydne brutalstwa i uczucia, jako dla żywiołu „rozkładu“.

Wesołą *pointą* w tem wszystkim, że o ile N. D. ma na celu odwracanie od siebie zarzutu żydowskości, jaki ze strony konserwatywnej zwykle pada na wszelki ruch jej

wrogi, osiąga skutek wręcz przeciwny. Bo oto np. hr. Jerzy Moszyński i „Orędownik“ poznański przypisują ruch narodowo-demokratyczny „żydom polskim, żyjącym w Królestwie. na Litwie i Rusi“ (słowa „Orędownika“). No, tak rzecz się nie ma. Nasi Narodowi-demokraci są dobrymi antysemitami; czasem tylko nie są nimi — gdy biorą od żydów na swoje cele pieniądze.

* * *

Polityka bieżąca. Mówiliśmy dotychczas głównie o ideach N. D. zasadniczych; gdybyśmy mieli poddać dokładniejszej analizie jej politykę praktyczną — musiałoby się spisać tom wielki, zatytułowany: Księga omyłek. Cała dzisiejsza N. D. jest jedną wielką omyłką, a przeniesiona na grunt rzeczywistości w Galicyi, bezustannie potyka się, pada, koziołki wywraca. Roztaczania tego smutnego widoku musimy sobie — przynajmniej na dzisiaj — odmówić. Wystarczy przejrzyć kilka roczników „Przeglądu Wszechpolskiego“, by do najsmutniejszych dojść rezultatów.

Wychodząc z fałszywych założeń, kierując się instynktami, małpiarstwem, nie racją, opartą na objęciu całokształtu stosunków w świetle wielkich idei wieszczów — dochodzi się oczywiście do najbardziej zmiennych wniosków i najgorszych następstw. Jak długo się mówiło: interes polski jest jedynym pryzmatem, przez który należy patrzeć na wszystkie zjawiska społeczne — mieliśmy wskazówkę dobrą, znaną nam zresztą ze słów i czynów kilku pokoleń, za naszych czasów przemienioną już w komunał przez stańczyków i demokratów galicyjskich. Teraz jednak „nowa szkoła myślenia

politycznego“ stara się wszystko sprowadzić do swojego „ja“, tworzyć na każdym polu coś odrębnego, oryginalnego, a nie ma po temu żadnych warunków. Wpada więc w coraz większy chaos i stek nielogiczności.

Pierwszą rzeczą jest — zniweczyć, zniszczyć wszystko, co było przed nimi. W imię czego? Chcąc stworzyć nowe stronnictwo, trzeba przecie posiadać własne drogi odbudowania Polski, własny program ekonomiczno-społeczny, a tego N. D. nie ma; w sprawie zaś ruskiej i żydowskiej zbyt oryginalną nie jest. Nic to jednak nie przeszkadza. Burzyć trzeba za wszelką cenę. Do czytelników i sfer konserwatywnych nie sięgają — ofiarą padają więc postępowe. Nikt w ostatnich czasach tak nie prześladowuje galicyjskich stronnictw opozycyjnych: ludowego i socjalistycznego, jak narodowi-demokraci. Jeszcze kilka lat temu popierał ludowców „Przegląd Wszechpolski“ gorliwie, z zapalem; co oni w ostatnich czasach złego zrobili? Zawarli najniepotrzebniej w świecie sojusz ze Stojałowskim, który zresztą niebawem prysnął. To był błąd, ale nie grzech śmiertelny, i znika przecie w porównaniu z dodatnią stroną ludowców, którym piszący te słowa dużo ma do zarzucenia, ale musi też przyznać, że ze stronnictw, co umiały trafić do chłopca, jest najzasłużeńszem. Mimo to N. D., gdzie może, wpływ ich podkopuje. Nienawiść, jaką ich obdarza, jest prześcignioną tylko przez furę, z jaką się odnosi do socjalistów. Na nich „Przegląd“ nigdy nie był zbyt łaskaw, mimo to jeszcze w r. 1897 (VII) pisał: „wątpimy, czy socjalizm, chociażby międzynarodowy, można — zwłaszcza w Niemczech — zaliczyć w pierwszym rzędzie do wrogich nam (sprawie polskiej) żywiołów“. Uznanie, które powinno obowiązywać! Od

tego czasu posłowie socjaliści w Niemczech jeszcze goręcej kopie kruszą w naszej obronie, socjaliści polscy stali się najbardziej przez zaborców znienawidzoną awangardą sprawy polskiej. Wszechpolacy tem szalenięj na nich szczują. Polak z innego zaboru, nasłuchawszy się nawet sporo o „porządkach galicyjskich“, nie ma wyobrażenia o gwałtach i bezprawiać, które tu bywały systemem, o wyzysku klas niższych, który tu był uświęcony. Ludowcy i socjaliści płomieniem swych serc osuszili trochę te bagna moralne, ale zadanie ich jeszcze nieskończone. Zorganizowawszy dokoła siebie nawet wszystkich filistrów, „Przegląd Wszechpolski“ nie dokona tego zadania, bo to nie leży w jego tendencyi, bujającej „ponad partyami“. I czy dlatego tak tępi najsilniejszą naszą opozycyę? Czy za to, że socjaliści w Warszawie najenergiczniej zwalczają ugodę? Narodowi demokraci z całą świadomością pracują na rzecz reakcyi, gdyż cały ich kierunek w ostatnich czasach jest czysto reakcyjny.

Nazywa się to dążeniem do spójności narodowej. Naszem zdaniem najlepszą spójnią będzie siła wewnętrzna, wpływająca nie z zagłuszania, lecz z wyrównania kontrastów klasowych, z usunięcia niesprawiedliwości i wyzysku, z miłości, przenikającej serca w miejsce zasady: *homo homini lupus*. „Przegląd“ pragnie jednak spójności mechanicznej i jej poświęca wszystko. Idea fałszywa — więc fałszywą też metoda ;pełna niekonsekwencyj—praktyka. Kto czytuje organa tego bałamuctwa narodowego i pamięta, jak on raz pisze mądre artykuły o potrzebie rozbicia Koła polskiego, to znowu broni jego jedności, aby znowu potem wołać: *delendum est!* kto pamięta charakterystyki Badeniego w „Przeglądzie“, jako najgorszego polityka, jakiegośmy mieli, i wołanie, że należy

tego najgorszego podtrzymać, bo on „nasz“; kto pamięta bystre uwagi naczelnego polityka à propos ostatnich wyborów do sejmu np., że „miarą siły i organizacji stronnictwa demokratycznego w Krakowie była kandydatura p. Kramarczyka“, lub, że wysoce nam zresztą sympatyczny wybór Bojki we Lwowie „może mieć wpływ znaczny na ułożenie się stosunków politycznych w Galicyi“ (1901 IX) etc. etc. — ten dopiero będzie miał wyobrażenie o potędze i żelaznej konsekwencji myśli, o jasnym widzeniu sytuacji i dalekich planach politycznych proroków nowej ery. Zbawion — kto jej owoców skosztuje.

* * *

Moralność. Obraz nie byłby zupełny, gdybyśmy pominęli jeszcze jeden refleks, dla nas niemało ważny. Jest nim wynikająca z myśli i akcji N. D. deprawacya charakterów. Rozumie się, że nie pozostaje ona w związku z osobistymi charakterami kierowników ruchu. Między nimi są ludzie, dla których żywimy głęboki szacunek, i którzy z pewnością nie na wszystkie „myśli nowoczesnego Polaka“ się zgadzają: wątpimy nawet, czy wszystkie podpisałby p. Popławski, któremu zasług bynajmniej nie odmawiamy. *C'est le ton, qui fait la musique*, o ton chodzi, o ton światopoglądu, który wbrew woli swych twórców — wszak Szujski np. był osobiście najzacniejszym człowiekiem! — najgubniej musi oddziaływać na dusze szczególnie młode.

Wpływ Narod. Dem. musi być zgubny. Lubi ona sobie przypisywać zasługę obecnego wzrostu uczuć patryotycznych w narodzie, dla siebie anektuje owe dzielne typy młodzieży,

któreśmy poznali np. z procesów przed sędziami pruskimi, etc. Bezpodstawnie — tośmy już raz zaznaczyli. Naród sam rośnie i dojrzewa, hartuje się w zapasach i walczy, party zapałem świętym, na który się składa zarówno fizyologiczna odporność żywiołu, jak i świadomość, płynąca z ust wieszczów i mędrców narodu, zarówno kontrast religijny jak i klasowy. I ruch po „Wrześni“ powstał bez współdziałania N. D.! Siła narodowa już istnieje, a N. D. chcą ją tylko przelać na swój młyn — i tu nastaje proces zarówno politycznie jak i moralnie szkodliwy.

Niedojrzali — zarówno młodzież jak warstwy ludowe — słysząc ciągle ewangelię „trzeźwości“, „praktycznego rozumu“, pomiatanie starami „świętymi księgami“, „doktrynami“, a stawianie w ich miejsca katechizmu krwi i żelaza, niedojrzali ci muszą wyrobić w sobie przekonanie, że świat jest menażeryą, a przyszłość należy tylko do posiadacza najtęższych kłów. Dobra z gruntu natura, młodzież idealistyczna, postanowi kłów tych używać li w służbie narodu — a czy na długo? a czy etyka taka narodowa nie zacznie wpływać na indywidualną? Rozumieją to snadź przewódcy N. D., dlatego pozwalają na podwójną buchalteryę: w „Przegl. Wszeczp.“ propagują ewangelię bismarkowską, ultrarealistyczną, w „Tece“ zaś, oficjalnym organie dla młodzieży, szerzą kult starych świec woskowych, idealistyczną religię patriotyzmu Mickiewicza, ba, nawet kult St. Szczepanowskiego i marnego epigona — Lutosławskiego. Czem jest podwójna buchalterya, jako system wychowawczy i etyczny — wiadomo...

Dalej jeszcze. Wskazywaliśmy na bezlik sprzeczności i niekonsekwencyj, w jakich bezustannie publiczności N. D.

się wikłają. O najważniejszych naszych zadaniach mają zdania niewyrobione, chaotyczne. Wyjście stąd wskazuje im instykt atawistyczny, u niektórych dochodzący genetycznie do pradziadów-Polaków, u innych do praszczurów z lasów dzikich, strojący się obecnie coraz częściej w filozofię królewsko-pruską. Nie zawsze jednak chcą to — nie wszyscy mogą to szczerze wypowiedzieć. Robi się wtenczas z grzechu cnotę, z bezzasadowości robi się zasadę, chaos otacza się gloryfikacją. „Stronnictwo rzeczywiście polityczne — głosi artykuł redakcyjny (1901, XI) a nie sekciarskie, jako (!) siła mająca spóczesne i przyszłe stosunki na oku, nie potrzebuje bynajmniej mieć urzędowych historycznych poglądów, jak nie ma również obowiązującej dla członków filozofii“. Oznacza to, że stronnictwo nie potrzebuje jednolitego poglądu na świat, z któregoby konsekwentnie zasady życiowe wypływały. Nonsens to wierutny, ale tak mile głaskający serce uczuciowców, czujących się wolnymi od twardej logiki i ścisłej wiedzy!

Wynikają stąd dwa szeregi następstw. Stronnictwo nie zobowiązane do przestrzegania zasad, wpada w zupełną anarchię umysłowo-moralną. Mięszają się pojęcia, środki, cele. Redakcyja „Przeł. Wszechp.“ drukuje np. „Listy historyczne“ dra Wacława Tokarza, śpiewające hymny na cześć dawnej Czartoryszczyzny, pełne inwektyw przeciw dawnej demokracji polskiej, chwali te listy, a dopiero skutkiem energicznej odprawy czcigodnego T. T. Jeża zaznacza, że się z ich autorem nie zgadza. Niejeden to przykład zamętu, wynikającego z pogardy dla zasad. A w sferze czynu? Ktokolwiek dyskutował kiedy z narodowym demokratą, przekażał się, jak trudno z nim dojść do ładu. Jałowe zupełnie

i gorszące są dyskusye, prowadzone ze „stronnictwem“ przez młodzież postępową. Rzecz zupełnie zrozumiała. My stawiamy tezy naukowe, motywy, dowody — druga strona czuje się zwolnioną od historycznych poglądów i filozofii. My staramy się o harmonię między uczuciem a rozumem, tamta strona kieruje się tylko impulsami. Nie mogąc racjonalnie argumentować, wpada też prędko w pasyę. „Słowo Polskie“ zresztą niedawno wprost zaleciło kije, jako jedyną broń w dyskusji z młodzieżą socjalistyczną. Kije lub inwektywy. Nie ma takiej bezwzględności, do którejby oficjalne organy N. D. wobec przeciwnika nie były zdolne. Kto się o tem chce przekonać, niech przeczyta ów bezmiar obelg i szkalowań, jakie się posypią pod adresem piszącego te słowa za obecny artykuł ze strony czasopism narodowo-demokratycznych; ba, zrobią one nawet odkrycie, że autor jest... żydem.

Takie wyniki widzimy u zapaleńców, uczuciowców, inne — u typów więcej racjonalistycznych. Bezprogramowy chaos N. D. stwarza u pierwszych ślełą egzaltacyę, u drugich — oportunizm. I naturalnie. Gdzie na punkcie najwyższych zagadnień panuje zamęt, gdzie niema odpowiedzi na pytania o odbudowaniu Polski, o kwestyi społecznej, o historyografii, filozofii, natomiast rozlega się bezustanne szczucie na „rewolucjonistów“, do których zalicza się zwolenników idei powstania, socjalistów, Rusinów — gdzie wielcy politycy leją zimną wodą na tych, co demonstracyą rozbijają propagandę moskalofilską w Galicyi, natomiast główny punkt ciężkości widzi się w funkcji austriackiego „Beschwichtigungshofrath'a“; w zatuszowywaniu interesów, różnic najbardziej uzasadnionych, dalej w drobnych utarczkach

i wielkich targach o małe zyski — tam musi oportunizm rozkwitać w najlepsze. Typ młodego radcy stanu, udającego dyplomate, z pogardą mówiącego o demonstracjach ulicznych, do których zalicza też obchód grunwaldzki. typ młodego, który — np. w ostatnim nrze „Teki“ — wydrwiwa „humanitaryzm“, typ taki staje się wśród młodzieży narodowo-demokratycznej, szczególnie galicyjskiej, zjawiskiem tak częstem, jak nieokreślonych poglądów fanatyk. Psychologia obu z jednego wypływa źródła. A dodawszy zanik na całej linii uczuć i ideałów ogólnoludzkich, budzenie zupełnie barbarzyńskich uczuć względem Rusinów, żydów etc., musimy powiedzieć, że N. D. dąży do tego, aby typ Polaka bardzo zubożyć, obniżyć i w wysokim stopniu zdemoralizować.

* * *

„Musimy otwarcie przyznać, że „Przegląd“ przez sześć lat swego istnienia zrobił za mało w stosunku do swej wewnętrznej wartości, że jego wysoki poziom polityczny tylko przez szczupłą garść został zrozumiany i oceniony“. Takie świadectwo w skromności swojej wystawiła sobie redakcyja (1901, IX), przyznając temsamem, że wpływ jej faktyczny był mały, tj. że do podniesienia wysokiego obecnie w Polsce nastroju patriotycznego niezbyt się przyczyniła. Kto zaś ma w myśli ów stek bałamuctw, zwalczających się zaciekle sprzeczności, komunałów i dzikich idei, któreśmy w cytatach z „Przeglądu“ przytoczyli, ten wie dobrze, czem jest wewnętrzna jego wartość, natchnioua przeważnie uczuciami bardzo szczerych Polaków, ale uważających za „wysoki poziom polityczny“ śmieszłą wprost niedojrzałość umysłową.

I tacy ludzie wyciągają obecnie ręce po „rząd dusz“, po kierownicze stanowisko w narodzie!

Cóż z tego może wyniknąć?

Stronnicy „Przeglądu“ dawnej daty, którzy mają jeszcze tradycje towarzystwa demokratycznego, są na wymarcu; ci, którzy mają rozmach radykalistyczny z „Głosu“, schodzą coraz bardziej na drugi plan, spychani przez „najmłodszych“, dobrych uczniów szkoły rosyjskiej, a szczególnie pruskiej. Oni to, „nowocześni“, narzucają i coraz bardziej narzucać będą ruchowi cały kierunek.

W ogólności dąży on do niesłychanego obniżenia, strywializowania typu polskiego. Sprzykrzyło się już dzieciom czasu kramarzy i żołdactwa być bohaterami i bojownikami wielkich idei; żyć miłością i poświęceniem; jak żąda romantyzm narodowy od Mickiewicza do Szczepanowskiego — łatwiej przecie dawać cugle instyktom, kierowanym w najlepszym razie oportunistycznym politykowaniem. Sprzykrzyło się myśleć o obowiązkach także względem drugich, względem uciśnionych ludów i krzywdzonych klas — łatwiej przecie myśleć o swoim... apetycie. Najwyższe duchy w najmłodszym piśmiennictwie polkiem budzą uczucia bohaterskie w wielkim stylu — Wyspiański; uczucia miłości i sprawiedliwości dla swoich, ale także dla całej ludzkości — Kasproicz, Żeromski; politycy N. D. prą naród w kierunku wprost przeciwnym, w dół... Sprzykrzyło się pozostawać w roli jedynie szerzycieli polskości — lepiej więc spędzać wszystkich innych pracowników z pola, szczególnie tych, którzy najłatwiej dotąd trafiali do ludu... socyalistów.

Piszącemu te słowa powtórzył dobrze świadomy stosunków pod zaborem rosyjskim słowa wyższego dygnitarza ro-

syjskiego, że rządowi o wiele mniej są Niemili narodowi-demokraci, niż socjaliści. Z bardzo prostych — mówił — powodów. Socjalizm gotów zarażać „naszych“, zarażać cesarstwo, narodowcy zaś są ograniczeni terenem; przeciw narodowcom możemy każdej chwili zmobilizować nasz naród, w walce zaś z socyalistami połowa Rosyi gotowa pójść przeciw nam...

Powtarzamy jednak, że istnienie silnego a istotnego stronnictwa narodowo-demokratycznego w zaborze rosyjskim i pruskim, uważalibyśmy za pożądane. Obecnie znajduje się ono pod kierownictwem przynajmniej publicystycznym, ludzi, o których conajmniej można powiedzieć, że są zupełnie nie-dojrzałi, politycznie małoletni. I to o nich sąd — najłagodniejszy.

Główne zresztą siły, o ile można sądzić, zwrócili obecnie ku Galicyi. Nic dziwnego. Tu uśmiecha się — władza. Nie przypisujemy kierownikom ruchu osobistego karyerowiczostwa — egoistycznych celów — łatwo jednak pojąć, że konstytucyjna, polska Galicya jest pożądaniem polem eksperymentalnym dla polityków. W dążeniach do władzy szkopułem jest fakt, że główni przewodcy nie są obywatelami austriackimi; niech-no jednak dorosnie narybek młodych, niech-no do silnego prądu zacznie przystawać coraz więcej Głębińskich, słowa przemienią się w czyny. A że do tego się idzie — sygnałem także owe bezustanne dokumentowanie swojej *Regierungsfähigkeit*, głośny legalizm austriacki, jak teorye w rodzaju tej, która zabrania w Galicyi demonstrować przeciw dwom rządóm zaborczym, gdyż „dla demonstracyj przeciw Prusom właściwym gruntem jest zabór pruski, przeciw Rosyi — Warszawa i wogóle zabór rosyjski“, (1902,

II. Ładnieby wtedy z nami było!); sygnałem: ciągłe pochlebianie „dojrzałości politycznej kraju“ i napadanie na „oczer-niciele“, krytyków Galicyi, owe kokietowanie z władzami (na-miętne podtrzymywanie namiestnika Pinińskiego, którego za-sługi wobec kraju można poważnie kwestyonować) itd. Je-steśmy też przygotowani na to, że w ciągu kilkunastu lat najbliższych mieszczaństwo i małomieszczaństwo galicyjskie w przeważnej większości znajdzie się pod sztandarem naro-dowo-demokratycznym. Dla większości pół i ćwierć-inteligencyi naszej w sam raz stworzony jest przecie program — bez programu, brak dyscypliny umysłowej, zastępujący głębsze liczenie się z przyszłością — frazesami o jedności (harmonii) narodowej, nieżądający żadnych ustępstw z klasowego inte-resu i nie od dzisiaj popularną walką z rewolucjonistami, socyałami, Rusinami, żydami. Wtenczas patryotyzm w Ga-licyi zakwitnie. Obok walki na dwóch, konsekwentnie biorąc — na trzech frontach, wskaże nam ideał: wojnę z pięcioma, sześcioma „wrogami“, bo także z Rusinami, żydami i „wro-giem wewnętrznym“. Wówczas dopiero będziemy spójni i silni, gdy staniemy w płomieniach wojny zewnętrznej i wewnętrznej.

Ku temu N. D. z otwartymi sterują żaglami, a równo-cześnie ku coraz ściślejszemu stopieniu się ze stańczyko-stwem. Wszak już teraz z lubością wskazują na punkta styczne, łączące ich z dawną Czarторыczyzną a obecnym konserwatyzmem — nawet angielskim (1902). Niechno znikną mamuty stańczykowskie w rodzaju Tarnowskiego, Dunajew-skiego, a młodzi prędko się opamiętają, że między konser-watyzmem a narodową demokracją zachodzą różnice w kwestyi legitymizmu państwowego, ale więcej jest punktów stycznych: w popieraniu klerykalizmu, w zwalczaniu hasła „przewrotu“,

w bronieniu tradycyji wszystkich, w walce z żywiołem semickim i ruskim, a nawet kontrast co do polityki wobec zaborców nie jest tak duży, gdyż N. D. są przecie także obrońcami „ładu i porządku“, przeciwnikami „demonstracyj“ itd.

Nastąpi wtenczas staczanie się po równi pochyłej — jak mówi hr. Tarnowski — nastąpi to, co widzimy w całej Europie: zbliżenie się, najczęściej wspólne działanie nacyonalistów z konserwatystami. Widzimy to w Niemczech, we Francyi, w Anglii — nacyonalizm staje się w gruncie rzeczy tylko przednią strażą wstecznictwa politycznego, ekonomicznego, kulturalnego.

Ale wówczas nastąpi też, co nastąpić musi: zorganizowanie się i złączenie wszystkich obozów szczerze postępowych i nieubłagana walka z nowoczesnem barbarzyństwem, choćby strojnem w najpiękniejsze hasła i najjaskrawsze piórka.

Na to bądźmy przygotowani — i zbrojmy się.

PO BURZY.

...W Galicyi na kwestyę socyalną miejsca nie ma. Kraj pozbawiony przemysłu; armia robotnicza nie istnieje; rolnictwo do eksperymentów przewrotowych się nie nadaje; zresztą chłop jest żywiołem nawskróś konserwatywnym...

Lat dziesiątki karmili się podobnymi frazesami i tracili rzeczywistość z przed oczu. Lat dziesiątki jedna połowa ojców narodu widziała swą rację bytu w zwalczaniu *liberum conspiro* u tych, którzy jako żywo o żadnem *conspiro* nie myśleli; druga połowa widziała swą rację bytu w zwalczaniu *straży pożarnej*, nie przeciwstawiając im zgoła ognisk czynu. Zasnuwali się wszyscy w mgłę frazeologiczną, w sen nadziemski, a jeśli z dolin ostry jakiś zgrzyt błogie to rozmarzenie mącił, zagłuszano go połączonym chórem, śpiewającym zgodnie: ego te exorciso...

Następuje przebudzenie. Od lat kilku miasta nasze są peryodycznie widowniami niezwykłych zdarzeń. Co wiosna gromadzą się w większych ogniskach gromady ludzkie, wydające dzikie, pretensjonalne krzyki: roboty, chleba! Zna niezrozumiałe te krzyki Lwów, Kraków, Przemyśl, Tarno-

pol. Stolica kraju kilka razy już wyglądała, jakby nieprzyjaciel ją zajmował; domy, sklepy w dzień pozamykane, wojsko pędzi przed siebie masy wrogie... Tego roku w czerwcu na ulicach Lwowa krew popłynęła; liczne rodziny opłakują zabitych, niezliczone rodziny opłakują więzionych.

Teżaz ozwała się wieś. Do twardej czaszki chłopskiej przedostały się idee, będące ostatnim wyrazem taktyki wojennej dobrze wyćwiczonych zachodnio-europejskich armij robotniczych. Sto tysięcy chłopów zastrejkowało; około 500 gmin w 23 powiatach stanęło w ogniu; setki właścicieli i dzierżawców dóbr pozostało nagle w porze żniw bez robotnika.

I tu pokazuje się cała senność, cała nierealność życia galicyjskiego. Już na zjeździe radykałów ruskich r. 1897 zapadła była uchwała urządzenia strejku agrarnego; *Hromadskij Hołos* i *Swoboda* propagowały tę ideę od lat. a w. r. 1900 i 1901 powiat borszczowski i kołomyjski widziały już próby bezrobocia; Komitet Narodowy ruski liczył na strejk, jako na najsilniejszą broń w walce narodowej i na zjeździe d. 25 grudnia 1901 postanowił, aby „przeciwko coraz bardziej wzmagającej się agresywności przeciwników, dla obrony praw i zaspokojenia potrzeb narodu ruskiego użyć wszelkich możliwych sposobów legalnych, nie wyłączając strejków i bojkotów“. Wyższe warstwy społeczeństwa polskiego spały jednak snem sprawiedliwych. Gdzież owe rady powiatowe, w których szlachcic spotyka się z chłopem, jako brat starszy z młodszym? Gdzież owe władze, mające czuwać, zapobiegać, pośredniczyć? Gdzie dzienniki, trzymające rękę „na pulsie“ kraju? Wszystko to snem zmorzone, zamknięte w skorupie krótkowidzącego ego-

izmu, nie dostrzegającego nic poza swą ścianką, niezdolne wprost do obserwowania, do rozumienia rzeczywistości. Strejk zaskoczył wszystkich niespodzianie; spadł „jak grom z jasnego nieba“. A gdy grom już spadł, zaczęły się sceny, godne afrykańczyków. Dzieci tylko tłumaczą sobie wszystkie niezrozumiałe dla nich zjawiska działaniem demonów; nie rozumieją logiki przyczyn i skutków, nie domyślają się działania praw w przyrodzie: widzą tylko wpływ boga ognia, boga wiatru, boga deszczu etc. Tak samo dla naszych dzikich, chociaż siedzących w dworach i gabinetach redakcyjnych, gromy i burze ekonomiczno-społeczne są wpływem bogów, zwanych agitatorami. Oni-to, niesumienni agitatorzy są wszystkim winni, oni — demony złego, bogowie wiatru, piorunu, burz. Wniosek? w Afryce wynagradza się boga, sprowadzającego dobre skutki; chłosta się boga złego; więc i u nas: zamknąć (jeśli już nie można powywieszać) agitatorów, uniemożliwić agitację, a niepożądane zjawiska ustaną...

Bo kwestya społeczna, „szczególnie u nas“, nie istnieje!

* * *

Skądże-by u nas się wziął ten potwór, zrodzony z krzywdy, wykołysany przez walkę klas?

„Gdyby rozdźwięki te były ugruntowane“! wołał w bolesnej kontemplacji *Czas* krakowski (Nr. 165). „Realnych, rzeczywistych jednak podstaw brak do tych dzieł nienawiści klasowej, która kieruje się głównie przeciw chrześcijańskim właścicielom wielkich posiadłości. Jeśli bowiem wyzysk robotnika rolnego istnieje w Galicyi, to z pewnością nie wśród tych właścicieli...

I oto nuta, w którą uderzają ludzie, widzący wprawdzie dobrze rzeczywistość, lecz mający tem większy interes, aby ją zasłonić przed innymi, a przynajmniej zamącić, zaczernić. Nuta ta, tem gorsza od zwyczajnego niezrozumienia, że pełna złej wiary, że z oczywistem przekręcaniem faktów sprowadza zjawiska społeczne a bodaj narodowe na grunt wyznaniowy — nuta ta staje się tem głośniejszą, im bardziej trzeba zakrzyczeć fakta bijące w niebo, wołające z siłą rozpacz — o sędziów... „Zapewne — pisze p. Artur Zaręba Cielecki, poseł i prezes *Kółek rolniczych* — były gdzieniegdzie nadużycia, zwłaszcza u izraelitów płacono najemnika dziennego zbyt tanio... ale w ogóle u naszego obywatelstwa polskiego płaceienne dość odpowiadały spełnianej pracy leniwego naszego rusina“. A pos. Włodz. Gniewosz na zjeździe szlachty z 7. sierpnia kategorycznie twierdził: „dziś wyzysku nie ma!“

Czyż doprawdy?

Czy doprawdy w samym stosunku najemnika do wielkiego właściciela rolnego, o ile nim jest szlachcic, nie ma dość podstaw do wytłumaczenia strejku?

I przed oczyma staje cały ten kompleks czynników historycznych, kulturowych, ekonomiczno-społecznych, który nadaje Galicyi w ogólności, a Galicyi wschodniej w szczególności, odrębne, niezatarte, ciemne piętno; przed oczyma staje szereg faktów, który sprawia, że stosunek najemnika do właściciela rolnego, wszędzie daleki od idylli, w Galicyi wschodniej wprost dantejskie przedstawia obrazy.

Inny to bowiem kraj, inni ludzie i pieśni inne...

Faktycznie bowiem kraj jest już podzielony, mamy dwie Galicje. We wschodniej każdy krok nam przypomina, że ziemia to długich wojen i kolonizacji; cywilizacya więc

znacznie później odbywa tu swoje wjazdy, niż na zachód. Ziemia tu najpiękniejsza i najwdzięczniejsza do uprawy: na 100 morgów obszaru wypada zdatnych do uprawy w Galicyi w ogóle 48:47, na Podolu — 74:30; podolska przytem gleba należy do pierwszej sfery: najpiękniejszy czarnoziem; mimo to nędza tu największa. W powiatach, prześlizczonych posiadających grunta, w Zbaraskiem i Tarnopolskiem, tyfus głodowy na przednowku nie rzadkim jest gościem; śmiało można twierdzić, że z owych 50.000 ludzi umierających rocznie w Galicyi podług Szczepanowskiego śmiercią głodową, na wschodni szmat kraju przypada 40.000. W siedlisku tyfusów — konstatujemy — najbardziej też rozwinięty radykalizm i najsrożej „grasował“ obecnie strejk. Komin fabryczny, w Galicyi wogóle rzadkość, tutaj należy do wyjątkowych dziwów: miejscowości, hojnie przez naturę w skarby wyposażone, (teren naftowy) eksploatowane są przez robotnika polskiego. Prawda — chłop tutaj bez owej wytrwałości, dziarskości i inteligencji, którą się odznacza mazur, ale jakimż był dlań od wieków, jakim jest dlań dzisiaj i jakim jest „sam w sobie“ pan jego — szlacheć?

Oh, jak już dawno temu, kiedy hr. Stan. Tarnowski poraz ostatni był farysem, kiedy raz jedyny czerpał materiały do jeremiady nie z Krasieńskiego lub Skargi, lecz bezpośrednio z życia, z obserwacji! „Porcy“ wówczas dostrzegł i wołał:

»Z boleścią na sercu i ze sromem na czole powiadam... pod maską wprowadza się w niektórych okolicach kraju nowy rodzaj pańszczyzny, że są dziś jeszcze krzywdy ludu wielkie, a prawie wołające o pomstę do Boga, że są ludzie porządni, szlachta, o swój klejnot herbowy zazdrośni wielce, a czystość jego w dziwny sposób szanu-

jący, którzy u siebie na wsi między chłopami prowadzą lichwę, jak ostatni żydzi».,.

»To nie wyjątkowe fakta i indywidua, niestety, to zaraza, która się szerzy, to szkaradny trąd, który się jednym od drugich udziela i zaraza całe okolice, całe powiaty we wschodniej części kraju»..

Nie opłaciło się wówczas hr. Tarnowskiemu być farysem. Panowie podolacy nie lubią przeniesienia poezyi w życie; hr. Tarnowski za jeden poryw samodzielności w swej karierze został potraktowany jak zwyczajny warchoł, musiał złożyć mandat poselski. Odtąd poprzestał już na wygodniejszej roli — rozwadniania Skargi i Krasińskiego.

I znowu cicho i głucho w bujnej ziemi ruskiej, od czasu tylko do czasu jęk stamtąd dochodzi z okazji wychodźstwa lub wyborów. Wybory w Galicyi wschodniej są znane! komitet centralny siłą faktów ostatecznie przekonał świat, że chłop ruski istotnie nie ma gorętszego pragnienia nad to, aby reprezentantem jego w parlamencie był hr. Gołuchowski, hr. Piniński, hr. Szeptycki, ks. Sapieha, p. Chamiec, Moysa etc. Mniej znaną jest sprawa wychodźstwa ludu z Galicyi wschodniej; kto pamięta sceny na dworcach Lwowa i Krakowa z lat 1897/1900, kiedy tysiące chłopów, bez znajomości języka, drogi, celu, cisnęło się do wagonów, przy czem pociąg odrywał męża od żony, matkę od dziecka, nie umiejących się w tłumie oryentować i znaleźć, ten miał wyobrażenie, co to znaczy iść „na złamanie karku“; kto na wszelkie perswazyje słyszał odpowiedź: gorzej już nam być nie może — mógł już mieć przecucie Eldorada galicyjskiego; sprawozdania Wydziału krajowego konstatują rozpaczliwość tej emigracyi masowej, nie będącej „zarobkową“, jak wychodźstwo mazurów, lecz ucieczką przed nieszczęściem.

A i owa emigracya spadła była na czuwający kraj, „jak grom z jasnego nieba“, i przeszła — bez śladu w umysłach ogółu, w dziedzinie ustawodawczej...

W r. 1898 błogostan ów został przerwany znowu przez bombę w rodzaju „Porcyj“ Tarnowskiego. Tym razem rzucał ją ziemianin litewski, konserwatysta, ale na inną niż galicyjska modłę, książę Józef z Kozielska Puzyna. W *Kraju* petersburskim ogłosił list, oparty na wielkim zasobie poczynionych we Wschodniej Galicyi spostrzeżeń, a wykazujący z rzadką u nas odwagą cywilną, że

»jeżeli nie lichwa praktykowana w sposób, który autor (hr. T.) napiętnował w »Porcyach«, to inna forma wyzysku praktykowaną jest obecnie przez dwory... »W większej części gospodarstw w Galicyi — wywodzi autor wskazując potem, iż myśli głównie o Galicyi wschodniej — praktykuje się oddawna nierzetelna stopa wynagradzania robotnika dworskiego, tak zwanego fornała, dającego w zamian cały swój czas i pracę od świtu do nocy; wynagrodzenie to do tego stopnia jest niedostatecznem, że fornał nie jest w stanie normalnie żywić siebie z rodziną i aby módz żyć, musi w tymże dworze zdobywać nielegalnym sposobem brakującą mu ilość ziarna i kartofli, albo zużyć się przedwcześnie i tracić dzieci jedno po drugim z rachityzmu«.

Następuje obliczenie wykazujące, że ludność robocza dworska, stanowiąca mniej więcej $\frac{1}{6}$ część ogólnej ludności wiejskiej w Galicyi, jest skazana wprost na głód chroniczny, „przytem mieszkania dla tych ludzi niedostatecznie żywionych, szczególnie w dworach średniej zamożności, zostawiają pod względem higieny o wiele więcej do życzenia, niż pomieszczenie inwentarza dochodowego“...

...„Tej to części ludności... — woła p. Puzyna — dzieje

się straszna krzywda i trzeba się... zgodzić, że w pewnej swej części inteligentne społeczeństwo galicyjskie zatracą poczucie wstydu i sprawiedliwości“ — nie z niskich i rozmyślnych pobudek — utrzymuje autor, lecz wskutek rutyny i lekkomyślnego niezdawania sobie sprawy z popełnionego czynu.

A jakie teraz było oburzenie w pewnej części społeczeństwa, gdy służba dworska, tak dobrze usytuowana, przyłączyła się do strejku!

Nie tę jedną tylko nędzę z kategorii „istniejących już tylko specjalnie w Galicyi, wziął do światła p. Puzyna. Między innymi mówił też o jednej, należącej już nie do dziedziny „rutyny“, lecz do prawdziwych hańb szlachty bogatej, znowu głównie we wschodniej Galicyi; o dzierżawieniu prawa propinacyi przez magnatów, aby odstępować je żydowi propinatorowi. C. k. dyrekcyja funduszu propinacyjnego ma widać ważne powody, jeśli mimo tylekrotnych próśb sejmowych nie ogłasza wykazu dzierżawców prawa propinacyi: znaleźlibyśmy w nim najpiękniejsze nazwiska, jeśli nie z historii polskiej, to z galicyjskiej. I ci panowie otrzymawszy krocie przy zniesieniu przywileju średniowiecznego, de facto go przedłużają, bez chwili pracy zagarniają dziesiątki tysięcy zysku, przyczem po tchórzowsku ukrywają swe nazwiska — na pastwę nienawiści tłumu i podjudzań organów konserwatywnych rzucając arendarza żydowskiego. Podnoszą czynsz w nieskończoność, człowieka, chcącego przecie żyć, zmuszają do najrozmaitszych nadużyć, a publicznie noszą togę katonów, a pismaki przeklinają ich ofiary. Ojcowie wydzierżawiali cerkwie, oni również niebardzo przebiegają

w źródłach dochodu — ale broń Boże mówić o wyzysku z ich strony.

Takich rodzajów wyzysku, uprawianego systematycznie przez znaczną część przodowników społeczeństwa we wschodniej Galicyi, znalazłoby się więcej. Faktem jest n. p., że wiele poczt dzierżawia „panowie“, aby je z odpowiednim zyskiem wydzierżawiać ubogim kobietom i innym inteligentnym nędzaczkom, którzy — mimo przygotowania fachowego i egzaminów — chleba ze służby pocztowej inaczej by nie mieli...

A teraz dopiero ten szereg faktów, których dlatego tylko do kategorii wyzysku się nie zalicza, że są uświęcone ustawą, ale które mimo to pod względem moralnym nie przestaną być wyzyskiem, bo tym jest faktycznie każdy przywilej. Gdzież w Europie mamy instytucję „obszarów dworskich“, dozwalającą pewne prawa *nabywać*, czyniącą tę samą jednostkę stroną i równocześnie instancją dla siebie w pewnych sprawach administracyjnych (np. policja budowlana), odrywająca posiadacza wielkiej własności od ciężarów, trosk i prac całej gminy. A prawo prezenty! Uwzględnijmyż, że tym, co we wschodniej Galicyi narzuca gminie, z którą nie go nie wiąże, duszpasterza, jest z reguły *in nowierca!*

To część dopiero jest nitek komplikujących stosunki w Galicyi wogóle, szczególnie zaś we wschodniej, nadających ostatniej oblicze o wiele smutniejsze od tego, wiadomo przecie, jak niepokieszającego, które widzimy w zachodniej połowie kraju. Drobną to dopiero część aktów procesu między landlordami a ludnością robotniczą, procesu zaostrego — tem, że landlordowie są prawie bez wyjątku Polakami, a robotnicy — Rusinami.

Strona ekonomiczna procesu jest, zdawałoby się, sprawą

przesadzoną. Cyfry urzędowe dosyć ją chyba wyświetlają. Wykazują one, że na jedną chłopską posiadłość przypada w Galicyi przeciętnie 2.73 morga gruntu — innymi słowami, że conajmniej 90 proc. chłopów jest skazana na pracę w jedynem źródle zarobkowania, które Galicya posiada; u właścicieli rolnych. Kto zna nasze stosunki, wie też, jak znikomo szczupłą jest ta garstka chłopów, którzyby wraz z babami nie szła do dworu na zarobek, albo nie była ekonomicznie odeń zależna w inny sposób (dostarczanie furmanek, odrabianie za drzewo, pastwisko etc.). A stopa wynagrodzenia? Zdania są i zawsze będą podzielone, gdzie płaci się naturaliami, jakkolwiek nikt dziś już nie powie, jakoby trzynasty lub nawet dwunasty snop — z reguły na najgorszym łanie — zabrać się mający po ukończeniu pracy na pańskim — w przybliżeniu odpowiadał wartości pracy robotnika. Płaca gotówką jest nie od dziś ujęta w cyfry urzędowe. Podług *Oester. Statistik T, XLIV* wynoszą u nas płace robotników rolnych dziennie

a) podczas robót wiosennych :

dla mężcz. w Galic. wsch.	27 — 57 ct.,	w zach.	30 — 90 ct.
„ kobiet „ „	18 — 50 „	„	20 — 60 „
„ dzieci „ „	15 — 35 „	„	15 — 50 „

b) w żniwa:

dla mężcz. w Gal. wsch.	32 — 1·12 ct.	w zach.	35 — 1·20 ct.
„ kobiet „ „	22 — 75 „	„	25 — 1·00 „
„ dzieci „ „	16 — 58 „	„	20 — 80 „

c) w innych porach roku:

dla mężcz. w Gal. wsch.	23 — 45 ct.,	w zach.	25 — 70 ct.
„ kob. „ „	15 — 32 „	„	17 — 50 „
„ dzieci „ „	12 — 27 „	„	15 — 60 „

Cyfrы bardzo wymowne, ale bardzo też chwiejne. Są atoli inne zestawienia urzędowe, bardziej stanowcze. Podług nich praca rolnicza na jednym hektarze w większej własności ziemskiej kosztuje:

w Austrii Niższej . . .	63 zł. 00 ct.
w Austrii Wyższej . . .	47 „ 20 „
na Śląsku austriackim . . .	34 „ 40 „
w Galicyi zachodniej . . .	20 „ 70 „
w Galicyi wschodniej . . .	18 „ 11 „

Według danych dostarczonych przez zakłady ubezpieczeń od nieszczęśliwych wypadków (p. pracę dra Daszyńskiej-Golińskiej: „Własność rolna w Galicyi“) zarobki roczne robotników rolnych wynosiły przeciętnie w 1890—93 roku:

W Wiedniu	dla mężcz.	282,	dla kob.	218	złr.
W Solnogradzie	„	269,	„	214	„
W Gracu	„	209,	„	129	„
W Pradze	„	181,	„	143	„
W Bernie	„	196,	„	143	„
we Lwowie	„	95,	„	71	„

Gdy od cyfr tych ogólnikowych przejdziemy do szczegółowych, wykazanych podczas ruchu strejkowego, zgroza nas przejmie. Śmiejemy się z owych dzikich, którzy handlarzom europejskim za bezcen dają brylanty i złoto — cóż powiemy o mieszkańcach środkowej Europy, którzy w 20 stuleciu sprzedają swoje jedyne skarby: czas i siłę roboczą i to w czasie, gdy największy na nią popyt, za 20—40 ct. dziennie! Brali ją po tej cenie dzierżawcy żydzi, którym w wielu okręgach — jak *Wschód* doniósł — właściciele ziemi, magnaci, nie pozwalali na podnoszenie ceny roboci-

zny, brali ją Lanekorońscy, Potocey, Sapiehowie, Baworowscy, Pinińscy. „Strejk w gminach powiatu lwowskiego“ donosi tryumfalnie jeden z korespondentów „Słowa Polskiego“ — ukończony zwycięstwem chłopów.

»Efekt pieniężny strejku jest następujący: w Głuchowicach płacono babom 20, a chłopom 40 ct., obecnie płacą 30 i 60 ct. W Dmytrowicach płacono dotąd 15 do 20 (babom) i 35 do 40 (chłopom); obecnie płacą 30 i 60 ct. W Gajach płacono dotąd 20 do 25 i 30 do 40 ct.; obecnie babom płacą 30 ct., a chłopom 60, a nawet 70 ct. W Podróbcach, Czyszkach i Dawidowie podwyższono bez strejku płacę w podobnym stosunku. Ceny te rozumieją się jednak tylko na czas sianokosów i żniw. Całodzienna praca trwa przeciętnie w każdej wsi 12 godzin«.

I to już tryumf!

Z innego powiatu czytamy w „Słowie Polskiem“: „Wszyscy prawie właściciele w powiecie buczackim płacą robotnikowi 30 do 35 ct., albo też każą żyć za dwunasty snop“...

Z innego powiatu w temże „Słowie“: w Czortkowskiem

»przy żniwach i kopaniu kartofli, ma rzeczywiście włościanin zarobek dobry i zupełnie wystarczający. Jeśli bowiem robotnik przy samym wysiłku mięśni, bez żadnego potrzebnego ku temu uzdolnienia, lub fachowej zręczności, może zarobić około 1 złr. dziennie, to bezwarunkowo więcej wymagać nie może... Ale te błogie dni Aranjezu trwają najwyżej razem cztery tygodnie, a zatem zaczynają się długie miesiące zimowe, podczas których dostaje za całodzienną pracę nie więcej, jak 25 ct., a baba 20 ct., a i ten zarobek w wielu razach zniża się do 20 i 18 ct.«

Z Tarnopolskiego donosi „Słowo“, że „dzierżawca chłopom podwyższył z 20 na 35 i 40 ct., a babom z 14 na 25 i 30 ct. Nastąpiła więc zgoda, a wojsko, jako zupełnie nie-

potrzebne, odmaszerowało w stronę Tarnopola“; w Bobrec-kiem ceny wynosiły do maja 14—18 ct., od maja 18—25 ct. dla kosiarza 30 ct.: w Zaleszczyckiem i Zbarazkiem, gdzie strejk był najsilniejszym, płacono wiosną i latem mężczyźnie 25, kobiecie 20, w żniwa 40 i 35, w zimie 20 i 16—18 ct. Cyfry podajemy podług pism, usposobionych dla strejku raczej niechętnie: konserwatywnie wystrzegały się podawania cyfr. O ideałach całej olbrzymiej klasy społeczeństwa świadczy norma ceny robotnika, opracowana — jak pisze „Czas“ — przez jeden z komitetów powiatowych i rozesłana do wszystkich powiatów, objętych strejkiem. Chłopi żądają:

»Za żyto 7 snop, za pszenicę 8 snop od koszenia jakiegokolwiek bądź zboża 9 snop. Snopy te mają być wyznaczane tam, gdzie dotyczący robotnik pracuje i to całemi półkopkami natychmiast po ukończeniu zbioru. Płaca wynosić ma w lecie: chłopu 1 zlr., kobiecie 60 ct., poganiaczowi 40 ct. Miesięczna płaca dla poganiacza wynosić ma 10 zlr. bez wikt, z wiktem 4 zlr. Robotnikom przy maszynie bez różnicy płci 1 zlr. Za wiązanie zboża 25 ct. od kopy. W zimie wynosić ma zapłata przy maszynie lub przy młocce 60 ct. dziennie i to tak dla mężczyzn, jak i dla kobiet. Za kopanie kartofli 15 ct. od 100 kg. jeżeli kartofle są większe, 20 ct. jeżeli kartofle są drobne. Na miarę 8 korzec. Za zbieranie kukurudzy 3 kaczan, za zbieranie koniczyny 5 kopa, za lepsze siano 3, gorsze zaś 2 kopa. Za furę w lecie 2 zlr., w zimie zlr. 1:50.

»Czas pracy wynosić ma w lecie od 6 rano do 6 wieczór, z półtoragodzinną przerwą na obiad. w zimie od 8 rano do 6 wieczór z 1 godzinną przerwą na obiad. Wynagrodzenie dla fernalów: pomieszkowanie, opał, morg ogrodu, 16 korcy (po 100 klgr.) ordynaryi a to: 6 korcy żyta, 4 korce kukurudzy, po dwa korce pszenicy, grochu, jęczmienia i 40 zlr. rocznie. Ordynaryja ma być wydzielaną z dobrego zboża a nie z pośladu. Utrzymanie dla krowy w lecie i w zimie. Wynagrodzenie w pieniądzech wynosić ma z mieszkaniem i opałem 15 zlr.

miesięcznie, bez pomieszkania i opału 18 zlr. Dla robotników gorzelnianych 15 zlr. miesięcznie i furę drzewa«.

I ten sam „Czas“ pisze, że strejk stu tysięcy najemników rolnych, pracujących w podobnych warunkach, był dziełem sztucznej tylko agitacji.“

* * *

Do tej „agitacji“ najwięcej oczywiście przyczynili się właściciele rolni, stanowiący wielką, tak dobrze znaną rodzinę podolaków.

Wobec wielkich póż i deklamacyj trzeba przedewszystkiem stwierdzić, że węzły, łączące szlachezca z ziemią, są nader luźne. W r. 1893 — czytamy w wydawnictwach Wydziału krajowego — 28⁸⁰/₁₀₀ wielkiej własności, po odliczeniu lasów, wypuszczona była w dzierżawę. Miłość ku ziemi ojczyznej jest właściwie miłością ku rencie gruntowej. Ten patryotyzm, nie dający ziemi nawet kropli potu, głównie we wschodniej Galicyi kwitnie. Są tam prawie całe powiaty znające swego właściciela szlacheckiego tylko stąd, że dyktuje coraz wyższy czynsz dzierżawny, co się odbija na chłopach, dzierżawiących pojedyncze parcele, kupujących drzewo, żyjących z robocizny. W Trembowelskim ³/₄ wielkiej własności znajduje się w rękach dzierżawców. Właściciele szukają omasty do chleba tak gorzko zapracowanego w szeregach wysokiej biurokracji lub w dystyngowanych towarzystwach zagranicznych. Ten stan rzeczy pozwala niejednemu ziemię „zaokrąglić“. Wschodnia Galicya jest też klasyczną u nas ziemią latyfundiów, wielkich fortun Potockich, Baworskich, Lanckorońskich, Siemieńskich, rodów znanych z ta-

kich chyba idei, że są lepszymi austryakami, niż najstarsi hofraci wiedeńscy. W polityce ziemia ta wydaje Abrahamowiczów, Grocholskich, Jaworskich, Dzieduszyckich, Garapichów; „podolacy — określił ich przed kilku laty T. Romanowicz — są to tacy sami stańczycy, jak panowie krakowscy, tylko... mniej mądrzy.“ Najsympatyczniejszym tutaj jeszcze nierzadki typ szlachezca jednowioskowego, borykającego się często z losem i broniącego zagonu rozpaczliwie, jak go bronili jego przodkowie przed tatarem i turkiem. Jego musi etyka z wielu win rozgrzeszyć, ale ekonomia polityczna i potrzeba społeczna nie o rozgrzeszaniu nie chcą wiedzieć. Zarówno bowiem magnat, gospodarujący przez dzierżawcę lub ekonomę, jak i szlachcic jednowioskowy, są dla ludu, z którym żyją i dla ziemi, z której żyją, gorzej niż ojczymami. Już to wogóle rolnictwo galicyjskie na wysokim znajduje się stopniu rozkwitu! Naród rolniczy, stan od tysiąca lat z łonem matki-ziemi zrośnięty, zajmuje na punkcie gospodarstwa rolnego najniższy stopień w środkowej Europie. Jeszcze w ostatnich dniach (nra od 16 sierpnia 1902 r.) „Czas“ ręce załamuje mówiąc „o braku fachowego wykształcenia“ wśród szlachty; „jest on, rzec można, monopolem naszych rolników.“ Autor artykułów w „Czasie“ dochodzi do rozpaczliwego wniosku, że pożądanem jest, by władze „nad uzdolnieniem kierowników gospodarstwa pewną, choćby minimalną kontrolę rozciągały.“ A ukończeni słuchacze szkół rolniczych? „Znikają gdzieś jak kamfora. Spotkać ich można z piórem za uchem w biurach adwokatów, przemysłowców, w urzędach podatkowych. Dlaczego? Bo pomimo patentu z ukończonej szkoły rolniczej, nigdzie nie mogli dostać odpowiedniej posady.“ („Czas“ nr. 188). Jeszcze dosadniej

określał te stosunki w „Przeglądzie polskim“ hr. Fr. Mycielski (marzec 1899). Pośród słuchaczy wszystkich trzech szkół rolniczych Galicyi (Studjum rolnicze w Krakowie, szkoły w Dublanach i Czernichowie) w r. 1898 pozostało tylko 18 z egzaminami dla Galicyi. Ośmnastu dla 5¹/₂ miliona morgów obszaru dworskiego! „Zdaniem naszym“ woła hr. Mycielski, „nie klimat, nie rząd z podatkami, nie wygórowane frachty kolejowe, nie konkurencyja Ameryki, Argentyny, nie handel i stosunki kredytowe, nawet nie żydzi, ale my sami winni jesteśmy, że gospodarstwa finansowo chyłą się do upadku — tylko my sami winni, bo źle gospodarujemy, za mało produkując, a mało produkujemy, bo jednym słowem gospodarować nie umiemy.“ Doskonale podobno redagowany „Tyg. rolniczy“ miał w r. 1898 na całą Zachodnią Galicyę 130 abonentów! R. E. May przytacza cyfry, podług których domeny państwowe w Mezöhegyes wydały zbiorów w cetnarach metr. po 100 kg. przeciętnie:

w latach 1873—75	w latach 1886—88
pszenicy zimowej 7·66	pszenicy zimowej 24·88
żyta 7·66	żyta 16·94
jęczmienia . . . 13·26	jęczmienia . . . 25·21
owsa 8·12	owsa 20·71

Między jednym okresem a drugim leży wprowadzenie użycia pługa parowego i nawozu sztucznego. U nas średni urodzaj z morga wynosił w r. 1884—93:

w Gal. Zach. pszenicy 4·07,	żyta 3·25	cetn. metr.
w Gal. Wsch. „ 5·10,	„ 4·46	

Święta ziemia bardzo jest przecie cierpliwa — nawet wobec naszej kultury rolniczej. Przejdźmy jednak w Po-

znaniskie — zobaczmy tam, co ziemia dla człowieka robić może, gdy ten dla niej coś robi. Września była dla nas źródłem pokrzepienia; maślarnia wrzesieńska — naśladowana — mogłaby pod względem ekonomicznym tyle u nas zdziałać, co pod moralnym — szkoła tamtejsza! Przy najczarniejszym nawet poglądzie na przyszłość przemysłu w Galicyi, nikt jednak nie odmówi wielkiej przyszłości przemysłowi rolniczemu...

Galicya wschodnia zna jednak z przemysłu tylko gorzelnie, jako przygotowanie do zawodu rolniczego — biuro namiestnictwa, jako system gospodarki — intenzywne zaciąganie pożyczek w otwartych zawsze kasach T. K. Z. Stosunek pana do chłopca pod względem politycznym ilustrują wybory, pod ekonomicznym — głos Tarnowskiego, Puzyny i tabele porównawcze płac. A gdzie przeciw temu uświęconemu stanowi rzeczy podnosi się protest, wkracza komisarz starostwa, żandarm i manlicher.

* * *

Dziwić się raczej należy, że strejk dawniej jeszcze nie wybuchł i że miał przebieg tak łagodny, tak imponująco spokojny. Sto tysięcy chłopstwa w ogniu walki nie spowodowało ani jednej katastrofy, nie przelało ani jednej kropli krwi! Niech mówią przeciwnicy, co chcą, ale fakt ten na podziw zasługuje i każe z otuchą patrzeć w przyszłość. Ta barykada z tysiąca ciał kobiet, która w Szerszeniowcach zastąpiła drogę wojsku, kładąc się pokotem u nóg maszerujących, odsłaniając łona i wołając „kołyt!“ — w historii zaważy. Tak nie walczą krwi głodne hyeny. Wobec takich

obrazów domaganie się stanu wyjątkowego, kary śmierci za najdrobniejsze nawet przestępstwo, o barbarzyństwie świadczy i o najohydniejszym wandalizmie. A masy te od tyłu lat dręczone, wyzyskiwane, podczas wyborów do rozpaczy doprowadzane, pozostawały obecnie pod wpływem przewodców, których drażniono, prowokowano, bezczeszczono, z którymi postępowało sobie, jakby istniał plan „doprowadzenia wrzodu do pęknięcia“, lub do „operacji“...

Bo w grę wchodziła także kwestya narodowa!

Otóż po cyfrach i faktach wyżej przytoczonych, każdy musi przyjść do przekonania, że nie ma przykazania, nie ma obowiązku, któryby kazał stawać po stronie szlachty i dzierżawców przeciw armii najemników. „Tylko świętości nie szargać“ — trzeba wołać do tych, którzy identyfikują brudne interesy jednej klasy z interesami całego narodu. Czyż ci, którzy to czynią, nie widzą, jakie odium, jaką klątwę chcą rzucić na sprawę polską?

Nie zamykamy oczu na rzeczywistość i nie od dzisiaj wskazujemy na niesłuchanie zaostrzony stosunek między Polakami i Rusinami. Ale skąd racya bronienia wyzysku? Chyba na podstawie rozumowania, które antysemita nie każe spłacać pożyczek zaciągniętych u żydów, by znenawidzone plemię szybciej doprowadzić do upadku. A jak długo zjazd szlachty u p. Kraińskiego, Gniewosza i Cieńskiego, zamiast radzenia o sprowadzeniu obcych robotników, bagnetów, kata, nie postanowi dobrowolnie ceny robocizny podwoić, tak długo ci robotnicy mają absolutne prawo bronić swych interesów strejku i bojkotu. Gdybyśmy żyli we Francyi, więcej trochę cywilizowanej, niż szlachta podolska, odporne mniejszości robotnicze miałyby nawet o b o w i ą z e k strejkować!

Prawda — partya narodowców pragnie strejk wyzyskać w celach narodowych. Znamy dobrze stan rozfanatyzowania w jaki wpadają niekórzy patryoci ruscy i nie od dzisiaj ostrzegamy przed następstwami. Ale o ile strejk ma podkład narodowy, to mniej jeszcze zapobiegnie mu się ustawami wyjątkowymi i wyzyskiem, niż gdyby miał charakter czysto ekonomiczny. Pięćset lat Ruś pozostaje w stanie wyjątkowym, mniej lub więcej złagodzonych chwilami, a nie padła. Bagnety żadnego jeszcze węzła narodowego nie rozwiązały. Każdy krok gwałtowny sytuację tylko pogorszy. Pogorszy dla Rusinów, gdyby ci się dali porwać do czynów nienawiści; pogorszy ją dla nas, gdyby wojsko nie przestało drażnić, gdyby sądownictwo zostawiało wrażenie partyjności, gdyby większe masy mazurów miały wtargnąć, bądź jako kolonizatorzy, bądź jako robotnicy-konkurenci. Rusini wiedzą dobrze, że nigdy nie zdobędą się na te środki walki, którymi posługiwali się Irlandczycy przeciw landlordom i rządowi angielskim — a ci jednak nie zniszczyli wielkich posiadaczy ziemskich. My zaś aż nadto mamy powodów do obawy, żeby świat nie zechciał w konwentyklach u Cieleckich i Kraińskich, w żołnierzach i więzieniach, otaczających masy ruskie, w zakusach kolonizacyjnych, widzieć Polski.

Strejk okazał się w pierwszym rzędzie walką ekonomiczną, w dalszym dopiero, słabszym stopniu — narodowościową. Jak długo utrzyma się w charakterze pierwszym — możemy być spokojni. Formy walki legalnej, zorganizowanej, przyniesione przez socjalizm, okażą się dobrodziejstwem. Władze galicyjskie nic lepszego nie mogłyby zrobić, jak pchnąć ruch na tory organizacyj zawodowych. W tem stadium walka toczy się między pracodawcą a najemnikiem

o płacę — toczy się w sposób kulturowy i prawny. Niebezpieczeństwo dopiero powstanie, gdy walka zostanie popchniętą na pole głównie narodowościowe, do czego dąży Rusinów garść i ich pomocnicy: Cieleccy, Masłowscy, „Przegląd Wszechpolski“, „Dziennik Polski“, wywołujący ciągle widmo „Nalewajków, Szwaczków, Gontów i Żeleźniaków“. Ale tem więcej zimnej krwi i odwagi należy żądać od polityków ludowych. Brak im możności wkroczenia w dziedzinę prywatną, zmuszenia obszarników do wyższych cen płacy — mają jednak możność działania na arenie publicznej politycznej. Smutno będzie, gdy szlachta nie zgodzi się na lepszą robotniczną — nieszczęście będzie, gdy żywioły polskie w obecnym stanie rzeczy nie dadzą Rusinom faktycznego równoprawnienia. Tylko dając im warunki rozwoju wewnętrznego, odwiedzie się ich siły od wojny zewnętrznej.

A nam ów rozwój wewnętrzny, ekonomiczny i kulturowy potrzebny w pierwszym rzędzie — nam wszystkim, Polakom i Rusinom, szlachcie i chłopu, mieszczaninowi chrześcijańskiemu i żydowskiemu. Bez intensywne go podniesienia gospodarstwa krajowego pozostaną wszystkie nasze walki — kłótnią żebraków o ochłapy; oszałamiając się frazesami, w rzeczywistości będziemy wszyscy niewolnikami właścicieli fideikomisów i garstki plutokratycznej. Wówczas wszystkie ruchy społeczne wypaczą się; zamknięte w błędnem kole, podsycone rozpaczą, wpadną w chaos chronicznej anarchii.

HOŁD POETCE.

Rzadki, błogosławiony dzień. Możemy radować się, wznosić głowę do słońca, ręce do aktu adoracji. Możemy wyrwać się z toni otaczającej nas szarzyzny, wyjść z tłumu, kipiącego piekłami namiętności, pięściami i łokciami torującego sobie drogę w walce o byt, pożerającego nędzę i przez nędzę pożeranego. Możemy bodaj na chwilę wyjść z warsztatów naszych, pełnych szczęku, zgrzytu, zatrutego powietrza; wyjść możemy na wyżyny, kwiatów pełne i zieleni i woni słodkiej, pełną odetchnąć piersią i cieszyć się słońcem; stąd droga na szczyt prowadzi, potężny i wspaniały, gdzie człowiek ogarnia widnokrąg jak wieczność wielki i z gwiazdami rozmawia.

Rzadki, błogosławiony dzień. Dusza, od pobytu między ludźmi ran pełna i goryczy, łaknąca z rozpaczą wędrowca na puszczy — przedmiotu miłości, może otworzyć się, jak kwiat do słońca, jak bluszcz owinać się promieniami swymi, wezbranem sercem czysty hymn wdzięczności śpiewać. A rozum nie potrzebuje przytem zamykać oka, połykać prawdy o wielkości jednych, okupionej małością drugich, o chwale,

zbudowanej na klęskach, upokorzeniach, nędzach; nie potrzebuje myśleć o czarnych cieniach, jakie za sobą każde słońce rzuca. Z pełnej duszy bije pieśń, geniuszowi ducha, geniuszowi dobra śpiewana:

Szczęśliwy, kto szedł naprzód w boju
Z hasłami, które ludzkość budzą,
I walcząc w ciszy i spokoju
Dokonał ludzkich dusz podboju,
Niezaćmionego krzywdą cudzą..

Rzadki, błogosławiony dzień święta Maryi Konopnickiej. Dzień pamiętny nowym, nadchodzącym pokoleniom! Gdy kiedyś po zwycięstwach i tryumfach zaprowadzą nową rachubę czasu, chrzcząc jego dni mianami wszystkich bojujących i zwiastunów odrodzonej ludzkości — dzień jeden nazwą dniem Konopnickiej. W rzędzie tych duchów jasnych, co wcieliwszy myt o słupach ognistych, prowadzą lud do ziemi obiecanej — ona idzie w pierwszym szeregu; na owym znaku mytycznym, na który znużony śmiertelnie i dziesiątkowany chorobą lud ma spoglądać, by odzyskać zdrowie — także jej płonie imię. Płonie wśród brylantów talentu, częstokroć bliskiego genialności, i wśród jaśniejszych od brylantów — łez, jakim „przyszła z tobą płakać człowieku“ — ona, prawdziwy geniusz serca...

Ćwierć wieku serce to i talent na miarę zaiste olbrzymią, nam przyświecają. Ćwierć wieku używa cudownych swoich sił, aby dawać „usta wszystkim krzywdom ziemi — wszystkim nędzom i tęsknotom ducha“, aby nawoływać:

Do zwartych bram uderzcie szturmem duchy!
Niech pękną te, co dzierżą je, łańcuchy,

Dość długo noc nad ziemią berło miała,
Niech przyjdzie moc, niech przyjdzie słońca chwała!

W ciągu tego czasu oko jej ani razu nie odwróciło się z obojętnością od owych bram zwartych, w których dotąd zamknięte dla nas prawda i wola i dobro. I albo żaru się blaskiem zapala, który i w naszych sercach ogień wznieca, albo wobec bezmiaru wysiłku i małych zdobywcy hufców szturmujących — czystą, kobiecą, świętą łzą zachodzi. Ogień ten nie zgaśnie. Łzy te będą liczone. Z ognia tego będą bohaterzy; łza każda, dziś perłę stanowiąca w poezji naszej, perłą będzie kiedyś w koronie tryumfującej ludzkości.

Zaczęła śpiewać w dobie, kiedy zimno było i obco i mimo pięknych pozorów — smutno. Naród, który od stu lat w poetach jedynych miał prawowitych władców, pozbawiony był duchów przewodnich. Lutnia wielkich mistrzów przestała wydawać te potężne tony, które dawniej mówiły: idź i czyń! Wydawała co najwyżej tony piękne, w których czuć było pęknięte serce. Wówczas przyszła ona, wielką lutnię w niewieścią wzięła rękę, nawiązała strunę nową, uderzyła: wytrysnął krzyk cierpień milionów... Padło to wielkie „czemu“?, które rodzi zawsze bojowników czynu, gdy „dla czego“ rodzi bojowników myśli. Padło pytanie:

Czemu ta przepaść, która braci dzieli
Na pokrzywdzonych i na krzywdzicieli,
Tak jest bezbrzeżna, jako oceany
A taka straszna, jak rozwarte rany?

Poezya wzbogaciła się w nową strunę, naród — w nowy ton duszy. Uświadomiła wielka poetka, co było uśpionem

lub bezmownem w głębinach, co świtało z dali; po raz pierwszy od śmierci wielkich wieszczów objęła cały naród, wstrząsnęła nim, miłości uczyła, odpowiedzialność wzajemną przypomniała. solidarności wzywała...

Data to i doba wielka — to powstanie nowej struny w lutni poezji narodu. Kto ją nawiązał, nieśmiertelności może być pewien. Kto to uczynił, jak Konopnicka — i miłości może być pewien, nie tylko podziwu chłodnego.

A miłość ta płynie żywym z serca zdrojem, gdy się wspomni, że poetka nie tylko ideę ukochała, nie tylko w dalekie gwiazdy sprawiedliwości była wpatrzona, lecz jak najlepsza siostra żyjąc z ludem — przeniknęła jego istotę, wchłonęła jego serce, stała się wyrazem jego, opromienionym przez blask genialności własnej. I odtąd jest nie z nim, lecz nim, śpiewa mu nie tylko z serca, lecz jego sercem. Pierwsza ukazywała twardą skorupę, w którą doła jego zakuta, przebija potem tę skorupę, by ukazać, jaka tli tam dusza. Wydobywa już nie tylko wielkie bóle i głuche rozpaczę, straszne krzywdy i groźne oskarżenia, dostojne oblicza i ciche bohaterstwa — sam rdzeń tego ludu wyraża, wcielenie jego duszy.

Epopeję Pan Balcer w Brazylii przeciwstawia jedynej dotąd szlacheckiej epopei, ponad światy szlachecki i mieszczański, obce zupełnie jej duszy, wprowadza do Pantheonu świat ludowy, wzbogaca kulturę pierwiastkiem — który pozostanie.

A nie jej to wina, że księgi te epiczne — to jeden szereg martyrologii ludu polskiego. że pieśni wszystkie na fujarce wygrywane — jednym tchną smutkiem i żałobą bezkresną. Nie jej to wina, że gdzie się obróci — mrok

i wicher złowrózby, że widmo blade i łkające idzie za nią od czarnego zagonu wiejskiego do Kordyliarów niebotycznych. I nie żądajmy od niej, by skrzydłami unosiła nas zawsze w zaświaty, poza kres tych walk i burz, które nie obejmując całej pełni duszy i sztuki — torują jej jednak drogę, jak nawałnica — tęczy... — Nigdy — śpiewa:

Nigdy ja na tej nie stanę wyżynie,
 Kędy przed wzrokiem, wpatrzonym w wszechświaty,
 Ziemia z swą nędzą tak blednie i ginie,
 Jak tęcz mdlejących szkarłaty.
 Nigdy nie spocznę w błękitnej tej ciszy,
 Gdzie duch upojon oddechem wieczności,
 Zaledwo czuje i zaledwo słyszy
 Namiętne skargi ludzkości.

,

I choćby wszyscy milczeli, ja przecie
 Błękity wstrząsać będę mym protestem,
 Gdy Bóg spyta: sąż smutni na świecie?
 Odpowiem: jestem!

Smutek to święty serca, które kocha i cierpi za miliony, smutek przytem, który rzadko zakłada ręce i w ciche łązy się rozplywa; w zdroju jego skąpane dusze czyste są i silniejsze; słowami jego nie narkotyzują się, lecz walczą; u kresu jego — czyu.

Śpiewaczką ziemi i tylko ziemi jest Konopnicka, lecz bynajmniej do niej nie przykuta. Jej troski i tęsknoty śpiewa, lecz duchem jest wolnym, który sam sobie tę obrat dziedzinę. Czarny łachman nędzy ludzkiej nie zakrywa przed nią kwiatów. I owszem — woła:

Rzucajmy piękna siew!
 Niech wschodzą kwiaty,
 Jak cudnych marzeń rój,
 Lekki, skrzydlaty...

Lecz kwiatami tymi nigdy nie wieńczyłaby posągu zimnego, w którym serce czujące nie bije. Lecz kwiatów tych złotych nie spletałaby w girlandy — rękami niewolników. Lecz skrzydłami nie wzbijałaby się w niebiosa, gdyby wiedziała, że jedna na ziemi krzywdą się dzieje...

Któż, jak ona, umie się roztapiać w błękit i ciszę — wraz z całą przyrodą, układającą się do snu? Któż tak czyta melodyą śpiewał, tak boską muzyką upajał, tak szczerą lał w duszę harmonię zapadającego wieczora letniego, kiedy-to

Zmierzch przejrzysty, zmierzch liliowy
 Obłąkitnił świat...

„Oto idzie duch“ — czujemy wówczas wraz z tą powiernicą natury: duch poezji zupełnie nieziemskiej, wieczność ogarniający:

Duch, co tęskni, duch, co płacze
 W tę majową noc,
 W ściany klatki swej kołacze,
 Więzów targa moc...
 Myśl o gwiazdy srebrne trąca,
 Lecąc w inny świat,
 Piers otwiera się milcząca,
 Jak wieczorny kwiat...

W upojeniu, ukołysaniu, chciałoby się wołać: daj mi teraz marzyć, daj! — Na krótko. Bo oto poetce wyrwa się jęk — zawsze najczystsza muzyką słowa:

A żebyś ty jasne słońko
 Wiedziało,
 Co na ziemi jeszcze cieniów
 Zostało,
 Nie padałobyś tak rychło
 Za góry,
 Za te lasy w płaszczu tkanym
 Z purpury.

Cień! cień! wszędzie towarzyszy jej ów cień!

Bogata całym bogactwem kultury dzisiejszej, z łatwością przenosi się w światy obce. Napawa się np. nieraz czarą arcydzieł piękna greckiego, na czole ich wyczytuje jednak:

Z łez niewolników i z krwi ich i z potu
 Wieki utworzą jak z kropelek wody,
 Ogromną, czarną chmurę piorunową,
 Która pożarem ogarnie narody.

Napawa się czarą arcydzieł piękna Italii, lecz najwięcej z śmiertelnych zharmonizowany, boski młodzieniec z Urbino przypomina swemi Madonnami „pątnikowi, co niesie proch z mogił swej ziemi“ — groby, groby wołające „o żywot, o zorzę“; igrający szczygiełkami, Chrystus roz-snuwa przed nią widzenie:

I ofiarowan będę ja sam
 W polu czerwonym,
 Za rzesze ptasze pobite tam
 Jastrzębim szponem.

Wszędzie, wszędzie obraz ten sam, nawrót myśli ten-

sam. Bo gdziekolwiek uleci — serce jej na ziemi zostało;
zawsze dojdzie ją

Życia krzyk i ból.

Taka miłość ofiarna i bezkresna jest sama w sobie najwyższą poezją; poezya przechodzi tu w życie, napętnia je, jak przepętniała żywot tych, którzy nie pisali, nie malowali, lecz czyny tworzyli, na stos szli, na mękę, zarazę, samounicestwienie szli za braci i siostry w ludzkości... Poezya taka — to męczeństwo!

Z czcią tedy najgłębszą Życie przed taką pieśniarką głowę skłania. Cierpiała — byśmy my mniej cierpieli; łyż jej — dla nas brylanty... Bierzemy je w dłonie, ozdobimy nimi świat — nieco się rozwidni, rozjaśni, roziskrzy; oprawimy je w serca nasze — niech staną się czyste i hartowane; wprawimy je w końce naszych grotów — będą razić zło i ciemność.

Z czcią i wdzięcznością skłaniamy przed Nią głowę, powtarzając, jak ona w swoim *Credo*.

...I niechaj mi się stanie podług wiary mojej...

HOMO SUM.

Od niepamiętnych wieków znaczy ludzkość ślady swego rozwoju strugami krwi i stosami ofiar. Żaden gatunek zoologiczny nie okazuje względem członków swojej grupy tyle okrucieństwa i dzikości, co ów na najwyższym szczycie kultury stojący kwiat stworzenia, gatunek *homo sapiens*. Skoro pomyslimy, ile rozmaitych powodów, ile przeróżnych narzędzi ludzkość wymyśliła, aby tylko bliźnich swoich tępić, wplatając ich wprzódę w koło tortur, ujrzymy, że wysoce krzywdzącym dla niższych okazów zoologicznych jest nasz frazes o „zewwierzęceniu“ okazów ludzkich...

Krwią i stosami ofiar znaczy ludzkość ślady swego pochodu. U zarania dziejów witają nas ołtarze, dymiące zwłokami swoich bliźnich — dla przypodobania się „bogom“. Ile podobnych objat bogom złożono, zanim krwawa ofiara doszła do owego stanu szczątkowego, jaki widzimy dziś u żydów, lub mistycznego, symbolicznego, jaki panuje u chrześcian — któż potrafi powiedzieć. Ginęły niezliczone tysiące pod nożem kapłańskim, aby wyjednały wyznawcom łaskę boga Azteków, ginęły niezliczone tłumy za to, że były chrześcia-

nami, ginęły niezliczone tłumy za to, że nie były chrześcianami; nie mogąc „niewiernych“ skazywać żywcem na męki i na stos, fantazyja wiernych skazuje ich na płomienie i szereg zgonów — po śmierci. Ale nie tylko teologiczny „bóg“ najchętniej w krwi się pławi. Charakter fetysza przybiera prędko każdy przedmiot, potrzebny silnemu wobec słabszego; ołtarzem staje się graniczny słup państwowy. Porządek społeczny i porządek polityczny przemieniają się rychło w abstrakcye, taksamo nierealne i bezkrwiste, jak bóstwo Azteków i taksamo krwiożercze. W imię porządku społecznego człowiek był u człowieka niewolnikiem, potem poddanym, teraz jest wolnym najmitą. Upośledzony przez naturę najmarniejszy człowiek mógł z łaski urodzenia, bliźnich, stworzonych przez naturę na miarę gigantów i na modłę filozofów, sprzedawać, ćwiczyć, używać za bydło rozplodowe, na krzyż wbijać; mógł przykuwać ich do ziemi, za żebractwo obcinać im uszy, lub wieszać, jak dzisiaj może — przy zadawaniu sobie trudu obcinania kuponów — skazywać ich na pracę najniebezpieczniejszą, w zabójczych, warunkach za cenę utrzymania się jako tako przy życiu. Pan ten z łaski urodzenia mógł kobietę na miarę Junony lub Szecherezady, jako rzecz bez woli przywiązać do kądzieli, sprzedawać, odstępować przejezdnemu, zanurzać we wszystkich kałużach swojej rozpusty; zresztą do dziś pozostał jej władcą, wyłączną mającym moc reprezentowania jej interesów. A liczba i jakość ofiar, przez molocha polityki pochłoniętych? Oto drobne państewko judejskie, w wierze, tradycyi, organizacyi swojej ściśle narodowe, z pogardą i wstrętem spoglądające na pogan. I w tem państwie zjawia się Mistrz, który zamiast religii narodowej zaczyna głosić religię ogólnoludzką; nad

królestwo ziemskie każe przenosić królestwo ducha; całe serce każe Bogu ofiarować, nie sprawom ziemskim; kochać każdego człowieka — nawet wroga. Nauczyciela tego skazano tedy na śmierć. I iluż poszło na śmierć przedtem i potem za przeciwstawianie interesom dnia, interesom polityki, interesom sobkowskim — spraw wieczności, miłości prawdy, idei sprawiedliwości. uczuć ogólnoludzkich? Tym zawsze drobna garść uczniów towarzyszy i ta się ich wypiera, z nim kur nad ostatnim ich porankiem zapieje; zato Napoleonie, Bismarkowie, przemawiający w imię uczuć najbardziej ziemskich, w imię nienawiści ku obcym a samolubstwa własnego, stąpają na czele milionów i miliony we krwi zatapiają...

A jednak wszystkich tych wspomnień potworności i hańby by nie było, gdyby ludzie pamiętali o jednym: o dostojństwie i świętości godności człowieczej. Człowiekowi nigdy nie wystarczyło, że jest człowiekiem, przypisywał więc sobie obraz i podobieństwo boskie — poto, aby bóstwo sprowadzić do rozmiarów człowieczych. Gdyby jednak na tablicy przykazań od zarania dziejów widniało: szanuj w bliźnim człowieka! — ileż hańb, okrucieństw, nędz, ludzkość byłaby sobie oszczędziła! Szanując godność człowieczą — nie będziemy drugiego człowieka prowadzić na stos, sprzedawać w niewolę, traktować li jako narzędzie chuci; szanując godność człowieczą — nie będziemy drugiego człowieka uważali za szczebel do grodu sławy lub złota, nie będziemy go popychać w objęcia nędzy, poniewierki, zbydlęcenia, śmierci; celem on nam zawsze będzie — nie środkiem. Szanując godność człowieczą, będziemy szanować wszystko, co ją podnosi i wywyższa nad świat animalny, będziemy w nim cenić

pierwiastki najbardziej ludzkie, ogólnoludzkie: miłość prawdy, sprawiedliwości, solidarność i poświęcenie... Człowiek jest świętością; grzech przeciw niej — jest owym grzechem śmiertelnym, witającym nas na progu dziejów, pociągających za sobą coraz ohydniejsze, coraz rozpaczliwsze grzechy.

* * *

Ogarniający nas także, za przykładem bankrutujących klas zachodu, złudną fosforescencją zgnilizny świecący nacjonalizm jest najwyższem zaprzeczeniem człowieczeństwa, które dzieje nam przyniosły, tem ohydniejszym, że apelując do niektórych instynktów szlachetnych, uprawnionych, maćci słuszość z krzywdą, prawdę z kłamstem, postęp z barbarzyństwem. Orgie nacjonalizmu niemieckiego, obryzgujące nas jadem w Poznańskim, w taniec św. Wita wprawiające parlamentaryzm austriacki; konwulsje nacjonalizmu francuskiego; pozbawiony krzty szlachetności wobec zwyciężonych bohaterów nacjonalizm angielski — wszystko to przypomina ów pełen obawy wykrzyk poety niemieckiego: *Von Humanität — durch Nationalität — zur Bestialität*. Ale nie miał słuszości Grillparzer, wraz z robaczywym owocem ścinając także pień zdrowy. Sama zasada narodowościowa z ideą człowieczeństwa nietylko doskonale się godzi, lecz czerpie z niej sankcyę i soki najlepsze. Narodowość — to forma człowieczeństwa historycznie wytworzona, a treści bez formy nawet wyobrazić sobie nie możemy. Klimatyczne, gospodarcze, kulturowe przyczyny wytworzyły wśród ludów specjalne uzdolnienia — struny wielodźwięczne, które razem tworzą koncert życia; podział pracy, sumą swoją stanowiący dorobek

cywilizacyi. Dzięki zróżniczkowaniu narodowościowemu ludzkość ma od Żydów religię, od Greków filozofię i piękno, od Rzymian ustawodawstwo, od Francuzów prawa człowieka. Smutno byłoby ze skarbcem ludzkości, gdyby w nim zabrakło sztuki specjalnie greckiej, japońskiej, flamandzkiej, polskiej; osłabłaby siła produktywna ludzkości, gdyby nie walczyły ze sobą energia Anglosasów, wiedza stosowana niemiecka, smak estetyczny francuski. Wymiana myśli naukowej i uczuć artystycznych, komunikacje nowoczesne i świadoma dążność jednostek wybranych i mas ludowych, kruszą coraz bardziej mur chiński, odgraniczający narodowości; wpajają w człowieka świadomość, że duch jego ma skrzydła, że jest obywatelem całego świata — właściwości narodowe istnieją jednak i smutnoby było, gdyby ich nie stało. A dlatego właśnie, że zrosnięte tak głęboko z istotą człowieczeństwa, że są koniecznym i dobroczynnym przejawem natury ludzkiej, mają święte swoje uprawnienie, mają moc żądania dla siebie swobodnych warunków rozwoju, w pierwszym rzędzie, najkonieczniej — zupełnej niepodległości.

Ale do granicy, na której wola i prawo do życia zaślepia tę indywidualność, czyniąc je śmieszną, ślepą wobec prawa drugich, głuchą na głosy czystego człowieczeństwa, abstrahowanego od tej bądźcobądź formy, jaką jest historycznie wytworzona narodowość; człowieczeństwa, które przez wszystkie wieki, we wszystkich warunkach, musi dążyć do ideałów prawdy i sprawiedliwości.

Czyż nie jest śmieszny ów szowinizm, widzący w swoim narodzie arcydzieło natury, z litością lub pogardą spoglądający na inne narodowości? Żydzi są „narodem wybranym“ — wiadomo; Francuzi są „la grrrande nation“ — oczywiście;

Anglicy spoglądają na cały świat z pogardą panów, Niemcy — z nadętą miną dorobkiewiczów, można to zrozumieć; ale dziurawy swój płaszcz za najwspanialsze arcydzieło natury uważa hidalgo; łapę swą niedźwiedzią za rękę Opatrzności poczytuje Rosyanin; Węgier, Bułgar, Czech uważają się za cudowne dzieci lub bohaterów ludzkości, a p. Lutostawski o ten epitet walczy dla Polaków.

Szewinizm musi zrodzić ciasnotę, zasklepienie się w sobie, ignorancję zdobyczy drugich — wstecznicstwo cywilizacyjne. A radykalnym krokiem prowadzi ku barbarzyństwu szowinizm, który maczugą nacjonalizmu miażdży wszelkie głowy samodzielne, wszelkie grupy w łonie narodu, wnoszące na widownię nową treść, nowe dążenia. Zasada *homo sum* musi bowiem prowadzić do demokratyzmu i postępu; tylko pozbywszy się oków, przywilejów, ucisku, wyzysku można wyzwolić swą treść człowieczą, dać jej się rozwinąć w całej pełni; nacjonalizm — dla ślepej miłości tego, „co swoje“, dla sztucznej „jedności“, dla chęci imponowania spokojem i porządkiem u siebie w domu, tłumi te wolnościowe, najbardziej uprawnione, demokratyczno-postępowe ruchy. W ślad za tem idzie zgniecenie dążeń do prawdy i sprawiedliwości. Prawda dla prawdy, to dążenie szczytne, któremu zawdzięczamy wiedzę całą, staje się grzechem: wołanie o sprawiedliwość przeklina się, jako ruch „odśrodkowy“. Patriotyzm każe zespolić się z ziemią i narodem jednym uczuciem, nie więżąc jednak myśli krytycznej i skrzydeł człowieczych; nacjonalizm pragnie myśl ujarzmić, skrzydła obciąć, duszę nienawiścią zatruć i małością.

Jednym z najwspanialszych tryumfów ducha czysto-ludzkiego jest wiedza nowoczesna. Złożyły się na nią wszystkie narody, wszystkie warstwy cywilizowanego świata, jest więc wykwitem całej ludzkości. I oto próbują dzisiaj nawet to dziecko uzbrajać przeciw matce; przeciw zasadzie *homo sum* wysuwają naukę.

Są więc uczeni, widzący sprzeczność między zasadą ludzkości a człowieka, dalej między człowiekiem a grupą. Dla spotężnienia gatunku radziby wytepić jednostki słabe: w interesie narodu sankcjonują mord, wojny, zabór. Teoryom tym ma służyć biologia i socjologia, pierwszą zasadą doboru, druga — koniecznością ekspansji pewnych społeczeństw (*Drang nach Osten*, jako konieczność dziejowa; jej odpowiada „konieczność“ kolonizowania przez nas Rusi!). A jednak łatwo poznać, że głosem tym przemawia nie intelekt, lecz wola, nie nauka, lecz polityka. Przypomnijmy sobie: od wieków nie było żadnego bezprawia, żadnego barbarzyństwa, któreby nie było bronione przez „naukę“ i filozofię swego czasu. Stary Meksyk posiadał wysoką kulturę, piękną metafizykę, a równocześnie ludożerstwo, morderstwo rytualne, tortury — w ofierze bogom; urządzenia te były zapewne przez konserwatystów ówczesnych bardzo „naukowo“ bronione, podobnie, jak Arystoteles bronił niewolnictwa, scholastycy uzasadniali naukowo istnienie dyabła a niejeden fizyolog dzisiejszy uzasadnia — niższość kobiety. Gdzie tylko na widowni jest jakiś interes — znajdzie się dlań jakiś adwokat. Ileż teoryj ekonomicznych, prawnych i politycznych jeden wiek ostatni widział i przeżył i w pyle archiwalnym zagrzebał — żywym zostało tylko czujące, cierpiące serce ludzkie. To cierpienie jest prawdą większą, niż wszystkie

hipotezy, przewodnikiem lepszym niż wszystkie teorie. Prysną piękne ich obłonki, odsłaniając podkład — brutalnie egoistyczny interes. Myśl, pracująca naukowo, nie porusza się po linii najmniejszego oporu; w kwestyach więc ekspansji społecznej nie zadowolni się środkami najbliższej leżącymi: zabobrością, tępieniem, mniej lub więcej ładnie ochrzczonego rabunkiem: wzmoże produktywność ludzką, podniesie siłę konsumpcyjną wewnętrzną, sprowadzi linię tarcia się interesów do najwęższych wymiarów.

Nauka sama w sobie nie jest ani moralną, ani niemożliwą, ni dobrą, ni złą; zabarwia ją swoim charakterem tylko człowiek i tylko on też może być barbarzyńskim, nie czysty duch prawdy.

* * *

Mamyż ze sfery idei ogólnych zejść na ziemię, spojrzeć na nią — w ich oświeceniu?

Do licznych błogosławieństw, któremi los obdarzył ziemię galicyjską, do rozkosznych nadziei, jakie przyszłość nam otwiera, jak np. ta, iż ziemia nasza będzie zapewne głównym teatrem najbliższej wojny europejskiej — należy także stworzenie u nas klasycznego gruntu dla nacjonalizmu.

I zatrute ziarno owoc wydaje.

Niemąła w tem — trzeba przyznać — zasługa Rusinów. Jeżeli postęp i demokratyzm zostaną w Galicji na długie lata cofnięte wstecz — w znacznej mierze trzeba to będzie zawdzięczyć Rusinom. Swoimi programami wyrzucenia Polaków za San, swoim przejściem do porządku nad masą żywego ludu polskiego w powiatach wschodnich, swoją ślepą

nienawiścią, która coraz bardziej zatapia wszelką dalszą myśl polityczną — sobie nie pomagają a szkodzą jedynie tym, którzy dla nich zawsze mieli dłoń i serce otwarte: demokracji polskiej. Naszem zadaniem nie jest jednak nawracanie Rusinów. W sporach między silnym a słabym — głos decydujący mają silni. A wszak w Galicyi silniejsi są jeszcze Polacy? I wyższą kulturę mają Polacy?

Tymczasem cała wschodnia Galicya przemienia się w pole boju zażartego, bez pamięci i bez pardonu. Kto oddalon od tego pola, ten pojęcia niema o tej gorączce i namiętności, jaka tam zapanowała. A przecie zasada *homo sum* najzupełniej wystarcza, by gorączkę uśmierzyć, namiętności na inne, nierównie szlachetniejsze skierować tory...

Sponiewieranie godności człowieczej dochodzi do rozmiarów zupełnie monstrualnych: w odpowiednim stosunku kwitnie szowinizm. Jeżeli u Rusinów obelgą jest miano: *laszok*, a pochlebnym epitet *h a j d a m a k i*, to słownik polski nawet dzienników, wzbogacił się o epitety, których napróżno szukalibyśmy w słowniku nawet niemieckim w stosunku do nas. Jak traktują członkowie narodu prześladowanego drugi naród? Oto, np. „Dziennik polski“ traktuje przedstawicieli narodu w taki sposób: „Obłudą, chytrość, podstęp, cheiwość i łakomstwo, piekielne pragnienie rozdobycia (sic!) tanim kosztem bogactw i honorów, krwiożerczość, cynizm zwierzęcy; z jednej strony wstręt do zachodniej oświaty i spokojnej cywilizacyjnej pracy, z drugiej zawiść duszna na widok olbrzymiej kulturalnej i ekonomicznej wyższości Polaków — wszystkie te piękne cnoty i przymioty taksamo charakteryzują wodzów i polityków kozaczyzny hajdamackiej za czasów np. nieszczęśliwego Jana Kazimierza, lub w XVIII wieku,

jak dzisiaj oto są one także wybitnymi cechami postów-bo-ryteli i agitatorów radykalno-ukraińskich“... „W tych potworach śnać płynie krew Nalewajków, Szwaczków, Gontów i Żeleźniaków, że — jak zły kundys łańcuchowy — gotowi są kasać rękę, która ich karmi“...

Dosyć — nieprawdaż?

Ginie szacunek dla godności ludzkiej, ginie elementarne poczucie człowieczeństwa. „Uniwersytet ludowy im. Mickiewicza“ urządził był w Ottynie wieczór, na którym przemawiano także po rusku; organ nacyonalistyczny wybucha gniewem — gdyż instytucja polska nie śmie nosić oświaty także między Rusinów. Podczas strejku rolnego „Słowo polskie“ nieraz pisało, że sympatyzowałoby ze strejkującymi jako wyzyskiwanymi ekonomicznie, ale odmawia im pomocy, gdyż ruch zabarwiony jest narodowo. Więc dlatego niech wyzysk, nędza, ohyda kwitnie...

I rozpalila się walka na dobre. Najcharakterystyczniejszym dla niej jest fakt, że wśród wszystkich propozycy i środków pomocy dla zagrożonych „posterunków polskich“ nie słyszeliśmy z nieczyich ust myśli tak prostej, jak: porozumienie się z robotnikami ruskimi, zaspokojenie ich żądań ekonomicznych. Tego nikt nie proponuje, wszyscy natomiast organizują wojnę i na razie sprowadzają odsiecz w postaci chłopów chorwackich, których stopa życiowa ma być jeszcze niższą od ruskiej. (Geniusz ludzkości ponownie zasłania swe oblicze...

A rezultat? Wobec „niebezpieczeństwa“ — nawoływanie do koncentracji, przyczem prowadzić będzie oczywiście, „kto ten lud prowadzić umie“: szlachta. Setki lat mieszka ona obok ludu ruskiego — i nie umiała go dla siebie po-

zyskać; setki lat ma obok siebie chłopów polskich i zgoła się o nich nie troszczyła, owszem wyzyskiwała ich ekonomicznie i politycznie, jak się tylko dało; teraz urasta nagle na przewodców tego ludu polskiego — oczywiście w interesie także tego biednego, obałamuczonego ludu ruskiego... I gdy w roli zbawców i bojowników okopów św. Trójcy występują także notoryczni fałszerze wyborów i inni Słoneccy — uczciwi nawet nacyonalisci nie mają odwagi piętnowania ich; sankcjonują ich czyny milczeniem. Cel uświęca środki; będzie zatem uświęcał rozbój wyborczy, reprezentacje — jak dotychczas — egoistyczne, niedołążne; będzie uświęcał ślub „Słowa Polskiego“ z „Przedświtem“ jezuicko ormiańskim, „Przeglądu Wszechpolskiego“ z hr. Pinińskim, dra Kozłowskiego z drem Bykiem. Błogosławione wyjdzie stąd potomstwo — błogosławione jego inklinacje moralne, dzielne będą jego siły fizyczne, jak z wszystkich związków przeciw naturze...

I oto wszystkie skutki nacyonalizmu wprost klinicznie demonstrowane, wszystkie grzechy przeciw duchowi świętemu człowieczeństwa. W błoto ciśnięta godność ludzi i narodu; akcyja oświaty traktowana tak, jak ją traktują ci, którzy się boją oświecać japończyków i chińczyków z obawy przed wychowaniem sobie konkurentów; los kraju znowu na długi czas oddany w ręce tych, którzy oddawna okazywali talent do zaprzepaszczania go; zatamowano znowu krytycyzm, bój z wyzyskiem, z przywilejem, z niesprawiedliwością, tj.: wieczona walka o ten postęp i demokratyzm, bez którego nie ma mowy o ucłowieczeniu się zoologicznego gatunku *homo sapiens*. I zasada narodowościowa wszystkim nam droga i święta, forma ta, w której przejawiają się najświetniejsze

i najsilniejsze zdolności życiowe danej grupy ludzi, obryzgana krwią i łzami, które unosząc się coraz większą rzeką, będą oddzielać człowieka od narodowości...

A za kwestyą ruską otwiera się dla nacjonalizmu tak nieskończone pole kwestyi żydowskiej...

* * *

Psychologia woluntarystyczna dowodzi za Schopenhau-
erem, że intelekt jest najmłodszym dziecięciem, ostatnim or-
ganem woli. Nic więc dziwnego, że dziecię to za słabe, aby
mogło skutecznie walczyć ze starą swą macierzą. Ludźmi
kieruje tedy odruch, instykt, ślepy popęd zwierzęcy; byk
reaguje na bodźce zewnętrzne rogami, człowiek nawpół pier-
wotny toporem, człowiek dzisiejszy — polityką fałszu i prze-
mocy. Na wyższych dopiero szczeblach rozwoju pojawia się
dar rozumowania: możność patrzenia poza siebie — w prze-
szłość, i przed siebie...

Skoro spojrzymy poza siebie, nietrudno będzie nam po-
jąć, że dzisiejszy szowinizm narodowościowy odpowiada w zu-
pełności uczuciu fanatyzmu dla bóstwa religijnego, które czy
to u Azteków, czy w wiekach średnich żądało dla siebie
ofiar w ludziach; zrozumiemy, że wszystkie środki dzisiejszej
polityki szowinistycznej są dalszemi ogniwami w łańcuchu
dawnych mordów, całopaleń, tortur i innych okrucieństw —
ad majorem gloriam... Wartość ta sama. Skoro spojrzymy
przed się, ujrzemy chwilę, w której dzisiejsze wojny naro-
dowościowe będą poczytywane za okresy upadku ludzkości,
jak wojny „święte“ wieków średnich, a bohaterów szowini-
zmu dzisiejszego smutna okryje sława, podobna do tej, która

okrywa pamięć Piłatów, Neronów, „apostołów“ Meksyku, Torquemadów... Intelpekt ludzkości dojrzewa i coraz jaśniej rozpoznaje, coraz głośniej po imieniu nazywa mord i zdradę, fałsz i okrucieństwo... I widzi też, że ich siła jest zwodniczą — przykładem bodaj Turcyja, Hiszpania, a jedyną istotną potęgą: siła ducha, wysiłki myśli i pracy cywilizacyjnej, krzepkość, dobrobyt i równowaga wewnętrzna... Jedyne to potęgi szczególnie dla nas, którzy innych potęg nie mamy, a sto razy więcej, niż inni potrzebujemy sił, by się zbroić przeciw wrogom istotnym, przeciw prawdziwym złodziejom naszej własności, wobec których gwałt musi się z czasem gwałtem odeisnąć...

Gdy chwila ostatecznej rozprawy z faktycznymi tępiicielami naszymi nadejdzie, ostatni zawrze bój — wówczas z pewnością nikogo z nas na szaniec nie zabraknie. Ale dzisiejsze wojny w czasie pokoju, to wojny ludzi, przez historię skazanych na zamieszkanie pod jednym dachem; ogień przeciw nim skierowany — wspólnemu zagraża domowi. Dzisiejsze wojny nie są narodowemi, nie chodzi bowiem o niepodległość własną; szowinistyczne są, bo zaborczym służą apetytom. W nich my, garstka intelektualistów, uczestniczyć nie możemy. Z światłem wiedzy, ze zwierciadłem dziejów, z sztandarem sprawiedliwości musimy przelatywać pola bojowe. A gdy jedna lub druga strona, którą namiętność walki oślepiła, zapyta: ktoś zacz? odpowiemy nieśmiertelnem: *homo sum*.

UTOPIA.

Po bohaterskiej, pełnej chwały obronie, państwo judejskie padło. Świątynię, symbol wyłączności i jedności narodu, którego wodzowie z Bogiem „twarzą w twarz“ mówili i dali światu na długie wieki objawienia najwyższej etyki, świątynię płomień ogarnął, aby zostawić z niej szczątek muru odrapanego; urnę smutną dla łez późniejszych pielgrzymów. Obrońcy, których nie zmorzył głód i nie zgładził miecz rzymski, którzy dobrowolnie nie utopili żelaza w swej piersi i nie poginęli w igrzyskach cyrkowych, rozprószyli się po świecie całym. Ścigał ich wszędzie bicz prześladowań i tortur, jakich nie doznał — krom polskiego — żaden inny naród; ścigał ich gorszy od tego bicza jad upokorzeń i dziki śmiech wzgardy i urągania. Żadna ziemia nie uśmiechnęła im się, jak matka, żaden lud nie chciał im być bratem. A oni, rozprószeni, oplwani, w przymusowo żółte łaty zaszyci, wyrwali się duszą z obcego im ghetta do krainy wyidealizowanych wspomnień i gorących tęsknot, i przy wielkich uroczystościach dorocznych powtarzali: Na przyszły rok w Jerozolimie!

Wędrowniacy i niewola wieków zaczęła jednak powoli zmieniać cały ich typ psychiczny. Lud, który jak lew rozżarty bronił swej niepodległości, z czasem przemienił się w blade, książkowe mózgowce; lud, w spokoju uprawiający niegdyś pola i winnice, stał się nieprzejrzany zbiorowiskiem kupców. Po potężnej próbie wspaniałego „Syna gwiazdy“ zrzucenia obcego jarzma, ręka ich na wieki omdlała; tęsknota ku ziemi przodków traciła coraz bardziej charakter żywego uczucia, kostniała w dogmat religijno-mistyczny. Apelowali do niego w ciągu wieków niejednokrotnie fantasty lub szarlatani; odpowiadało im krótkie echo zapału, aby zostawić po sobie tem czarniejszy zawód, tem szybszą reakcję, sprawiającą, że ideał coraz bardziej zatracił pierwiastek realny, przenosił się w sfery nieokreślonej, religijnej abstrakcji. Dzisiaj przeważająca, olbrzymia część wierzących żydów do ideału tego wzbrania się wyciągnąć rękę; przyjęliby jego wcielenie z rąk Opatrzności, od ludzi — nie chcą.

Przemian takich psychicznych dokonało się więcej w związku ze zmianą obiektywnych warunków bytowania ekonomiczno-społecznego. Impuls — jak we wszystkich najważniejszych procesach nowoczesnych społeczeństw — wyszedł od wielkiej Rewolucji francuskiej. Z chwilą, kiedy prawa człowieka rozciągnęła także na żydów, ci wyszli z ghetta, aby stać się obywatelami ziem, na których chwila historyczna ich zastała. Z gruntem rodzimym łączyły ich zresztą od dawna związki bliższe, niż syntetykom „rasy“ może się wydawać; żyd „polski“, litewski, francuski, niemiecki jest pojęciem nie tylko paszportowym. Powstała niezmiernie sieć wzajemnych oddziaływań kulturalnych, spotęgowana przez mechanizujący wpływ kategorii gospodarczych. Z ciała eko-

onomicznie jednobarwnego żydzi rozbili się na klasy, interesami złączone z klasami innowiercami, z którymi razem wytwarzać i walczyć o byt należało; typ bankiera i kupca różniczkował się w typ nowoczesnego kapitalisty, robotnika, a nawet junkra-„ziemianina“, zmuszonego stać na stanowisku czysto klasowem. „Solidarność“ żydowska dawno już przeszła do wspomnień historycznych; tęsknota ku ziemi przodków coraz bardziej ustępuje najrealniejszym związkom, łączącym jednostki i grupy z warsztatem pracy, z podstawą bytu. Na nowym tym gruncie kulturowym i ekonomicznym wyrastają kwiaty ideałów narodowych i ogólnoludzkich, o całe niebo oddalonych od abstrakcyj, jakimi gorzki swój żywot osładzał mieszkaniec ghetta.

Żaden jeszcze proces dziejowy nie odbył się bez wstrząśnień i bólów — a i ta ewolucja w organizmie żydów i nie-żydów wywołuje gorączkę i wypryski a nieraz i zaburzenia niemałe. Objawy te występują po każdym szczepieniu — także w ludów i ideałów sferze. Przeciw pracy z siłą żywiołową akcyi asymilacyi występuje reakcyja konserwatyizmu gatunku, nie mogącego się oswoić z formami i treścią nowoczesnych przeobrażeń stosunków. I oto w sercach mnóstwa jednostek żydowskich zmartwychwstaje znowu stare hasło: na przyszły rok w Jerozolimie! Powtarzają to hasło ci, którzy wobec wymogów i dążeń współczesnej kultury zachodniej czują się obcymi, nieprzystosowanymi, a także ci, którzy wobec tej kultury stają z mózgiami wyrobionymi pracą wieków, z nerwami wyczulonymi i przeczulonymi rodów cierpiących, a są witani zimno, z niechęcią; powtarzają to hasło idealisci, którzy z objęć rzeczywistości ulatują w sferę bytów wymarzonych, doskona-

łych, gdzie się ród ludzi w aniołów przekształca, a także politycy „realni“, lub uważający się za realistów, którym chodzi tylko o rozwiązanie sprzeczności interesów. Powstał dzisiejszy ruch syonistyczny. Po idealistcie, drze Pinskerze, który wobec wybuchłego ok. r. 1880 w Rosyi ruchu przeciw-żydowskiego wystąpił z pełnym uczucia i polotu nawoływaniem do „Auto-emancypacji“ narodowej; po Alfredzie Nos-sigu, który z bezwzględnością logika, strzelającego poza granice rzeczywistości, w r. 1886 skreślił swój plan „Rozwiązania kwestyi żydowskiej“ w duchu palestynofilskim, wystąpił w r. 1897 dziennikarz wiedeński dr Teodor Herzl z gotowym, „realnym“ planem, ujętym w krótkie hasło: *Der Judenstaat*. Iskra przezeń rzucona wznieciła tu i ówdzie ogień. Realisci zabrali się do realizacyi. Po manifestie teoretycznym przysłała kolej na kongres żydowski, który dał formułę żądaniu ochrony publiczno-prawnej dla kolonizacyi żydowskiej w Palestynie. Syonizm został w księdze dziejów „zaprotokołowany.“

* * *

Czem jest syonizm? Czego pragnie — do czego dąży? Jakie jego cele — jakie środki?

Odpowiedź z całą pożądaną jasnością daje nam organizator syonizmu współczesnego, dr. Herzl. Już broszura jego manifestacyjna była dokumentem, którego szczerość nie pozostawiła nic do życzenia; w krótkich, apodyktycznych zdaniach, sformułowanych ze zręcznością prawnika a zarazem ze wschodnią jakąś despotycznością, rzucił był zarysy ideału swego palestyńskiego. Kilka lat minęło. Dr. Herzl nie

próżnował. Zwoływał kongresy i redagował pismo; przewodniczył niezliczonym komitetom, zakładał bank; przemawiał na olbrzymich meetingach w Londynie, konferował z ministrami sułtana; kłaniał się cesarzowi niemieckiemu i nie rządząc — panował nad umysłami nieprzejrzanych, ciemnych mas w Rosyi. Dość więc doświadczeń i rozmyślań, dość czynionych prób dla teorii ideału. I oto teraz rzucił w świat przemyślany chyba do najdrobniejszych szczegółów, sprawdzony wszystkimi kryteriami prawdopodobieństwa, program swój nanowo — tym razem w formie nie snopu dogmatów; lecz koncepcyi artystycznej, w formie romansu utopijnego. (Dr. Theodor Herzl: *Altneuland*. Roman. Lipsk. Motto: *Wenn ihr wollt, ist es kein Maerchen*).

Romans utopijny — więc jeszcze jedna wizya przyszłości, jeszcze jeden obraz z księgi złotych snów, które śnili reformatorzy i bojownicy nadchodzących czasów począwszy od Morusa i Campanelli, kończąc na Bellamym i Morrisie. Herzl chce stanąć w ich szeregu. Człowiek czynu, dziennikarz i agitator, pragnie do fantazyi swej publiczności najprostsza trafić drogą. Jak tę drogę skonstruował? Mniejsza o to, z jaką miarą talentu artystycznego. Plastykiem i poetą Herzl nie jest. Powieść osnuł na kanwie, użytej i zużytej już przez całe gromady pisarzy. „Bohater“ jego utworu, młody doktor wiedeński, zniechęcony straszna atmosferą, w której dzisiaj młody żydowski doktor między młotem antysemityzmu a kowadłem geszefciarzy musi żyć, ucieka z Europy w towarzystwie bogatego dziwaka na samotną wyspę. Po drodze wstępują obaj do Palestyny. Widzą kraj smutny, zaniedbany, martwy. Dawna wspaniałość i kwitnący przepych — w gruzach. Widok ten na młodym doktorze Loe-

wenbergu deprymujące robi wrażenie; w Jerozolimie uczuwa on nawet rozrzewnienie, ale zresztą jest zrezygowany. Wszak to młody człowiek — młody żyd dzisiejszy, bez ideałów! Dokoła siebie widzi wprawdzie jakby kiełki nowego życia; już we Wiedniu spotyka się z wiarą w Syon, w Jerozolimie również; kilka kolonij rolniczych, rozspanych po Palestynie, znajduje się w stanie rozkwitu. Do sceptycznej, wygasłej duszy młodzieńca to jednak nie przemawia. Nie posiada sił i zapału, by dla ideału żyć i działać.

Inni tymczasem działają. Na skrzydłach miłości do swego ludu przeskakują wszelkie przez dziesiątki wieków nagromadzone przeszkody. I oto wiara ich zdziałała cuda. Dwadzieścia lat zaledwie minęło od wyjazdu sceptycznego Loewenberga w świat, a martwa, odludna, nędzna Palestyna przemieniła się w kraj miodem i mlekiem płynący, zamieszkały przez lud wolny, bogaty, mądry, potężny...

Oh, jakżeż powieść Herzla jest utopijną!

Dr. Loewenberg wraca po dwudziestu latach do „ziemi przodków“. Rozumie się, że cuda, które spłynęły na lud cały, spłynęły też na niego. U wstępu spotyka go więc i poznaje człowiek, którego rodzinę on niegdyś we Wiedniu uratował był od głodowej śmierci i który teraz jest zamożnym, poważnym obywatelem, ba, w naszej obecności zostaje wybrany prezydentem nowego państwa; ma oczywiście uroczo piękną siostrę, w której doktor się zakochuje — oczywiście z wzajemnością. Szablon tego rodzaju powieści klasyczny. Mniejsza oto. Z Loewenbergiem odbywamy wycieczki po nowem państwie, słuchamy opowiadań z niedawnych dziejów — mamy fonograf ideału.

Jak się dokonał cud zmartwychwstania?

W sposób bardzo prosty. Sultán podpisał *charter*, gwarantujący swobodną i w szeroką autonomię uposażoną kolonizację Palestyny. Znamy nawet doskonale wszystkie warunki umowy z rządem ottomańskim zawartej. „Nowe towarzystwo dla kolonizowania Palestyny“ zapłaciło rządowi tureckiemu przy podpisaniu umowy gotówką dwa miliony funtów szterlingów, dalej zobowiązało się płacić daninę roczną w kwocie pięćdziesięciu tys. przez przeciąg lat trzydziestu oraz czwartą część swoich dochodów. Warunki — jak widzimy — bardzo dla kierowników ruchu kolonizacyjnego dogodne. Czy nie zanadto dogodne? Mniejsza oto. Jesteśmy pewni, że nie o finansowe trudności rozbijają się układy dra Herzla od kilku lat z Portą prowadzone. Muszą chyba istnieć inne jeszcze trudności. Widocznie rząd turecki nie jest tak naiwny, jak autorzy wstępnych artykułów nawet wielkich dzienników przypuszczają. Pamięta snąc stosunek swój do Serbii, Wołoszczyzny, Mołdawii, Czarnogóry, Bułgarii, Krety. Ma dosyć państw „lennych“ które mu wydierają żywe kawały mięsa z organizmu. A zresztą, czy sprawa ta tylko od sultana jest zależna? Czy utworzenie nowego państwa (Herzl unika tego wyrazu, ale do tego bądźco bądź zdąża), wbicie nowego klina między Europę a Azyę, powikłanie „kwestyi wschodniej“ świeżym, silnym czynnikiem istotnie zależy tylko od apetytu finansowego i *charteru* sultana? Doprawdy zdaje się chwilami, że utopię tę pisał marzyciel, kabalista, nie dziennikarz europejskiej miary. Każdy, powierzchownie bodaj obznajomiony z historią polityki i dyplomacyi europejskiej nad Bosforem, wie cośkolwiek o wpływach, jakie tam walczą, o piekle gigantycznych in-

teresów i marnych intryg, jakie tam bezustannie kipią. Co na projekt nowego państwa powiedzą wielkie mocarstwa? Z dwojakiego będą go traktować stanowiska: z ekonomicznego i politycznego. Bardzo należy wątpić, czy Niemcy, które w ostatnich czasach systematycznie dążą do ekonomicznego podboju Turcyi, zgodzą się na powstanie w jej łonie takiej potęgi przemysłowo-handlowej, jaką Herzl chce widzieć w Palestynie i jaką żydzi może i zdołaliby stworzyć. A potęga ta miałaby organizm „chorego człowieka“ wzmocnić? Może i zgodziłaby się na to Anglia, ale że *veto* swoje położy Rosya, która o „pogrzebie“ i spadku pacyenta z żelazną wytrwałością i użyciem wszech sił myśli — to chyba pewna. A wola żydów, oderwanych od ziemi, rozproszonych po świecie, nie mogących popierać swych żądań — gdyby nawet były jednomyślne — siłą zbrojną, wola ta w walce wielko-mocarstwowych „sfer interesów“ żadnej nie może odgrywać roli.

Są to elementarne fakta z polityki międzynarodowej, których Herzl naiwnym polskim i rosyjskim żydom nawet w perspektywie nie ukazuje. Europy dlań nie ma! Jego państwo żydowskie jest oazą szczęśliwości, zupełnie odciętą od stosunków międzynarodowych. Turcyja na stworzenie oazy się zgodziła, innym mocarstwom także trafiły do przekonania argumenta prasy syonistycznej, wykazujące jasno, jak na dłoni, że emigracya z dotychczasowych siedzib i restauracya Syonu to najracjonalniejsze rozwiązanie kwestyi żydowskiej, czyli: w kwestyach interesów, namiętności, konfliktów politycznych od przeszło stu lat grożących Europie i Azji wojną na noże, rozstrzygnie... rozum gabinetowy i dobra wola kilku polityków. No, czemuż w takim razie nie

przyjąć już wiary, że królestwo rozumu i „dobrej woli“ wszędzie na świecie zapanowało i zgładzona już jest nie-nawiść i niesprawiedliwość wszelka? Nie, utopia dra Herzla zbyt jest utopijną!

Wogóle, co charakteryzuje jego program — to ów brak logicznego powiązania przyczyn i skutków, któreby nam ka-zały widzieć dziecię jego ducha żywym i rozwijającym się z organiczną siłą. Gdy czytamy utopię Bellamy'ego, nieraz ogarnia nas myśl, że ostatecznie powieściopisarz zobrazował tylko konkluzję logicznie wypływającą z obecnego ustroju kapitalistycznego, zdążającego coraz konsekwentniej ku kolektywizmowi. W państwie dra Herzla rządzi wszędzie i zawsze tylko *deus ex machina*.

Więc Sułtan jegomość, wielki wezyr i inni dygnitarze, otrzymawszy odpowiednie baczysze, zezwalają na masową imigrację, zezwolenia swego po upływie miesięcy, czy lat pierwszych niecofają — jak to nieraz cofali konstytucye i przyrzeczenia największym nawet mocarstwom dane. I pierwsze partie bogatych i ubogich żydów poczynają zalewać kraj, a łagodny, jak baranek, lud turecki przyjmuje ich gościnnie, nie okazawszy ani razu ochoty do urządzenia im łaźni w rodzaju tej, jaka przed kilku laty zatopiła we krwi 100.000 armeńczyków. Rozumie się, że trudności organizacyjnych i gospodarczych masowa ta emigracya nie wywołuje żadnych. Moltkego na wypadek wybuchu wojny z jakimkolwiek państwem można było obudzić z najsmaczniejszego snu: byłby przetańił oczy i rzucił rozkaz: wziąć plany mobilizacyjne i strategiczne z tej a tej szuflady biura sztabu generalnego — i dalej spał spokojnie, pewny zwycięstwa. Dr. Herzl ma w swoich szufladach plan organizacyi swego

kraju również wykończony do najdrobniejszych szczegółów. Od czegoż pieniądze — Towarzystwa kolonizacyjnego, fundacyj żydowskich, akcyjnej spółki bankierów, — dalej cały sztab naczelników oddziałów, specjalistów od kwestyj taryfowych, budowlanych, rolniczych itd. Wszystko idzie, jak z płatka. Komitety lokalne syonistyczne, rozmieszczone po wszystkich osadach żydowskich, wybierają najlepszy materiał ludzki, ten przybywszy do Palestyny zastaje już w ruchu olbrzymi aparat techniczno-administracyjny, wyznaczający parcele, komenderujący robotnikami, dostarczający im baraków, żywności, maszyn, nasion, szczepów, budujący miasta, porty, gościńce, koleje. Ze wszystkich tych planów organizacyjnych jeden wybija się czynnik pierwszorzędny, najbardziej twórczy i decydujący: maszyna. Wiara Herzla i uwielbienie dla techniki nowożytnej nie zna granic. Cudu przemienienia ziemi odludnej i nędznej w krainę, zasianą kwitnącymi wsiami, fabrykami, portami, dokonywa dzięki stosowaniu najnowszych wynalazków i udoskonaleń. Państwo jego znajduje się w tem szczęśliwym położeniu, że nie wlecze za sobą tradycyi i „starego żelazka“; jest więc ostatnim wyrazem postępu we wszelkich dziedzinach produkcji.

I oto znowu błąd, systematycznie popełniany przez wszystkich fantazyujących na temat przyszłości, ale przez nikogo w tak wysokiej mierze, jak przez Herzla. Siłę ciężkości sprawy widzą nie w człowieku, lecz w martwym narzędziu. Cześć, jaką Herzl okazuje maszynie, jest bałwochwalebą. Ale do maszyny muszą ludzie być wychowani, całym szeregiem przystosowań przysposobieni! Najlepsze maszyny rolnicze niczem pozostaną — bez rolników. I znowu poprzednie pytanie — gdzie związek organiczny z teraźniejszością,

z psychologią typu żydów miejskiego? Gdzie cień prawdopodobieństwa, aby nagle z pod ziemi wyrosło życie wytwórczo-handlowe, obejmujące wszystkie potrzeby bytu, na komendę, mechanicznie? Herzl jest wrogiem socjalizmu, jednak socjaliści wskazują na stopniową przemianę ustroju gospodarczego, on proklamuje go z za zielonego biurka i całe życie ujmuje w obręcz reglementacji. Przy tym systemie — pierwsze żniwa byłyby ostatnimi!

W powieści wszystko się oczywiście wspaniale udaje. Lat dwadzieścia wystarczyło, aby Palestynę przemienić w Eden. „Bohater“ podróżuje po kraju — i tu mamy sposobność do bliższego poznania wysnionych dziwów, ideałów dra Herzla. Opiera więc ustrój ekonomiczny na rozgałęzionej sieci spółek, przyczem tryumfuje zasada: każdemu według jego wkładów i pracy. Własność prywatna zniesiona co do ziemi — produkcya i forma władania pozostaje jednak prywatną. „Nowa społeczność“ jest faktyczną właścicielką państwa, pozostającego pod zwierzchnictwem Turcyi, która się zachowuje tak grzecznie, że ani drobnego śladu jej zwierzchności nigdzie nie dostrzegany; w istocie jest ono rządzone przez kongres i wybieranego przezeń prezydenta. A propos tego kongresu; nie wspomina dr. Herzl, w jakim on języku obraduje. Wogóle kwestyę językową traktuje nader wstrzeźliwie. Nie ma u niego śladu jakoby językiem urzędowym była hebrajszczyzna — więc jakim język? niemiecki? Jedna to z licznych tych różnic kultury i tradycyi, które wiekowe rozprószenie między żydami zakorzeniło; brak języka wspólnego, to najczęściej także brak psychy wspólnej. Dr. Herzl drażliwie punkta woli jednak pomijać milczeniem. Bardziej zajmującym jest częstokroć to, co opuszcza, niż to,

co wypowiada. I tak wystrzega się bodaj jednego słówka, któreby świadczyło, że syoniści myślą seryo o reformach kulturowych wśród swego ludu. Cały ów stek przesądów i zabobonów, pseudo-religijnych nakazów i zakazów, wstrętów i tradycji, które olbrzymią część żydów polskich i rosyjskich czynią anachronizmem i typem degeneracyi — wszystko to jest przemilczane... Wobec słońca palestyńskiego — światło cywilizacyi zbyt cenne... Tak nakazuje taktyka, zdążająca *ad captandam benevolentiam*... Ideałów książka nie jest pozbawiona, ale jakież ich duch — jaki poziom! Oschły, płaski racjonalizm jest esencją dzieła dra Herzla. Stąd piękne myśli o humanitarności i solidarności międzynarodowej — stąd brak zrozumienia dla głębszych, subtelniejszych przejawów duszy. Czytając jego opisy nowego życia doznaje się chwilami uczucia wstrętu. Dawszy wodze marzeniu, nie marzy on — broń Boże — o niesieniu nędzy, nierówności między ludźmi, czyniącej jednych bez przewinienia sługami, drugich panami; nie marzy on o pogłębieniu typu ludzkiego, o wydobyciu zeń nieznanych, na dnie ukrytych piękności i zadatków wielkości; życie zewnętrzne jest celem jego i treścią. A jak je sobie wyobraża? Wspaniałości nowego kraju śpiewa, ukazując nam na każdym kroku hotele i wille, kawiarnie i restauracje, eleganckie „kurorty“ i miejsca do zabawy, panie i panów w świetnych toaletach, zajętych flirtem, lawn-tennisem, innymi sportami, operę włoską, francuską i żydowską także. Owiewa nas wstrętne atmosfera giełdziarsko-wiedeńsko-nicejska. A gdzie autor próbuje z niej się wyrwać — brak mu również skrzydeł. Wyzwolona dusza żydowska śpiewa u niego pieśni — Schumana, Rubinsteina, Gounoda, „muzykę wszystkich narodów“; o akademii

żydowskiej słyszymy, dowiadujemy się jednak o niej tyle, że proponuje uczczenie wynalazku Stephensona w r. 1925 w ten sposób, aby w jednej i tej samej minucie wszystkie lokomotywy świata trzy razy gwizdnęły. To gwizdnięcie jedynym jest jej czynem, który poeta Herzl wyśnił. Ogarnia nas oburzenie głębokie. I gdzież myśl i duch proroków, krew męczenników, skrzydła i serca poetów tyłu? Na to się przydały, aby w rezultacie wydać sen o humanitarności mieszczańskiej i „sztuce“ mieszczańskiej? Na to, aby w obrębie własnego ludu pozostawiać przepaście społeczne, a odrywać go faktycznie od łona ludzkości? Na to, aby stworzyć nowy udoskonalony grunt dla maszyn rachunkowych i filistrów najtrywialniejszych?

Niewysokie ideały! Utopia Herzla nie może być ideałem nawet dla najbardziej ekskluzywnych patriotów żydowskich. Bo w rezultacie — czyż rozwiązuje ona istotnie „kwestyę żydowską“? Przewiduje ona oczywiście, że nie wszyscy żydzi ze starych swych siedzib wyemigrowali do Palestyny; my sądzimy, że tylko drobny odłam tych milionów, które są rozsiane po Polsce, Litwie, Rosyi, mogłyby w Palestynie znaleźć wogóle pomieszczenie. I cóż się będzie działo z tą pozostałą w „starych ziemiach“ większością? Ma ona-ż żądać dla siebie równouprawnienia i równocześnie grawitować ku innemu mocarstwu? Albo znów wejść w stare *ghetto* i cieszyć się, że gdzieś daleko za górami i lasami ich bracia mają oazę szczęścia? Ma-ż większość żydów zawsze wisieć w powietrzu, w warunkach, w których ani żyć ani umrzeć nie można? I wiecznie-ż ma na nich ciążyć klątwa roli Ahaswera ludów — wiecznie mają faktycznie pozostawać bez ojczyzny? A jednak ten stan faktycznie

dr. Herzl propaguje. I sądzi, że pierwsza próba wcielenia jego ideału na większą skalę nie utonie w morzu łez i nie-szczęść?

O, jakżeż utopia dra Herzla jest utopijną!

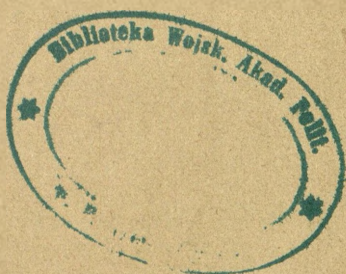
* * *

Zważmy, że chodzi tutaj nie o kwestyę uczuć, lecz o interesy polityczne; nie o uznanie lub nie-uznanie „narodowości żydowskiej“, lecz o operowanie siłami ludnościowemi na olbrzymim terenie międzynarodowym, a przede wszystkim w naszym kraju rodzinnym. Kwestya to dla Polski pierwszorzędnego znaczenia, a piekąca i bolesna szczególnie dla *gente Judaeos*, widzących swą ojczyznę w Polsce, w której wychowaliśmy się i wyrosli, której powietrzem i chlebem, krwią i kulturą żyjemy, z którą nas tysiące łączą nici niewidzialnych a silnych, jak dziecię z macierzą. Należy odróżniać narodowość żydowską od syonizmu. Żydzi są szczepem z całą psychologią, tradycją, grawitacją szczepową; narodowość jest jeduostką nieskończenie wyższą i bardziej zróżniczkowaną, gdyż obejmuje kompleks uczuć, interesów i ideałów kulturowych i politycznych, wyrosłych na gruncie wspólnej ziemi, wspólnego języka, wspólnych dążeń. Z tem wszystkim rozumiemy, że u niektórych jednostek nawet na wysokim stopniu uświadomienia uczucie szczepowe może być niestychanie silnem i wyłącznem i zastąpić wszystkie inne — jak u niejednych podobną rolę odgrywają uczucia rodzinne. Uważając uczucia i wierzenia za sprawę wyłącznie prywatną, za rzecz indywidualnego sumienia, jesteśmy przeciwnikami przymusu w tej

sferze i zostawiamy każdemu swobodę osiągnięcia zbawienia — tj. zlania się duchowego z Duchem wyższym — według własnego uznania. Musimy szanować wszelkie uczucie narodowościowe, o ile jest szczere, a nie chce dwom służyć bogom. Syonizm — to jednak praktyczna robota, dążąca do pewnych apriorycznych celów środkami organizacji i siły społecznej. Jak wszelka sprawa realna podlega kryteriom realnym, praktycznym — i krytyki tej nie wytrzymuje. A że jest on w istocie swej wsteczny, jako apel do uczuć li szczepowych; a że sprzeciwia się najżywotniejszym interesom przyszłościowym, odrywając uwagę od ogólnoludzkich ideałów sprawiedliwości i wolności, od których pochodu także los żydów zawisły; a że w skołatany, ze wszech stron zagrożony dom Polski wznosi zarzewie i nowe kliny odśrodkowe — należy przeciw niemu stanowczo wystąpić. Nie możemy wierzyć w utopię Herzla — z jakiegokolwiek bądź stanowiska na nią patrzeć będziemy, jest ona szkodliwa. Nie wynika stąd, aby zadawać gwałt uczuciom tych, którzy się uważają za narodowców żydowskich, ale wynika potrzeba krzewienia innych uczuć, innych ideałów, innych ziaren przyszłościowych wszelkimi sposobami słowa i pisma wolnego.

A przedewszystkiem — czynami. Utopie pojawiają się tylko w czasie, kiedy ludziom bardzo źle. Wyrrywają się oni z objęć nędzy teraźniejszości, bodaj fantazyą ulatują w sferę jaśniejszą. Kto powie, że ogółowi żydów — pomijając jednostki i grupki — dzisiaj jest dobrze? Starajmy się, by w ojczyźnie polskiej czuli się synami nie pasierbami, ani tolerowanymi za ledwie gośćmi. Inteligentne grupy żydów mogą i pragną się zasymilować; masy żydowskie, zacho-

wując nawet wiele cech psychologii szczepu — politycznie i w wielu dążeniach kulturowych także mogą i zechcą się zasymilować. Ale pamiętajmy, że przyciąga i podbija tylko kultura wyższa i etyka wyższa; porywa i zespala tylko czyn, przykład — nie słowo...





53927/
2